

SŁAWOMIR
KOPER
TYMOTEUSZ
PAWŁOWSKI

**MITY
WOJNY
1920**



**MITY
WOJNY
1920**



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

SŁAWOMIR
KOPER
TYMOTEUSZ
PAWŁOWSKI

**MITY
WOJNY
1920**

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Redakcja: Krzysztof Fudalej

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcia na okładce:

© Leszek Kasprzak, *Straż przednia 4-go szwadronu 7-go pułku ułanów przeprawa* się przez rzekę Rybczankę w drodze do Chocienczyz // Agencja FORUM

Józef Piłsudski rozmawia z generałem Edwardem „Śmigłym” Rydzem // Narodowe Archiwum Cyfrowe

Naczelnik Państwa Józef Piłsudski wizytuje oddział piechoty // Narodowe Archiwum Cyfrowe

DTP: Dariusz Piskulak

Copyright © by Sławomir Koper, 2020

Copyright © by Tymoteusz Pawłowski, 2020

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-686-1

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Od Autorów

Każda epoka, wojna czy powstanie narodowe ma swoje mity i legendy. Podobnie zresztą jak większość wydarzeń historycznych, i to wcale nie tylko tych najważniejszych, decydujących o losach państwa czy narodu. Po wielu latach bardziej zresztą niż realne fakty liczy się ich społeczne postrzeganie, niemające czasami wiele wspólnego z prawdą historyczną. Z perspektywy czasu ważniejsze bywa bowiem nie to, co się rzeczywiście wydarzyło, ale jak zostało zapamiętane i na jakich zasadach funkcjonuje w społecznym odbiorze.

Historia Polski obfituje w różnego rodzaju mity narodowe, które na dobre zadomowiły się w publicznej świadomości. Czasami powstały one „ku pokrzepieniu serc”, by wykazać, że klęski ponosiliśmy wyłącznie z powodu przygniatającej przewagi wroga lub ze względu na niekorzystne okoliczności. Zadomowiło się nawet pojęcie „porażki z przyczyn obiektywnych”, które miało wykazać, że nie było szans na powodzenie, ale walczyliśmy o honor i byliśmy moralnymi zwycięzcami.

Wbrew pozorom także sukcesy obdarzone są pokaźną liczbą mitów i przeinaczeń, które do dzisiaj straszą w podręcznikach czy tekstach publicystycznych. Gorzej, że czasami

takie legendy służą do ilustracji bieżących sporów politycznych lub światopoglądowych. Odbywa się to zgodnie z zasadą, że „historia jest nauczycielką życia”, co raczej nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Autorzy tej książki zgodnie bowiem uważają, że do roli pedagogów historycznych czasami aspirują ludzie, dla których nie jest ważne, dlaczego coś się wydarzyło i jak przebiegały wydarzenia, a wyłącznie jaki morał z nich płynie i jak go można odnieść do dzisiejszych realiów. A jak wiadomo, morał zależy od sposobu przedstawienia faktów, a także od naświetlenia ogólnej sytuacji, jaka im towarzyszyła. Poza tym niewygodne sprawy można przemilczeć.

Nie jest wolna od mitów także wojna polsko-rosyjska z lat 1919–1921. Na postrzeganie tego konfliktu miały wpływ sympatie polityczne sprzed lat czy też działalność propagandy. I to nie tylko tej z okresu międzywojennego, ale także z czasów emigracji londyńskiej i epoki PRL. Pomimo upływu lat nawet w wolnej Polsce powtarza się bezkrytycznie mity powstałe dla doraźnych potrzeb, a poziom dyskusji często rozpala emocje. Co gorsza, do dzisiaj pokutują też opinie z podręczników powstałych w czasach Polski Ludowej, których autorzy usiłowali tłumaczyć, że wojna w obronie niepodległości przyniosła Polsce nieszczęścia. Papier jest bowiem cierpliwy i wszystko wytrzyma, gorzej, że w ten sposób utrwalano absurdy, które straszyły przed laty.

Z drugiej jednak strony, w ostatnich latach nie brakuje specyficznego hurraoptymizmu, na bazie którego uważa się, że postępowanie polskich władz cywilnych i wojskowych było wspaniałe i pozbawione wad. Tak też nie było, o czym warto pamiętać. Popołniono wiele błędów, a wiele spraw mogło potoczyć się inaczej. Ale łatwo jest po latach dawać dobre rady z pozycji wygodnej kanapy.

Do dzisiaj przebieg tej wojny, a szczególnie role odegrane przez jej głównych aktorów wzbudzają zajadłe spory. Oprócz powtarzanych do znudzenia pytań na temat autorstwa planu bitwy warszawskiej mamy całkiem pokaźne grono bohaterów, którzy nimi nigdy nie byli, i czołowe postacie, o których w ogóle się nie pamięta. A do tego kilku mitycznych bohaterów, których prawdziwe losy nie miały wiele wspólnego z legendą. Wojnie tej towarzyszy również całkiem pokaźny bagaż narodowych mitów niemających wiele wspólnego z rzeczywistością. Nie wszystkie bowiem narodowe zalety i wady można pomieścić w jednej kampanii wojennej i wykazać, że gdyby Polacy czy Rosjanie byli inni, to wojna potoczyłaby się inaczej.

Autorzy nie ukrywają, że lubią, gdy ich praca pobudza do dyskusji. Nie jest ona jednak celem samym w sobie, gdyż ich naczelnym zadaniem jest przywrócenie właściwego postrzegania wydarzeń. Taki charakter ma ta książka, która jest głosem w dyskusji historyków i publicystów na temat wojny z Rosjanami o niepodległość. Autorzy mają nadzieję, że będzie w miarę ważnym głosem, a przynajmniej skłoni do refleksji, że nawet w tamtych dramatycznych miesiącach nie wszystko było czarno-białe, a wydarzenia i losy ludzi przebiegały czasami inaczej, niż dotychczas uważano. A zatem także skutki tych wypadków były inne, niż to przedstawiano na łamach podręczników czy książek historycznych.

Sławomir Koper, Tymoteusz Pawłowski

Powstania narodowe kończą się klęską?

Wszystkie polskie zrywy niepodległościowe były krwawymi, beznadziejnymi zmaganiem, które zawsze kończyły się klęską. Jedyne, co Polacy mogą sobie zapisać na plus, to „moralne zwycięstwa”. Powstania przynosiły olbrzymie straty, za każdym razem pogarszając sytuację Polaków. Jedno tylko powstanie wielkopolskie w 1919 roku zakończyło się sukcesem, a i to niewielkim – każda reguła musi mieć bowiem wyjątek.

Na pierwszy rzut oka stwierdzenie, że polskie powstania kończą się porażkami, wydaje się prawdziwe. Na drugi rzut oka – poparty edukacją szkolną – również. Takie postrzeganie polskich dziejów jest jednak błędne, a wynika z indoktrynacji i propagandy – zarówno w wykonaniu naszych wrogów, jak i nas samych.

Kanon polskich powstań narodowych został ustalony nie przez historyków, ale przez urzędników. Stało się to w 1919 roku na podstawie kilku rozkazów, dekretów i ustaw. Odradzające się państwo polskie chciało bowiem zadbać o weteranów powstań, których żyło jeszcze 3644. Dlatego

też w dokumentach wymieniono trzy powstania: z 1863, 1848 oraz 1831 roku. (Ostatni z weteranów powstania listopadowego – Michał Szurmiński – zmarł w 1926 roku w wieku 127 lub 113 lat.) Z przyczyn urzędowych nie nazywano powstaniami wcześniejszych walk z zaborcami – ponieważ ich weterani już nie żyli, ani walk „współczesnych”, z lat 1914–1918 – ponieważ ich weterani dostawali prawa kombatanckie na mocy innych ustaw.

Wrogowie państwa polskiego – czyli państwa zaborcze – miały oczywisty interes w przekonywaniu swoich polskich poddanych, że opór jest bezcelowy. Skoro powstania się nie udają, Polacy nie zasługują na własne państwo i muszą być wierni monarchom Rosji, Prus czy Austrii. Zaborcy mieli łatwe zadanie, chociażby ze względu na istnienie cenzury. W czasach PRL było podobnie – trzeba było potępiać Powstanie Warszawskie, a przy okazji i inne, wcześniejsze.

Władze państw zaborczych dysponowały również innym środkiem nacisku: możliwością blokowania lub ułatwiania kariery. Oczywiście polscy historycy nie byli łapówkarzami, ale zastanawiający jest fakt, że przedstawiciele krakowskiej szkoły historycznej – potępiającej walkę o Polskę – robili dużo większe kariery naukowe i polityczne niż przedstawiciele warszawskiej szkoły historycznej – usprawiedliwiający powstania. Dla historyków będących apologetami powstań narodowych w ogóle nie było miejsca w legalnych instytucjach, działali oni – jak chociażby Józef Piłsudski – w podziemiu.

W XXI wieku jest podobnie, czego świadectwem są książki takie jak ta – obalające mity narodowe. Polityka historyczna państwa polskiego opiera się przede wszystkim na martyrologii, premiuje się zatem naukowców piszących o porażkach. Drugim filarem są przyzwyczajenia środowiska akademickiego, w którym obowiązuje hierarchia, poszanowanie starych

mistrzów oraz przemożna chęć studiowania w spokoju własnych problemów. Historycy akademicy zajmują się z reguły bardzo ograniczoną tematyką i chcą mieć spokój. Wierzą w to, co przekazali im ich mistrzowie, a jeśli nawet nie wierzą, to rzadko przedstawiają swoje wątpliwości. Mogliby bowiem narazić się środowisku, co utrudniłoby im badania. Oczywiście nie dotyczy to całej profesury – oprócz zwykłych profesorów historii istnieją również wybitni profesorowie historii.

Bezmyślnie powtarzamy zatem mit o porażkach polskich powstań niepodległościowych. Tego uczono nas w szkole, tak jest w podręcznikach szkolnych pisanych – lub nadzorowanych – przez naukowców. Mało kto zdaje sobie jednak sprawę, że nowe szkolne podręczniki historyczne pisane są tak, żeby nie urazić wcześniejszych autorów. Bo recenzentami podręczników są przecież ludzie z doświadczeniem w ich pisaniu – z reguły owi wcześniejsi autorzy. Lepiej im się nie narażać. Lepiej również nie narażać się rodzicom, narzekającym na ciągle zwiększanie ilości materiału, który muszą opanować dzieci.

Pisane dla współczesnych uczniów muszą być kompatybilne z tymi, których używali ich rodzice. Wynika to z faktu, że szkoła nie może podważać prestiżu rodziny i nauka szkolna musi być spójna z tym, co swoim dzieciom przekazuje matka i ojciec. Niestety nie można również dodawać zbyt dużo nowej wiedzy: uczniowie i tak są przeciążeni „ważniejszymi” przedmiotami, przede wszystkim językiem polskim, potrzebnym do zdania matury. Podręczniki do historii zawierają bardzo dużo – zbyt dużo – treści wprowadzonych w czasach PRL, z oczywistych powodów sławiących wieczną przyjaźń Polaków z narodami „Związku Radzieckiego”.

I dlatego o żołnierzach wyklętych w większości podręczników jest akapit, pół strony – czasem mniej, niż o bitwie pod

Lenino. Na Krzyżaków trzeba poświęcić miesiąc nauki, na wojny polsko-moskiewskie nie starcza więc miejsca i czasu. Dlaczego? Dlatego, że nazewnictwo i styl pisania polskich podręczników wywodzi się z XIX wieku, gdy walka z Krzyżakami była symbolem panslawistycznego oporu przeciwko Niemcom, a o walce Polaków z carem rosyjscy cenzorzy zabronili opowiadać. O powstaniach narodowych było – i jest – niewiele.

W szkołach uczymy się zatem o dwóch powstaniach narodowych – listopadowym i styczniowym. Uczymy się w charakterystyczny sposób – najczęściej uwagi poświęcając popowstaniowym represjom. Czasem jako przykład nieudanych powstań dodaje się insurekcję kościuszkowską oraz wydarzenie Wiosny Ludów. Wszystkie te zrywy niepodległościowe zostały – w sposób oczywisty i bezdyskusyjny – przegrane. Potem dowiadujemy się o porażkach trzech powstań śląskich, a przede wszystkim – o Powstaniu Warszawskim. Czasami pamiętamy o powstaniu wielkopolskim 1918 roku, znamy co prawda mało szczegółów, ale akceptujemy fakt, że odniosło ono sukces dlatego, że było dobrze – „po wielkopolsku” – przygotowane i zorganizowane.

Bardzo rzadko pamięta się o powstaniach zwycięskich.

Najważniejsze z nich to powstanie 1806 roku. W tym czasie Polska nie istniała już od 11 lat. Wówczas jeden z zaborców – Królestwo Prus – popełniło wielki błąd i postanowiło zaatakować Francję. Napoleon Bonaparte odparł pruską agresję i wtargnął na ziemie przeciwnika. Pod koniec października z Napoleonem, cesarzem Francuzów, spotkał się generał Jan Henryk Dąbrowski, który zaproponował wystawienie polskiej armii w zamian za odbudowę państwa polskiego. Napoleon niczego nie obiecywał, jedyne, co powiedział, to: „na niepodległość trzeba sobie zasłużyć” i „zobaczmy, czy Polacy są godni być narodem”.

Polacy okazali się godni: wystawili czterdziestotysięczną armię, wyrzucili załogi pruskie z Wielkopolski, Mazowsza i Pomorza. Dywizja gen. Dąbrowskiego miała decydujący udział we francuskim zwycięstwie w bitwie pod Frydlandem, stoczonej 14 czerwca 1807 roku. Krótco po niej zawarto pokój w Tylży. Potwierdzono tam formalnie istnienie państwa polskiego – tymczasowo nazwanego Księstwem Warszawskim. Ważniejsze było jednak to – co należy jeszcze raz podkreślić – że w wyniku powstania 1806 roku i pokoju w Tylży przestały obowiązywać traktaty rozbiorowe. Znaczenie polityczne Polaków było tak duże, że kilka lat później – nawet pomimo klęski Napoleona – odbudowano Królestwo Polskie.

Nic dziwnego, że po kolejnych kilkudziesięciu latach ponownie doszło do powstania, niestety, w dużo mniej dogodnej sytuacji. Powstanie z 1863 roku – znane jako „styczniowe” – trwało półtora roku i zakończyło się klęską. Z perspektywy lat wiemy jednak, że było wydarzeniem niezmiernie istotnym. Przed rokiem 1863 i 1864 mieszkańcy Polski bowiem żyli obok siebie – szlachta w dworach, chłopci w chałupach, a mieszczenie w kamienicach. Wzajemne kontakty były ograniczone, społeczeństwo było podzielone, różne grupy walczyły o różne interesy – taka była też przyczyna porażki powstania styczniowego. Jednak jego klęska sprawiła, że szlachta opuściła swoje dworki, chłopci przejęli niemal wszystkie szlacheckie tradycje, a i mieszczenie – zasileni chłopskimi i szlacheckimi przybyszami z prowincji – stracili swój stanowy charakter. Zmiana ta przyniosła doskonałe rezultaty, bo kolejne – trzecie – powstanie narodowe odniosło olbrzymi sukces.

Czyżbyśmy w tych kalkulacjach o czymś zapomnieli? A gdzie insurekcja kościuszkowska i powstanie listopadowe? Po prostu to nie były powstania, niezależnie od tego, jak

słowo „powstanie” zdefiniujemy. Właściwe znaczenie słowa „powstanie” odnosi się bowiem do mobilizacji pospolitego ruszenia, czyli – w realiach XIX wieku – zwołania oddziałów partyzanckich, które następnie stają się armią narodową. Słowo to zmieniało z czasem znaczenie i zaczęto określać nim zbrojne wystąpienia przeciwko zaborcy lub okupantowi. A akcje zbrojne, które nastąpiły w roku 1794 oraz 1830, były wymierzone przeciwko polskim monarchom.

Insurekcja kościuszkowska to wystąpienie części polskich sił zbrojnych przeciwko władzy królewskiej Stanisława Augusta Poniatowskiego. Państwo polskie przecież istniało. Tadeusz Kościuszko i jego współpracownicy używali słowa „insurekcja”, nie chciano bowiem użyć słowa „rewolucja”. Rewolucja toczyła się właśnie we Francji i słowo to fatalnie się kojarzyło – z morderstwem rodu królewskiego, rzeziami dokonywanymi na arystokracji i klerze, rabunkami i gwałtami. Cała Europa wystąpiła przeciwko rewolucji francuskiej, Polacy nie mogli więc swojego oporu przeciwko Stanisławowi Augustowi – najgorszemu polskiemu królowi – nazwać rewolucją.

Nie było takich oporów w roku 1830, gdy część polskich sił zbrojnych wystąpiła przeciwko władzy królewskiej Mikołaja Romanowa. W przeddzień rewolucji listopadowej Królestwo Polskie było państwem niepodległym, połączonym jednak unią personalną z Rosją. (Poprzednio takimi uniami personalnymi Polska była połączona z Czechami, Węgry, Litwą, Saksonią, a nawet Szwecją). Królestwo Polskie w latach 1815–1831 miało dużo większą samodzielność niż Polska Rzeczypospolita Ludowa w latach 1944–1989, o czym nie można było wspominać w czasach PRL.

Powstanie listopadowe uzyskało swoją nazwę dopiero po kilkudziesięciu latach, a ówczesni nazywali te wydarzenia „rewolucją listopadową” oraz „wojną polsko-rosyjską”.

Dwudziestego dziewiątego listopada 1830 roku zbuntowali się – niezadowoleni z warunków finansowych – oficerowie Wojska Polskiego. Przez kilka kolejnych tygodni sejm Królestwa Polskiego – pomimo rewolucyjnych nastrojów wojska i społeczeństwa – próbował znaleźć ze swoim monarchą porozumienie. Dopiero 25 stycznia 1831 roku sejm zdetronizował króla Mikołaja Romanowa, który odpowiedział, wydając armii rosyjskiej rozkaz ataku na Polskę. Rozpoczęła się wojna toczona w sposób całkowicie regularny, podczas której stutysięczne armie toczyły wielkie bitwy z udziałem kawalerii, artylerii, a nawet wojsk rakietowych.

Sposób, w jaki „rewolucja listopadowa roku 1830” oraz „wojna polsko-rosyjska 1831 roku” stały się w świadomości Polaków „powstaniem listopadowym”, zasługuje na odrębną książkę. To kwestia propagandy, indoktrynacji, polityki, inercji środowisk naukowych oraz... wychowania domowego. Ta ostatnia przyczyna jest najważniejsza. Można łatwo zrozumieć, że władza – szczególnie zaborcza – oszukiwała Polaków. Że podręczniki zostały zainfekowane przez politykę historyczną i ograniczenia cenzorskie. Można nawet przyjąć do wiadomości, że przez wiele lat żyło się w niewiedzy. Najtrudniej jest jednak zaakceptować fakt, że nasi rodzice – którzy nas wychowali i wykształcili – uprawomocnili te błędy swoim autorytetem.

Dlatego też obalanie mitów jest trudnym przedsięwzięciem.

Niepodległość Polski to dar losu i państw Ententy?

W listopadzie 1918 roku Polacy nie podejmowali działań zbrojnych przeciwko zaborcom, ograniczyli się jedynie do pokojowego rozbrownienia Niemców w Warszawie. Jedynym chlubnym wyjątkiem było powstanie wielkopolskie, rozpoczęte dopiero 27 grudnia. Polska odzyskała niepodległość przede wszystkim dzięki koniunkturze międzynarodowej – niepodległa Rzeczpospolita została nam podana niemal na tacy.

Sytuacja międzynarodowa przyczyniła się do odzyskania niepodległości przez Polskę, nie była jednak decydującym czynnikiem. Tuziny innych narodów nie potrafiły skorzystać z historycznej szansy, która pojawiła się w wyniku Wielkiej Wojny. Taki był los chociażby naszych najbliższych sąsiadów: Białorusini zbyt długo zwlekali z ogłoszeniem niepodległości, a Ukraińcy nie potrafili zorganizować działającego państwa.

Polska odzyskała niepodległość w wyniku trzeciego powstania narodowego. Powstania zwycięskiego, które można by nazwać powstaniem listopadowym 1918 roku. Spełnia ono wszystkie obiektywne kryteria: było wystąpieniem przeciwko

władzy zaborców oraz okupantów i polegało na zmobilizowaniu pospolitego ruszenia. Wydarzeń listopadowych nie nazywamy powstaniem tylko dlatego, że – wedle powszechnej opinii – każde z nich powinno być źle przygotowane, przeprowadzone chaotycznie, przynieść wiele ofiar śmiertelnych i zakończyć się krwawą klęską.

Ideowym wodzem powstania był – więziony przez Niemców – Józef Piłsudski. Faktycznym organizatorem zbrojnego zrywu stał się natomiast Edward „Śmigły” Rydz. „Śmigły” – inaczej niż wszyscy inni współpracownicy Józefa Piłsudskiego – zajmował się wyłącznie sprawami wojskowymi. Był również – miało to duże znaczenie – poddanym austriackim, pułkownikiem c.k. armii. Gdy więc latem 1917 roku Niemcy aresztowali Piłsudskiego i jego politycznych współpracowników, „Śmigły” pozostał na wolności i stał się nieformalnym przywódcą propiłsudczykowskiej i proniepodległościowej konspiracji. Bardzo szybko zreorganizował Polską Organizację Wojskową, zamieniając ją z nielicznej formacji paramilitarnej w potężną konspirację niepodległościową, której wpływy rozciągały się od Niemiec po Syberię.

Jesienią 1918 roku Wielka Wojna dobiegała końca, a państwa centralne kontrolujące polskie ziemie – Niemcy oraz Austro-Węgry – stały na krawędzi klęski. Pod koniec października w dowództwie POW podjęto decyzję o zbrojnym wystąpieniu przeciwko słabszemu z zaborców – Austrii. Początek akcji zaplanowano na 1 listopada.

Daty nie wybrano przypadkowo, tylko na skutek zimnej kalkulacji. Jeden z przywódców akcji zbrojnej w Tarnowie – Jan Styliński – tak wspominał moment podejmowania decyzji: „zastanawiano się, czy nie odłożyć przewrotu, wobec tego, iż normalna porcja gotówki na wypłaty na pierwszego jeszcze nie nadeszła i mogłyby być trudności finansowe z samego

początku działania”. Często zapomina się o tym, że wraz z wolnością, przychodzą obowiązki – także finansowe. Choć w podejmowaniu decyzji powstańczych nie było ani krzyny romantyzmu, dobrze to świadczy o polskich przywódcach. Nie wszyscy byli cierpliwi: w Tarnowie nie czekano i oswobodzono go – jako pierwsze znaczące miasto w Polsce – już 31 października. W kilka godzin później wolny był również Kraków. Nie było żadnych ofiar śmiertelnych – na razie – więc wydarzeń tych nie nazywa się „powstaniem”, a jedynie „rozbrajaniem wojsk okupacyjnych”.

Pierwszy etap powstania zakończył się pełnym sukcesem: 3 listopada zwierzchnik okupacyjnych wojsk austriackich w Lublinie wysłał telegram do Rady Regencyjnej – polskich władz zorganizowanych przez Niemców – że przekazuje jej pełnię władzy. Jednak Rada Regencyjna i stworzony przez nią rząd w Warszawie nie byli odpowiednim przywództwem dla Polski.

Powstanie narodowe wciąż trwało i wkraczało właśnie w drugą fazę: powołania rządu narodowego. „Śmigły” udał się do Lublina, objął dowodzenie nad organizującymi się tam wojskami i wezwał do siebie konspiratorów mających mniej determinacji, ale większe doświadczenie polityczne i większy prestiż (sam był nieznany większości Polaków, tak samo jak dziś mało kto zna nazwisko Dowódcy Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych WP). Politycy jednak nie chcieli ryzykować, „Śmigły” wysłał więc do Krakowa samochód, który przywiózł Ignacego Daszyńskiego. To właśnie on został 7 listopada premierem Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej.

Dziesiątego listopada do Warszawy przybył – uwolniony przez Niemców – Józef Piłsudski. Jego celem był Lublin, ale w Warszawie musiał przeprowadzić rozmowy z Radą Regencyjną i przedstawicielami środowisk politycznych. Spotkał

się również z komendą miejscowej Polskiej Organizacji Wojskowej, od której dowiedział się, że została ona postawiona w stan gotowości i czeka na rozkaz wejścia do akcji.

W tym czasie w Warszawie przebywało 30 000 Niemców: 12 000 żołnierzy oraz 18 000 urzędników i cywilów. Zaproponowali, że dobrowolnie opuszczą polską stolicę – wraz z bronią oraz zrabowanymi łupami. Rozmowy nie przyniosły więc rezultatu, ale zamierzano kontynuować je następnego dnia. Do rozmów jednak nie doszło, ponieważ mieszkańcy Warszawy zebrali się stutysięcznym tłumem pod mieszkaniem Piłsudskiego, a POW obsadziła niektóre punkty w Warszawie. Polacy opanowali Warszawę, a Niemcy zamknęli się w koszarach.

Jedenastego listopada niczego już więc nie negocjowano, bo przestraszeni pokazem siły Niemcy zgadzali się na wszystkie jego warunki: opuszczenie Królestwa Polskiego w ciągu tygodnia, z pozostawieniem tutaj całego majątku, łącznie z bronią osobistą. Rozpoczęcie rozbrajania Niemców wyznaczono na godzinę 13.00 i przeprowadzono je bardzo sprawnie. Oczywiście nie wszyscy okupanci zgodzili się na kapitulację: niemal od razu spacyfikowano oficerów, strzelających z okien najnowocześniejszego wówczas hotelu Polonia na rogu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej w ikonicznym wprost centrum Warszawy. Dzień dłużej broniła się kompania wojska obsadzająca ratusz przy placu Teatralnym. Dopiero 16 listopada poddał się doborowy pułk obsadzający Cytadę. Walki nie przyniosły ofiar śmiertelnych – przynajmniej po polskiej stronie.

Ofiar nie było w Warszawie, ale zdarzały się poza nią. Najbardziej znanym przykładem – choć dzisiaj zapomnianym – jest los Międzyrzecza Podlaskiego. Szesnastego listopada zaatakowali je Niemcy: miasto zostało zrabowane, spalone,

obłożone kontrybucją. Poległo 22 obrońców, zamordowanych zostało 22 cywilów. Być może gdyby 11 listopada w Warszawie był równie krwawy, nikt nie miałby wątpliwości, że właśnie wybuchło powstanie narodowe, a co więcej – że zakończyło się olbrzymim sukcesem.

Józef Piłsudski wezwał do siebie rząd sformowany w Lublinie i nakazał mu podanie się do dymisji: jego istnienie mogło bowiem doprowadzić do niepotrzebnych konfliktów politycznych. Politycy „lubelscy” nie rozumieli tego i chcieli utrzymać się przy władzy. Piłsudski zareagował na to – podobno – słowami: „Wam kury szczać prowadzać, a nie politykę robić”. Ostatecznie lubelski rząd podał się do dymisji, gdy Edward „Śmigły” Rydz wskazał, że władza premiera Daszyńskiego opiera się tylko na sile oddziałów wojskowych, a one posłuchają rozkazów „Śmigłego” i Piłsudskiego. Czternastego listopada rozwiązała się również Rada Regencyjna, przekazując swoje uprawnienia Józefowi Piłsudskiemu jako Naczelnikowi Państwa.

W ten sposób zakończył się trzeci, ale nie ostatni etap powstania listopadowego 1918 roku. Wyzwolono bowiem jedynie Królestwo Polskie – czyli ziemie okupowane przez Rosjan w latach 1831–1915, a w latach 1915–1918 przez Niemców i Austriaków – oraz część zaboru austriackiego. Pod obcą kontrolą pozostawały jeszcze ziemie zaboru rosyjskiego, niemieckiego oraz Śląsk.

A na ziemiach tych doszło do krwawych walk. W Małopolsce Wschodniej Polacy walczyli o częściowo opanowany przez Ukraińców Lwów. Na Śląsku Cieszyńskim – walczyli przeciwko Czechom. Kilka miesięcy później wybuchły walki na Górnym Śląsku przeciwko Niemcom oraz w Sejnach przeciwko Litwinom. Trzy powstania śląskie są pamiętane, powstanie sejneńskie jest zapomniane, a konfliktów z Czechami

i Ukraińcami – z różnych powodów – nie nazywa się powstaniami. A powinno – bo i one spełniają wspomniane warunki obiektywne i swoim charakterem nie różnią się zbyt od wydarzeń śląskich czy sejneńskich.

Najbardziej znane jest – podobno jedyne w polskiej historii udane – powstanie wielkopolskie. Paradoksalnie nie spełniało ono – przynajmniej w pierwszych tygodniach – warunków, żeby je nazwać powstaniem. Zaczęło się 27 grudnia 1918 roku od manifestacji mieszkańców Poznania, w wyniku której wojska niemieckie wyszły z miasta. Był to jednak skutek ogólnej sytuacji w Niemczech: niemal we wszystkich niemieckich miastach cywile występowali przeciwko armii. Rząd w Berlinie rozkazał, aby żołnierze opuszczali koszarę w miastach, co miało uspokoić nastroje społeczne i zmniejszyć ryzyko konfliktu pomiędzy cywilami a mundurowymi. To samo stało się w Wielkopolsce: 27 grudnia 1918 roku, w dzień wybuchu, w całej prowincji zginęło tylko dwóch Polaków, a przez kolejnych dziesięć dni – kilkunastu.

Prawdziwe powstanie wielkopolskie rozpoczęło się po kilku tygodniach. Piętnastego stycznia 1919 roku armia niemiecka odzyskała władzę nad zrewoltowanym Berlinem – przy okazji mordując radykalnych polityków, m.in. Różę Luksemburg – i podjęła takie kroki wobec innych zbuntowanych miast. Dwudziestego drugiego stycznia ruszyła niemiecka ofensywa na Poznań, która rozwijała się powoli, ale skutecznie. W lutym polski front obronny cofał się i był bliski załamania się. Ratunek przyszedł ze strony Francuzów, którzy 14 lutego wymusili na Niemcach powstrzymanie ofensywy. Wielkopolska stała się oficjalnie częścią Rzeczypospolitej na mocy pokoju wersalskiego podpisanego 28 czerwca 1919 roku.

Spojrzenie na wydarzenia 1918 roku jako na powstanie narodowe pozwala nie tylko przypomnieć sobie okoliczności

odrodzenia Rzeczypospolitej, ale służy również do rozważania roli, jaką odegrała bitwa warszawska. Wyobraźmy sobie, że Armia Czerwona zdobywa Warszawę 15 sierpnia, Wojsko Polskie jest rozbite, władze Rzeczypospolitej ewakuują się najpierw do Poznania, a potem szukają schronienia na obczyźnie. Powtarza się sytuacja z roku 1794, 1813, 1831, 1864. Zachód nie reaguje. Polska ponownie staje się częścią Rosji (bo Związek Sowiecki – co wyjaśnimy w kolejnych rozdziałach – w takiej sytuacji nie powstaje).

Gdyby bitwa warszawska potoczyła się inaczej, dzisiaj uczylibyśmy się – z podręczników napisanych cyrylicą – o kolejnym nieudanym polskim powstaniu. O „powstaniu 1918 roku”, a może o „drugim powstaniu listopadowym”. Józef Piłsudski i Roman Dmowski zostaliby postawieni obok Tadeusza Kościuszki, Piotra Wysockiego i Romualda Traugutta jako bezmyślni romantycy, podejmujący z góry przegraną walkę i narażający swoich rodaków na niepotrzebne cierpienia. Wojna polsko-bolszewicka, czy też wojna 1920 roku – na kolejnych stronach wyjaśnimy zresztą, dlaczego obie te nazwy są kłamiwe – zadecydowała nie o polskich granicach, tylko o polskiej niepodległości.

Potop szwedzki czy moskiewski?

Przez całe wieki Polacy walczyli z Niemcami, dlatego chrzest przyjęliśmy od Czechów, dlatego musieliśmy odpierać ataki Krzyżaków, a i potop szwedzki można by zaliczyć do walki z żywiołem germańskim. Wojny z Rosją prowadziliśmy natomiast bardzo rzadko.

Jeśli spojrzymy do podręczników historii – nawet tych najnowszych – wizja odwiecznego boju Polaków przeciwko Niemcom może wydawać się właściwa. Wynika to jednak przede wszystkim ze sposobu powstawania podręczników i pisania programów nauczania.

I chociaż dzisiaj w podręcznikach raczej nie znajdzie się stwierdzenia, że chrzest w 966 roku przyjęliśmy od Czechów dlatego, że nie chcieliśmy od Niemców, to mit taki wciąż pokutuje. Wciąż świętuje się bitwę pod Cedynią – chociaż historycy wiedzą o niej bardzo niewiele – a nawet bitwę na Psim Polu, chociaż nigdy jej nie było. Bardzo dużo czasu poświęca się w szkole problemowi krzyżackiemu, z reguły nie wyjaśniając nawet tego, że Państwo Zakonne nie miało charakteru narodowego. Konieczność indoktrynowania uczniów

o Niemcach jako wrogach sprawia, że na wiele innych problemów brakuje czasu. Dużo uczy się o hołdzie pruskim, a bardzo mało o hołdzie ruskim.

Rosjanie pojawili się w historii Polski dość późno, chociaż niemal od samego początku Polskę łączyły żywe kontakty z Rusią Kijowską. Wzajemnie żeniliśmy swoje książęniczki z książętami, Grody Czerwińskie przechodziły z rąk do rąk, szczerbiliśmy miecze w interwencjach dynastycznych. Ruś Kijowska – rozbita na dzielnice, a potem najechana przez Mongołów – podupadła w XIII wieku. Wkrótce większość jej ziem została zajęta przez Wielkie Księstwo Litewskie. Dlatego Wielkie Księstwo Litewskie – wbrew swojej nazwie – było przede wszystkim państwem ruskim. Zamieszkiwali je głównie wyznający prawosławie Rusini, a językiem urzędowym był staroruski – „przodek” dzisiejszego języka białoruskiego i ukraińskiego.

Wielkie Księstwo Litewskie doczekało się jednak konkurencji. Dwa wieki później pojawił się nowy pretendent do spadku po Rusi Kijowskiej – książę moskiewski Iwan III Srogi. W 1478 roku ogłosił się „władcą Wszechrusi”, a celem jego – i jego następców – było zjednoczenie wszystkich dawnych ziem ruskich. Wielkie Księstwo Litewskie w walkach z Moskwą ponosiło ogromne straty, zagrożone było wręcz jego istnienie. Ratunkiem stało się podpisanie unii lubelskiej z Koroną Królestwa Polskiego, która połączyła te dwa odrębne państwa w jedną Rzeczpospolitą Obojga Narodów. W ten sposób także Polska stała się wrogiem państwa moskiewskiego. Przez kolejne 500 lat Polska stoczyła z Moskwą 17 wojen. (Warto policzyć, ile wojen Polska stoczyła z Niemcami przed pierwszym rozbiorem? Nie licząc napaści Krzyżaków, zaledwie sześć: Bolesław Chrobry trzy w latach 1002–1018, Mieszko II w latach 1028–1029/1031, Bolesław Krzywousty

w 1109 roku oraz Władysław Wygnaniec w 1157 roku, ewentualnie można tu jeszcze doliczyć, jako siódmą wojnę, udział Brandenburgii w potopie szwedzkim).

Przez długi czas Rzeczpospolita była górą. Za Zygmunta III Wazy zdobyto nawet Moskwę, a pojmany car Wasyl Szujski wraz z rodziną złożył hołd polskiemu władcy. Dopiero w 1654 roku na Rzeczpospolitą, osłabioną powstaniem Chmielnickiego, spadł atak moskiewski. Moskwa opanowała całą Litwę, wraz z Wilnem, a podjazdy podchodziły aż pod Warszawę.

Niewielu czytelników jest świadomych, że wojna polsko-moskiewska została opisana w pierwszym tomie *Potopu* Henryka Sienkiewicza. Trudno – nie wiedząc o tym wcześniej – zorientować się, z kim naprawdę walczy Kmicic, Wołodyjowski i Zagłoba. Wrogowie noszą nazwę „Septentrionów”, czyli ludzi północy. Winna jest oczywiście rosyjska cenzura, która w czasach Sienkiewicza nie dopuściłaby do druku książki o wojnach polsko-rosyjskich.

Dziś nikt nie łączy słowa „potop” z Rosjanami, ale powszechnie używa się nieprawidłowej zbitki słownej „potop szwedzki”. Tymczasem obecność Szwedów w Polsce trwała niecałe pięć lat, a obecność Moskali – kilkanaście. Wojna rozpoczęta w 1654 roku zakończyła się dopiero w 1667. Dlaczego więc dzieło Sienkiewicza mogło służyć „ku pokrzepieniu serc”? Ponieważ Rzeczpospolita – choć poniosła znaczne straty terytorialne – zachowała jednak suwerenność.

Choć po zakończeniu wojny Rzeczpospolita i Moskwa żyły w pokoju, to polska dyplomacja nie zgadzała się na używanie wobec państwa moskiewskiego nazwy Cesarstwo Rosyjskie. Oznaczałoby to bowiem akceptację moskiewskich ambicji jednoczenia wszystkich ziem ruskich, a więc także pretensji wobec Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Pokojowe nastawienie Moskwy do Polski było tylko pozorne, co ujawniło się w pełni w 1772 roku, gdy Rosja doprowadziła do rozbioru Rzeczypospolitej. Polacy – chcąc wzmocnić swoje państwo – uchwalili w 1791 roku Konstytucję 3 Maja. Dla Rosjan jednak była ona nie do przyjęcia, zwłaszcza że zapowiadała ostateczne zjednoczenie Polski i Litwy – już nie w Rzeczypospolitą Obojga Narodów – ale w jednolitą Rzeczypospolitą Polską. To uderzało w rosyjskie plany jednoczenia wszystkich ziem ruskich pod berłem cara i sprowokowało rosyjskie uderzenie w maju 1792 roku.

Polskie wojsko – ze względu na dwukrotną przewagę Rosjan – wycofywało się w kierunku Warszawy. Przewidywano, że tam dojdzie do decydującej bitwy. Z czasem przewaga Rosjan topniała: część swoich sił musieli pozostawić dla ochrony tyłów, podczas gdy Polacy rośli w siłę. Pod koniec lipca obie armie przekroczyły Bug. Do bitwy o Warszawę jednak nie doszło, ponieważ królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu zabrakło odwagi: przystąpił do konfederacji targowickiej, stając po stronie wrogów. W ten sposób Polacy – choć nie przegrali walnej bitwy – przegrali wojnę.

Późniejsza, trwająca przez wiele dziesięcioleci – nie tylko w czasach rozbiorów, ale i PRL – rosyjska kontrola nad polskim rynkiem wydawniczym i systemem edukacji wpłynęła na postrzeganie przez Polaków ich własnej historii. Paradoksalnie, król Stanisław August Poniatowski oceniany jest w polskiej historiografii raczej pozytywnie. Winą za upadek państwa obarcza się jego poprzedników – notabene: z pochodzenia Niemców – saskich Augustów. Wszyscy władcy, którzy walczyli przeciwko Moskwie – jak Zygmunt III Waza, Jan Kazimierz – są przedstawiani negatywnie. Natomiast „dobrzy” królowie albo współpracowali z Rosją – jak Jan III Sobieski, który z pobudek osobistych niepotrzebnie przedłużał wojnę

z Turcją – albo jej ulegali – jak Stanisław August Poniatowski, który bał się walczyć, ostatecznie doprowadził do upadku Rzeczypospolitej i zrzekł się korony za sute wynagrodzenie.

Powszechnie – a nie całkiem zgodne z prawdą – jest również twierdzenie, jakoby rozbiory trwały 123 lata. Trzeci rozbiór Rzeczypospolitej podpisano co prawda w 1795 roku, ale „Polska zniknęła z mapy” dopiero w 1797, gdy został ostatecznie zatwierdzony. Dopiero wtedy Rosja, Prusy i Austria postanowiły nie używać więcej nazwy Królestwo Polskie. Już w roku 1806 państwo polskie zostało odbudowane – jako Księstwo Warszawskie, a w 1815 roku stało się pełnoprawnym Królestwem Polskim. Państwo nie było duże, ale dobrze zorganizowane i bardziej suwerenne niż Polska Rzeczpospolita Ludowa. Niestety, jego królowie, byli jednocześnie carami Rosji, co po kilkunastu latach doprowadziło do konfliktu.

Dwudziestego dziewiątego listopada 1830 roku w Królestwie Polskim wybuchła rewolucja, w wyniku której król został zdetronizowany przez polski sejm. Na tym mogła się zakończyć unia personalna Polski z Rosją, a Rzeczpospolita stać się republiką, lecz niestety obalony król był również carem i nie zamierzał rezygnować z korony. Wysłał przeciw Polsce swoją armię i rozpoczęła się wojna. W ten sposób postrzegali te wydarzenia współcześni: po rewolucji listopadowej doszło do wojny polsko-rosyjskiej. Wiele lat później nazwano te wydarzenia powstaniem listopadowym. Zadaniem rosyjskiej propagandy było przekonać Polaków, że powstania zawsze kończą się klęską. (Jedynym wyjątkiem – według tej wykładni – było powstanie wielkopolskie, ale przecież toczono je przeciwko Niemcom).

W 1831 roku armia rosyjska pod dowództwem Iwana Dybicza – a właściwie Hansa von Diebitscha – ruszyła w kierunku Warszawy. Zatrzymały ją polskie wojska na

przedpolach Pragi, gdzie 25 lutego stoczono bitwę pod Olżynką Grochowską. Polacy przeszli do kontrofensywy, która z kolei została zatrzymana przez Rosjan w bitwie pod Ostrołęką. Wojska rosyjskie – dowodzone tym razem przez Iwana Paskiewicza – ponownie ruszyły na Warszawę. Rosjanie obawiali się po raz kolejny szturmować od strony Pragi, dlatego obeszli Warszawę od północy, we Włocławku przeprawili się na zachodni brzeg Wisły i zaatakowali od zachodu. Ósmego września Rosjanie zdobyli Warszawę, a ostatnie oddziały polskie kapitulowały pod koniec października. W ten sposób zakończyło się powstanie listopadowe, a w rzeczywistości wojna polsko-rosyjska 1831 roku.

O ile kwestie niemieckie mają wśród mitów 1920 roku jedynie anegdotyczne znaczenie – autorzy zastrzegają przy okazji, że nie czują do Niemców sympatii ani mniejszej, ani większej niż do Rosjan – to pozostałe zagadnienia są bardzo istotne. *Натиск на запад* był równie realnym zjawiskiem co *Drang nach Osten*, a geneza rosyjskiej agresji na Polskę w roku 1920 sięga wieków średnich. Przez stulecia zmagania toczyły się na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego – a stawką w nich był spadek po Rusi Kijowskiej. Przynajmniej kilka razy scenariusz wojen podobny był do kampanii roku 1920. Podobny – ale nie taki sam.

Wojna polsko-bolszewicka czy polsko-rosyjska?

Wojna, której szczytowym punktem była bitwa warszawska, to wojna polsko-bolszewicka. Używanie określenia „Sowieci” jest niewłaściwe, bo przecież słowo to ma swój polski odpowiednik. Przeciwnikami Polaków byli nie Rosjanie, a bolszewicy, czyli władza radziecka.

Do roku 1917 wschodni sąsiad – i okupant – Polski oficjalnie nosił nazwę Cesarstwa Rosyjskiego (Российская империя). Przez długi czas państwa europejskie nie chciały jej uznać, ponieważ cesarz powinien być tylko jeden. Rzeczpospolita uczyniła to dopiero w roku 1764, przedtem używając określenia „Moskwa” (dla państwa) i Moskale (dla jego mieszkańców). Nazwa ta była używana jeszcze w XIX wieku – chociażby w poezji Mickiewicza – a nawet w początkach wieku XX.

W marcu 1917 roku wybuchła w Petersburgu – stolicy Cesarstwa – rewolucja lutowa. Car został obalony, a państwo zmieniło nazwę na Republika Rosyjska. W listopadzie 1917 roku wybuchła kolejna rewolucja – październikowa – po której stolica została przeniesiona do Moskwy, a państwo znów zmieniło nazwę, początkowo na Rosyjska Republika

Sowiecka, a następnie – już latem 1918 roku – na Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Sowiecka.

Określenie „sowiecki” wiąże się z systemem władzy. Nie była ona realizowana przez parlament, a przez rady robotniczo-chłopskie, na których robotnicy, chłopci i szeregowi żołnierze podejmowali decyzje dotyczące państwa. Z rosyjskiego rady nazywano „sowietami”. W ówczesnej polszczyźnie posługiwano się określeniem „władza rad” albo „władza sowiecka”. Nie używano natomiast określenia „władza radziecka”.

Jednym z powodów był fakt, że przymiotnik „radziecki” w języku polskim istniał i miał całkowicie odmienne znaczenie. Odnosi się do rad miejskich, a księgi radzieckie były odpowiednikiem hipoteki w czasach niepodległej Rzeczypospolitej. Przymiotnik „radziecki” oznaczał więc porządek prawny, pewność posiadania i spokoju społecznego. Przymiotnik „sowiecki” oznaczał coś kompletnie sprzecznego: bałagan prawny, grabież i wojnę domową.

Słowa „sowiecki” nie tłumaczy się na języki narodowe, a dokładniej – nie tłumaczono go na języki suwerennych narodów. Czyniono to jedynie wówczas, gdy państwo lub naród miały być częścią Związku Sowieckiego, stąd „tarybų” w języku litewskim, czy „радянськи” w języku ukraińskim. Dobrym przykładem jest istniejąca krótko Bawarska Republika Rad – Bayerische Räterepublik. Współcześnie w niemczyźnie używa się określenia Sowjetrepublik.

Istotna jest również kwestia wygody językowej. Łatwiej napisać „Sowietci spalili miasto, później zgwałcili i obrabowali jego mieszkańców” niż „ludzie radzieccy spalili miasto, a później zgwałcili i obrabowali jego mieszkańców”. Oczywiście słowo „sowiecki” jest – dlatego zostało zakazane – nacechowane pejoratywnie. Jakże jednak ma być? Pozytywne?

Dlatego po roku 1932 – po podpisaniu „Paktu nieagresji między Rzeczpospolitą Polską a Związkiem Socjalistycznych Republik Rad” – polsko-sowieckiego paktu o nieagresji – zaczęto półoficjalnie – i dość bezmyślnie – używać przymiotnika „radziecki”. Czyniono to dla ocieplenia wizerunku „ludzi radzieckich”.

Sowieci najechali jednak Polskę w 1939 roku i zainstalowali tutaj swoje władze. Między innymi Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli cenzurę. Zabroniła ona używania słowa „sowiecki”. Instytucja ta została zlikwidowana w 1990 roku, nie ma więc już powodu, żeby być posłusznym jej poleceniom w roku 2020. Na pewno słowa „radziecki” nie można używać do opisywania wydarzeń roku 1920: byłby to błąd zwany anachronizmem i nie zostalibyśmy zrozumiani przez ówczesnych Polaków.

Dużo większe znaczenie niż słowo „sowiecki” ma drugi przymiotnik w nazwie wroga Polski z 1920 roku – „federacyjny”. Ono także określa strukturę państwa. Do tego momentu Rosja była państwem scentralizowanym i niepodzielnym, federacyjność oznaczała zdecentralizowanie władzy i uznanie autonomii narodów – niektórych narodów – zamieszkujących imperium.

I był to bardzo zły znak dla Polski.

Cesarstwo Rosyjskie było bowiem jednym z zaborców. Zachodnie granice zaboru rosyjskiego zostały ustalone w 1795 roku i biegły wzdłuż Bugu linią, którą później – o czym warto pamiętać – nazwano „linią Curzona”. Na zachód od tej granicy istniało Królestwo Polskie. Chociaż w 1831 roku państwo to zostało zajęte przez wojska rosyjskie, to formalnie nadal istniało, nie było częścią Rosji, tylko ziemiami okupowanymi. Społeczność międzynarodowa nie tyle uznawała istnienie Królestwa Polskiego, ile pamiętała o nim w sposób

instytucjonalny. Stało się to podstawą prawną „aktu dwóch cesarzy” z 5 listopada 1916 roku, które odbudowywało – a nie budowało – Królestwo Polskie.

Federalizacja imperium rosyjskiego oznaczała niebezpieczeństwo, że Królestwo Polskie może znów zostać podporządkowane władzy moskiewskiej, ale już jako część Rosji. Rosji sfederalizowanej, ale niepodzielnej.

Główną siłę polityczną w Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republice Sowieckiej stanowili bolszewicy, skrajna frakcja Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji. Wbrew nazwie nie stanowili oni „większości”, tą bowiem byli „mieszwicy”, czyli umiarkowana frakcja SDPRR. Bolszewicy byli komunistami, wyznawcami ideologii Karla Marxa, mieszwicy zaś socjalistami. Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Sowiecka w latach 1917–1921 rządzona była przez koalicję bolszewików i mieszwików. Z rosyjskiego punktu widzenia Polska w latach 1918–1922 była rządzona przez koalicję mieszwików, nacjonalistów i „eserowców”.

„Eserowcami” określano w Rosji zwolenników Partii Socjalistów-Rewolucjonistów, postępowej partii chłopskiej, których można by porównać do Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”. Eserowcy stanowili w Rosji największą siłę polityczną, mieli bowiem najwięcej zwolenników. Spośród 181 milionów poddanych rosyjskich w roku 1916, robotnicy stanowili jedynie 3 miliony, niemal całą resztę – chłopci.

Bardzo szybko pomiędzy bolszewikami a eserowcami doszło do konfliktu, który w połowie 1918 roku przemienił się w wojnę domową. Wojnę pomiędzy „czerwonymi” i „zielonymi”. W początkach 1919 roku do wojny tej dołączyli „biali”, którym przewodzili carscy oficerowie, wrodzy wszelkiemu postępowi, zarówno czerwonemu, jak i zielonemu. Latem 1919 roku „biali” rozbili „zielonych”, ale jesienią sami zostali

pokonani przez „czerwonych”, którym pomagali żądni zemsty „zieloni”.

Przez cały ten czas istniała Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Sowiecka, uznawana – jeśli nie de iure, to de facto – przez społeczność międzynarodową. „Zieloni”, „biali”, a nawet „czarni” – czyli anarchiści – byli jedynie uzurpatorami.

Podstawowym zadaniem Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej było odzyskanie kontroli nad ziemiami Cesarstwa Rosyjskiego, a więc – w rozumieniu Moskwy – także i nad Polską. „Federacja” to ładne słowo, ale centralne władze rosyjskie zupełnie nim się nie przejmowały. Instytucje „Litewsko-Białoruskiej Republiki Sowieckiej” – efemerydy powstałej na polskich kresach wschodnich w 1919 roku – były rzekomo samodzielne. Była to jednak tylko fasada, którą centrala rosyjska w ogóle się nie przejmowała. I tak w Nowogrodzie – oraz innych miastach – istniały komitety rejonowe nie Republiki Litewsko-Białoruskiej, tylko Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. To samo byłoby i w Polsce.

Gdy w 1920 roku Armia Czerwona rozpoczęła marsz na Warszawę, Rosjanie mieli tylko jeden cel: podporządkować sobie Polskę. Pomysł „eksportu rewolucji komunistycznej na Zachód” pojawił się w trakcie trwania kampanii, a właściwie – w trakcie negocjacji pomiędzy Moskwą a Londynem, rzekomo popierającym Polaków. Opowiemy o tym w jednym z następnych rozdziałów.

Kiedy i gdzie zaczęła się wojna?

Wojna pomiędzy odrodzoną Rzeczpospolitą Polską a Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republiką Rad rozpoczęła się 14 lutego 1919 roku starciem koło miasteczka Mosty niedaleko Szczuczyna, gdzie wysunięte poza wycofujące się jednostki niemieckie oddziały Wojska Polskiego powstrzymały dalszy marsz na zachód w ramach operacji „Cel Wisła” oddziałów Frontu Zachodniego Armii Czerwonej.

U schyłku I wojny światowej stało się jasne, że Wilno będzie kością niezgody pomiędzy Litwinami a Polakami. Oba narody aspirowały do niepodległości, państwa centralne zobowiązały się do odbudowy państwa polskiego, a jednocześnie cesarz Wilhelm II zagwarantował Litwie niezależność po zakończeniu wojny. We wrześniu 1917 roku powołano nawet Tarybę – Litewską Radę Państwową, która w lutym 1918 roku proklamowała niepodległość. Państwo miało być królestwem ściśle związanym z Niemcami, a koronę zaproponowano Wilhelmowi von Urach z morganatycznej linii książąt Wirtembergii. Wybraniec przyjął ofertę i miał wstąpić na tron jako Mendog II. Oczywiście państwo litewskie istniało tylko teoretycznie, gdyż jego terytorium okupowały wojska niemieckie.

Przewodniczący Taryby Antanas Smetona uważał, że w polityce nie ma sentymentów. Wprawdzie głosił, że jest zwolennikiem współpracy z Polakami, ale odrodzona Litwa nie może istnieć bez swojej historycznej stolicy, czyli Wilna. Przy okazji przyznawał także, że polska kultura jest na tyle atrakcyjna, że Litwini obawiają się utraty tożsamości narodowej. I nie miał znaczenia fakt, że miejscowi Polacy mieli litewskie czy białoruskie korzenie.

Interesujący był ówczesny skład narodowościowy Wilna. Polacy stanowili 54% mieszkańców, Żydzi 31%, a Litwinów było zaledwie nieco ponad dwa tysiące (niespełna 2%). Niewielu mniej było Rosjan (około 1,6%), chociaż większość z nich opuściła miasto tuż przed wkroczeniem Niemców.

Podpisany 3 marca 1918 roku w Brześciu traktat pokojowy pomiędzy Rosją a państwami centralnymi oznaczał, że Litwa oficjalnie przeszła w niemiecką sferę wpływów. Było to potwierdzeniem stanu faktycznego, a Berlin zamierzał rozgrywać spory narodowościowe według własnych potrzeb. Niemieccy politycy doskonale zdawali sobie sprawę z siły polskiego żywiołu na Wileńszczyźnie, ale nie zamierzali tych ziem darować Polakom. Koncepcje zresztą się zmieniały, trwała wojna z państwami zachodnimi i do czasu jej zakończenia nie zamierzano podejmować ostatecznych rozstrzygnięć. W tej chwili było ważniejsze, że dawne imperium carów zostało wyeliminowane z wojny i można było przerzucić znaczną część wojsk na front zachodni. Przy okazji Niemcy zdobyły dominującą pozycję w Europie Wschodniej, a granice Rosji zostały cofnięte nad Morzem Bałtyckim niemal do czasów Piotra Wielkiego, a na południu do epoki wielkiego księcia Witolda.

Inna sprawa, że dawne Kresy Rzeczypospolitej były wówczas jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc na kuli ziemskiej. Niemieckie i austriackie władze okupacyjne

sprawowały tylko częściową kontrolę, wszędzie wałęsały się rabujące i mordujące bandy maruderów z dawnej armii rosyjskiej. Podobnie zachowywali się miejscowi chłopci, którzy podburzani przez bolszewików usiłowali wziąć sprawy we własne ręce. Do tego dochodziło jeszcze postępowanie urzędników i służb porządkowych nowo powstających państw, którzy przyzwyczajeni do rosyjskich obyczajów, usiłowali jak najwięcej uzyskać dla siebie. Nie brakowało też zwyczajnych bandytów, gdyż każdy długotrwały konflikt zbrojny powodował wzrost przestępczości.

W tej sytuacji ludność polska na Kresach tworzyła ochotnicze formacje wojskowe, które miały zapewnić jej bezpieczeństwo. Wypełniały one zresztą nie tylko funkcje policyjne, ale były także dowodem polskich aspiracji do tych terenów. Niektóre z nich powstawały spontanicznie, inne organizowali zaможniejsi ziemianie. Część z tych oddziałów przeszła z czasem do legendy, jak oddział rotmistrza Feliksa Jaworskiego na Wołyniu. Natomiast na Wileńszczyźnie sławą okrył się oddział Jerzego i Władysława Dąmbrowskich, w którego szeregach walczyli dwaj bracia mający w przyszłości zapisać się w dziejach polskiej literatury. Stanisław (Cat) i Józef Mackiewiczowie...

We wrześniu 1918 roku powstała w Wilnie lokalna organizacja Związku Wojskowych Polaków, na której czele stanął rodowity wilnianin, kapitan Stanisław Bobiatyński. Dwudziestego października 1918 roku odbył się wielki pochód z katedry do Ostrej Bramy, co było manifestacją polskości miasta. Było to tym ważniejsze, że w tym czasie sytuacja militarna i polityczna państw centralnych uległa gwałtownemu pogorszeniu. W połowie września aliancka Armia Orientu ruszyła z greckich Salonik na północ i w ciągu kilku dni rozbiła brońące przełęcz wojska niemieckie i bułgarskie. Niemcy odeszli na północ, a 30 września osamotniona Bułgaria podpisała

zawieszenie broni. W następnym miesiącu 29 dywizji Ententy załało Bałkany, z czego większość ruszyła na Belgrad, a celem dla pozostałych była Rumunia i Stambuł.

W tej sytuacji z wojny wycofały się Bułgaria i Turcja, a Austro-Węgry stanęły na skraju przepaści. Kolejne ludy pozostające pod rządami Habsburgów aspirowały do niepodległości, natomiast ościennie państwa planowały rozbiór. W efekcie, według niezbyt eleganckiego określenie jednego z historyków, monarchia Habsburgów „rozłaziła się jak stare gacie”. Niemcy wypierani z terenów Francji i Belgii pozostali sami na placu boju, co wróżyło rychły koniec wojny. Tym bardziej że sytuacja ekonomiczna ich kraju była gorzej niż fatalna.

Wszyscy zdawali sobie w Wilnie sprawę z faktu, że jeżeli Niemcy opuszczą miasto, to władze litewskie bez ich poparcia nie utrzymają się nad Wilią. Na taką okazję czekali jednak także bolszewicy, którzy nigdy nie ukrywali, że planują zerwanie traktatu brzeskiego w sprzyjającej sytuacji. Na razie jednak czerwoni władcy Kremla mieli na głowie walkę z białymi, ale nigdy nie zapominali, że Wilno przez ponad sto lat należało do Rosji. Poza tym droga do podboju Europy i światowej rewolucji wiodła przez to miasto.

Jedenastego listopada 1918 roku podpisano w Compiègne zawieszenie broni z Niemcami. Wśród jego warunków było także wycofanie się wojsk niemieckich na wschodzie na granicę z 1914 roku oraz anulowanie traktatu brzeskiego. Wprawdzie wiadomo było, że ewakuacja dawnej armii kaje-ra potrwa pewien czas, ale stanowiło to ogromną szansę dla bolszewików. Na wschodzie tworzyła się próżnia polityczna, a poza tym można było przejąć broń od Niemców i dobroić Armię Czerwoną.

Tymczasem stojący na czele Samoobrony Wileńskiej (Samoobrony Litwy i Białorusi) generał Władysław Wejtko udał

się w pierwszych dniach grudnia do Warszawy. W Belwedrze spotkał się z Józefem Piłsudskim, a Naczelnik Państwa stwierdził, że nigdy nie wątpił, że „Wilno będzie nasze”, i że wjedzie do niego na swojej ulubionej Kasztance. Ostatecznie Wilno było jedną ze stolic Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a Piłsudski spędził tam młode lata i na zawsze pozostał mu ogromny sentyment.

Ważniejsza niż sentyment była jednak decyzja, na mocy której 8 grudnia generał Władysław Wejtko został przyjęty w poczet oficerów Wojska Polskiego. Jednocześnie powierzono mu „przedstawicielstwo polskich interesów wojskowych z prawem organizowania i wykonywania wszelkich czynności, związanych z formacjami jednostek wojskowych i milicyjnych polskich na powyższych terenach”*. Oznaczało to włączenie Samoobrony Wileńskiej w struktury Wojska Polskiego. Już wcześniej ujęto jej oddziały w jednolite formy organizacyjne, a teraz oficjalnie stała się ona częścią odrodzonych polskich sił zbrojnych. W Wilnie powołano pułk piechoty i pułk jazdy, natomiast w Lidzie pułk piechoty i oddział kawalerii.

W mieście urzędowała jednak wciąż Taryba i stacjonowały oddziały niemieckie, a od wschodu zbliżali się bolszewicy. W związku z tym generał Władysław Wejtko 29 grudnia wydał rozkaz mobilizacyjny, nawołując, aby nie pozwolić, by „łuny czerwonego cara przerzuciły się na ziemie Litwy i Białorusi”. Zarządził, by wszyscy zdolni do noszenia broni Polacy w wieku powyżej 17. roku życia stawili się w biurze zaciągowym wojsk polskich, Litwini natomiast mieli zgłaszać się do formacji litewskich. Żydom i Białorusinom pozostawiono wolny wybór, pod czyją komendą chcą walczyć.

* W. Rezmer, *Walki o Wilno w styczniu 1919 roku – początek wojny polsko-sowieckiej*, w: „Europa Orientalis”, 2/2010.

Rozkaz Wejtki oznaczał mobilizację sił zbrojnych na Wileńszczyźnie, a co za tym idzie, był pierwszym krokiem do wojny polsko-rosyjskiej, którą zakończył traktat w Rydze. Nawet jeśli nie uznamy tego wydarzenia za początek wojny, to następne dni nie pozostawiły już żadnych złudzeń. Wówczas to Wojsko Polskie i Armia Czerwona rozpoczęły regularny konflikt zbrojny.

W tym czasie Niemcy rozpoczęli ewakuację i do 31 grudnia miasto opuściła większość oddziałów okupacyjnych. Ostatnie grupy wyjeżdżały w kolejnych dniach, a wraz z nimi także władze litewskie. Generał Władysław Wejtko przystąpił do obsadzania miasta i czasami dochodziło do sporadycznych walk pomiędzy żołnierzami polskimi i niemieckimi.

Ważniejsze było jednak postępowanie miejscowych komunistów, którzy przygotowywali demonstrację zbrojną w chwili pojawienia się Armii Czerwonej pod Wilnem. Kilkudziesięciu z nich zabarykadowało się w magazynie broni przy ulicy Wroniej i odmówiło poddania się. W tej sytuacji rozpoczął się szturm i po południu 2 stycznia zwolennicy Kremla poddali się. Kilkudziesięciu komunistów dostało się do niewoli, pięciu popełniło samobójstwo, w tym dwóch bolszewickich komisarzy. Polacy zdobyli około tysiąca karabinów. Na wiadomość o rozbiciu komunistycznego spisku miasto ogarnął szal radości.

„Ukazały się polskie chorągiewki i białe orzełki – wspominał Wejtko. – Winszowano sobie powodzenia na wstępie roku nowego, bratano się z żołnierzem polskim, a nawet wielu żydziaków powkładało na swe czapki białe orzełki i zaczęło mówić na ulicach po polsku...”*

* W. Wejtko, *Samoobrona Litwy i Białorusi. Szkic historyczny*, Wilno 1930, s. 41.

Walki z bolszewikami rozpoczęły się 4 stycznia rano w okolicach stacji kolejowej Nowa Wilejka. Dowództwo Armii Czerwonej było zaskoczone faktem opanowania miasta przez Polaków i postanowiło zająć Wilno z marszu. Niebawem doszło do kolejnych gwałtownych starć na Antokolu. Miasto atakowały trzy rosyjskie pułki. Były to pierwsze walki z regularnymi siłami bolszewickimi, jakie prowadziło Wojsko Polskie. Zatem 4 stycznia 1919 roku można bezsprzecznie uznać za początek wojny polsko-rosyjskiej.

Inna sprawa, że walki o Wilno nie trwały zbyt długo, następnego dnia skoncentrowane uderzenie z trzech stron wspierane przez artylerię doprowadziło do opanowania miasta przez Armię Czerwoną. Polskie siły były zbyt słabe, by powstrzymać Rosjan, nie posiadano też w ogóle dział, tylko broń ręczną i cztery karabiny maszynowe. W tej sytuacji wieczorem 5 stycznia zarządzono ewakuację w kierunku zachodnim, gdzie kilka kilometrów od miasta stacjonowały jeszcze wojska okupacyjne. Dowódcy większości wileńskich oddziałów zgodzili się na niemiecką propozycję rozbrojenia i odtransportowania do Łap, gdzie operowało już Wojsko Polskie. Tam wilnianie zostali przyjęci do Dywizji Litewsko-Białoruskiej.

Nie wszyscy jednak zdecydowali się wycofać, należeli do nich bracia Dąmbrowscy i ich podwładni.

„Na dzielnym kasztanie przed front jako tako wyrównanej konnej zbieraniny wysadził się Jerzy Dąmbrowski – wspominał ksiądz Walerian Meysztowicz. – Chudy, świetnie wrośnięty w siodło, sprężyste zgięty na tańczącym kasztanie, z wydatnym nosem, krzywą głową, sterczącymi uszami, z wysadzonymi oczami – wysoko podniósł szablę, konia osadził – i palnął niezapomnianą przemowę z trzech słów:

»Chłopcy – Ojczyzna – Bolszewicy«. Po czym dodał trzy niecenzuralne słowa po rosyjsku”^{*}.

Dąmbrowcy zdecydowali się przedrzeć na obszary pod kontrolą władz w Warszawie. Dwa szwadrony i batalion piechoty (na saniach!) ruszyły w kierunku Lidy, Grodna i Brześćcia, w czym nie przeszkodziła im wyjątkowo ostra zima. Po drodze walczyli zajądło z Rosjanami, dołączali do nich ochotnicy, a na początku lutego wyparli Niemców z Brześćcia. W tym samym czasie pod miasto podeszły od zachodu oddziały Wojska Polskiego, co skwitowano stwierdzeniem, że było to „ostatnie w dziejach spotkanie pospolitego ruszenia Litwy z pospolitym ruszeniem Korony”.

^{*} W. Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*, Londyn 1986, s. 173.

Z kim Polacy walczyli w 1919 roku?

W roku 1919 mało co się działo. Najważniejszym wrogiem młodego państwa polskiego byli Niemcy, dużo uwagi poświęcano również Ukraińcom, szczególnie wschodniogalicyskim, walczącym o Lwów.

Rok 1919 miał dla Polski dużo większe znaczenie niż rok 1918. Odzyskiwanie niepodległości było bowiem długotrwałym procesem, a nie jednodniowym aktem strzelistym z 11 listopada. Odbudowa państwowości polskiej zaczęła się wraz z odtwarzaniem samorządów w miastach Królestwa Polskiego zajmowanych (wyzwalanych?) przez Austriaków i Niemców – a także Polaków – w 1914 roku, przybrała na sile w roku 1915, została zinstytucjonalizowana „Aktem Dwóch Cesarzy” w roku 1916, a w kolejnym roku powstał polski rząd, który zerwał z Niemcami już w pierwszych dniach października 1918 roku.

Czy Królestwo Polskie było przez Niemców w czasie Wielkiej Wojny zajmowane czy wyzwalone? To kwestia odpowiedniej perspektywy. Na dziedzińcu warszawskiego kościoła pw. Matki Bożej Loretańskiej – nieopodal symbolicznego

grobu Rocha Kowalskiego – znajduje się pomnik wyrażający wdzięczność Niemcom za wyrzucenie Moskali z Warszawy w 1915 roku. Trzy lata później inskrypcja została uzupełniona kolejną: wyrażającą wdzięczność za wyrzucenie Niemców z Warszawy w roku 1918...

Rok 1919 był prawdziwym rokiem odbudowy Polski. Przede wszystkim zebrał się Sejm Ustawodawczy. Dziś – w dobie niechęci do polityków – wydarzenie to jest najczęściej lekceważone, miało jednak dla odbudowy Rzeczypospolitej równie wielkie – a chyba nawet większe – znaczenie niż wszystkie polskie wojny toczone w tym czasie.

Większość powstałych po Wielkiej Wojnie państw czekała z wyłonieniem parlamentu na uspokojenie sytuacji i zakończenie toczonych wojen. Wydawać się to mogło dobrym pomysłem – unikano bowiem sporów politycznych – ale miało fatalne następstwa. Decyzje – zamiast parlamentów – podejmowali dyktatorzy. Najmniejsza porażka, najmniejszy kryzys sprawiał, że zaufanie społeczne błyskawicznie topniało, decyzje były powszechnie krytykowane. Dyktatorzy albo zmieniali się co kilka miesięcy – obalani przez niezadowolone tłumy, gwardie pretoriańskie, służby specjalne mocarstw – albo utrzymywali swoją władzę, zamieniając się w krwawych tyranów. Każdą ich decyzję – nawet tę najważniejszą – dotyczącą wojny i pokoju można było oprotestować jako nielegalną. Brak legalnej władzy wyłonionej przez społeczeństwo kończył się pasmem porażek, a czasem i upadkiem państw.

W Warszawie podjęto odmienną decyzję: wybory miały być pierwszym aktem polskiej niepodległości. Przeprowadzono je na wyzwolonych terenach już 26 stycznia 1919 roku. Dziś jest to wyrażenie nieco zdewaluowane przez polityków, ale od stycznia 1919 roku suwerenem był naród, realizujący swoją wolę poprzez pośredników mających legitymację

społeczną – Naczelnika Państwa, Sejm, Radę Ministrów. Najlepszym tego przykładem jest sprawa pieniędzy i wojska.

Do czasu wyłonienia Sejmu Ustawodawczego nie przeprowadzono w Polsce poboru, a podatki nakładano bardzo niechętnie. Kto miał bowiem to uczynić? Tymczasowy Naczelnik Państwa, który sam siebie powołał na to stanowisko? Prezes Komitetu Narodowego Polskiego, powołany na to stanowisko przez grupkę kolegów? Każdy mógł uznać ich za uzurpatorów, nałożone podatki za grabież, a nakazany pobór – za zniewolenie.

Pieniądze i wojsko były bardzo potrzebne, Polska toczyła bowiem wojnę ze wszystkimi niemal sąsiadami. Pierwszy wybuchł konflikt z Zachodnioukraińską Republiką Ludową – o Małopolskę Wschodnią. Kolejnym była wojna z Ukraińską Republiką Ludową – o Wołyń i Chełmszczyznę. Sylwester 1918 roku upłynął pod znakiem rosyjskiego ataku na Wileńszczyznę i Nowogródczyznę. W pierwszych dniach stycznia 1919 roku agresję w kierunku Bielska i Białej rozpoczęli Czesi. Pod koniec stycznia Wielkopolskę zaatakowali Niemcy.

Początkowo we wszystkich tych wojnach porażki ponosili Polacy. Nasi przeciwnicy dysponowali bowiem silnymi armiami. Rusini w Małopolsce Wschodniej niemal od razu rzucili przeciw Polakom masy niewyszkolonych ochotników. Ukraińcy z Kijowa dysponowali ćwierćmilionową armią organizowaną od 1917 roku. Armia Czerwona szykowała się do marszu na zachód od wiosny 1918 roku. Praga skorzystała ze swojej własnej „błękitnej armii” sformowanej przez Francuzów oraz Włochów, błyskawicznie przerzuconej do Czech. Niemcy dysponowali setkami tysięcy weteranów Wielkiej Wojny.

Siły zbrojne Rzeczypospolitej były natomiast słabe. Co więcej – miały inne zadania. Przede wszystkim musiały zaprowadzić porządek w kraju i spacyfikować lokalne bojówki

partyjne – zarówno lewicowe, jak i prawicowe, nie wspominając o chłopskich. To, że udało się przeprowadzić wybory, jest znakomitym i zapomnianym osiągnięciem polskiego rządu. Kolejnym zadaniem garstki polskich żołnierzy było wyszkolenie zgłaszających się ochotników. Po kilku miesiącach dysponowano już wystarczająco silną armią, aby odzyskać utracone ziemie.

Większość wojen granicznych dobiegła końca jeszcze przed wiosną 1919 roku. Agresja niemiecka zakończyła się 16 lutego po interwencji Francji, podobnie – choć kilka dni później – powstrzymano Czechów. Walki z Ukraińską Republiką Ludową wygasły samoistnie, ze względu na fatalną pogodę i niewielkie zainteresowanie drugorzędnym dla obu państw frontem.

Wiosną wciąż trwała wojna polsko-galicyska, pod koniec marca odparto ostatni – jak się miało okazać – szturm na Lwów. Miesiąc później – w Wielkanoc – rozpoczęła się polska ofensywa, którą kontynuowano w maju, wykorzystując dopiero co przybyłe do kraju dywizje polskiej „błękitnej armii”, sformowanej przez Francuzów oraz Włochów. Doprowadziła ona niemal do ostatecznej klęski ZURL. „Niemał”, ponieważ w czerwcu – gdy część polskich formacji została wycofana do obserwacji Niemców mających realizować postanowienia traktatu wersalskiego – nastąpił rozpaczliwy zryw Rusinów, szybko zresztą spacyfikowany. Szesnastego lipca 1919 roku władze i wojsko Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej przeszły przez Zbrucz, a wojna została zakończona.

Wciąż trwała jednak wojna z Rosjanami. Jedenasty listopada 1918 roku, który dla świata był końcem Wielkiej Wojny, a dla Polski – dniem niepodległości, dla Rosjan i ich sąsiadów oznaczał jedynie początek kolejnego aktu tragedii.

Rosjanie uznali, że nie są skrzępowani już pokojem brzeskim, i niemal natychmiast uderzyli we wszystkich kierunkach, starając się podbić Estonię, Łotwę, Litwę, Białoruś i Ukrainę. Oraz Polskę. Początkowo – na przełomie 1918 i 1919 roku – Rosjanie odnosili sukcesy. Zdołali zająć niemal całą Estonię, Łotwę, Białoruś oraz Ukrainę. Instalowali tam marionetkowe rządy, które wykonywały polecenia płynące bezpośrednio z Moskwy. Po kilku miesiącach takich rządów podbite narody znów stawały do walki. Wiosną i latem 1919 roku Estończycy – z pomocą Brytyjczyków, Francuzów oraz... Niemców – wyrzucili bolszewików ze swojej ojczyzny, a następnie sami udzielili pomocy Łotyszom.

Na Białorusi sytuacja była bardziej skomplikowana. Ziemie te wciąż traktowano jako Wielkie Księstwo Litewskie i bardzo często nazywano po prostu Litwą (stolicą Białorusi jest przecież dawny Mińsk Litewski). Dawne Wielkie Księstwo Litewskie zamieszkane było przez Rusinów – którzy nie wiedzieli, czy chcą być Białorusinami, czy Rosjanami – Polaków oraz ludność nazywaną powszechnie Żmudzinami, którzy chcieli stworzyć państwo zwane Republiką Litewską. Temu skomplikowanemu problemowi poświęcimy zresztą jeszcze bardzo dużo uwagi.

Po opanowaniu przez Armię Czerwoną Białorusi doszło do pierwszych walk pomiędzy Polakami a Rosjanami. Rozpoczęła się wojna. Z różnych powodów – klimatycznych, politycznych, strategicznych – prowadzona była zrywami.

Pierwsze starcia nastąpiły wokół Wilna na przełomie 1918 i 1919 roku: osamotnione polskie formacje musiały opuścić miasto i przebiegać się do swoich. Było to trudne zadanie – ziemie pomiędzy Wileńszczyzną a Podlasiem były okupowane jeszcze przez Niemców. Ich obecność sprawiła,

że przez kilka tygodni Polacy i Rosjanie nie mieli ze sobą bezpośredniego kontaktu.

W lutym 1919 roku ewakuacja niemieckich wojsk okupacyjnych nabrała tempa, a ziemie przez nich opuszczane zajmowali od zachodu Polacy, a od wschodu Rosjanie. Walki rozpoczęły się ponownie 14 lutego pod miasteczkiem Mosty nad Niemnem, gdzie Wojsko Polskie próbowało powstrzymać Armię Czerwoną. Przez kolejnych kilka tygodni Polacy dość skutecznie powstrzymali Rosjan, angażując do walki dwa zgrupowania: Grupę Podlaską – późniejszą 9. Dywizję Piechoty – oraz Dywizję Litewsko-Białoruską, zorganizowaną z uchodźców kresowych. W marcu zdołano nawet przesunąć front nieco na wschód, szczególnie na południowej flance, na bagnistym Polesiu.

W kwietniu na front przybyła z Wołynia 1. Dywizja Piechoty Legionów pod dowództwem Edwarda „Śmigłego” Rydza. Pozwoliło to na przeprowadzenie ofensywy wielkanoce, która doprowadziła 19 kwietnia do wyzwolenia Wilna i Lidy. Co ważniejsze, udało się odeprzeć rosyjską kontrofensywę skierowaną na Wilno, korzystając z braku koordynacji u atakujących i po kolei rozbijając nadchodzące kolumny.

Piętnastego maja 1919 roku zreorganizowano Wojsko Polskie, powołując między innymi Front Litewsko-Białoruski, dowodzony przez generała Stanisława Szeptyckiego. Stopniowo trzy wspomniane już dywizje były wzmacniane siłami przybyłymi z innych frontów: w czerwcu zakończył się konflikt z Niemcami w Wielkopolsce oraz z Rusinami w Małopolsce Wschodniej. Latem w składzie Frontu Litewsko-Białoruskiego znalazły się: 1. Dywizja Strzelców Wielkopolskich (późniejsza 14. DP), 2. DP Leg. przybyła z Małopolski oraz 8. DP zorganizowana w Warszawie. Coraz silniejsza stawała się również polska kawaleria, która z niewielkich szwadronów

rozpoznawczych zorganizowała pułki, które następnie weszły w skład I Brygady Jazdy.

Rosnące siły polskie pozwoliły na przeprowadzenie ofensywy. Pierwsza próba – podjęta 1 lipca – nie przyniosła większych sukcesów, chociaż front został przesunięty kilkanaście–kilkadziesiąt kilometrów na wschód. Druga próba – podjęta 8 sierpnia większymi siłami, w tym także z użyciem czołgów – przyniosła wyraźny sukces: wyzwolono Mińsk Litewski, a we wrześniu front znalazł się na Berezynie. W ten sposób osiągnięto praktycznie granicę Rzeczypospolitej z 1772 roku, czyli po pierwszym rozbiorze, Polacy powstrzymali więc dalsze akcje ofensywne, nie chcąc wkraczać na ziemie rosyjskie.

Nie oznaczało to jednak końca polskich operacji przeciwko Armii Czerwonej. Wciąż prowadzono akcje defensywne nad Berezyną i na Polesiu. Czasem dochodziło do walk również nieco na południu, wzdłuż Zbrucza. Rzeka ta była granicą pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Ukraińską Republiką Ludową, ale gdy jesienią 1919 roku państwo to zajęła Armia Czerwona, Wojsko Polskie obsadziło strefę buforową wraz z Kamieńcem Podolskim, w którym schronienie znalazł rząd URL. Wreszcie w styczniu 1920 roku Wojsko Polskie wspólnie z Wojskiem Łotewskim wyzwoliło spod władzy bolszewików łotewski Dyneburg.

Od pierwszego dnia 1919 roku Rosja prowadziła działania wojenne przeciwko Polsce. Przez siedem z dwunastu miesięcy 1919 roku jedynym krajem, przeciwko któremu Polska prowadziła działania wojenne, była Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Sowiecka.

Czy Polacy mieli jakikolwiek wpływ na wynik rosyjskiej wojny domowej?

Jesienią 1919 roku Wojsko Polskie wstrzymało działania wojenne przeciwko Armii Czerwonej. Umożliwiło to bolszewikom rzucenie wszystkich wojsk przeciwko „Białym” i zwycięstwo w wojnie domowej. Był to błąd, który zadecydował o tym, że na naszej wschodniej granicy powstał – zamiast przyjaznej i demokratycznej Rosji – agresywny i groźny Związek Sowiecki.

Jedenasty listopada 1918 roku był końcem Wielkiej Wojny i początkiem nowych nadziei dla niemal całego świata. Dla Rosji natomiast oznaczał wybuch wojny domowej na olbrzymią skalę. Walki pomiędzy różnymi ugrupowaniami toczyły się co prawda już od 1917 roku, ale dopiero teraz przybrały masowy charakter. Skoro wyeliminowany został znenawidzony wróg zewnętrzny – Niemcy, Rosjanie mogli zająć się wzajemnym mordowaniem. Co więcej, dostawy broni, amunicji, zapasów wojennych zapewniały im państwa Ententy, przede wszystkim Wielka Brytania.

Spośród wielu frontów rosyjskiej wojny domowej najważniejsze były dwa. Pierwszym był front wschodni, na Syberii. Drugim był front południowy, na Kubaniu, Ukrainie i Krymie. Warto również wspomnieć o froncie zachodnim, na którym „Białe” wojska generała Nikołaja Judenicza uderzały z Estonii w kierunku Piotrogradu, oraz o froncie północnym, gdzie generał Jewgienij Miller gromadził siły wokół Murmańska i Archangielska.

Dokładnie tydzień po podpisaniu zawieszenia broni w Compiègne – 18 listopada 1918 – władzę na Syberii przejął admirał Aleksandr Kołczak. Przeprowadził zamach stanu i obalił Komucz – umiarkowany, postępowy, ciszący się sympatią społeczną syberyjski samorząd eserowców, czyli „Zielonych”. Admirał Kołczak ogłosił się „wielkorządcą państwa rosyjskiego” i opanował całą Syberię aż do Oceanu Spokojnego. Wiosną 1919 roku rozpoczął ofensywę na zachód i zdołał przekroczyć góry Ural. W ostatnich dniach kwietnia wojska admirała Kołczaka dotarły do – znanego dziś z produkcji zegarków – miasta Czystopol, raptem kilkadziesiąt kilometrów od Wołgi. Do Moskwy było jeszcze blisko 800 kilometrów, ale jej zdobycie wydawało się tylko kwestią czasu. Trzech miesięcy...

Sukcesy admirała Kołczaka nie wynikały z jakości jego wojsk. Armia „Białych” była fatalnie dowodzona i jeszcze gorzej wyszkolona, ale jakość wojsk „Czerwonych” była jeszcze niższa. Sukcesy admirała Kołczaka wynikały z poparcia społecznego, odziedziczonego po „Zielonych” eserowcach z Komucza. Rosjanom zdawało się, że admirał Kołczak będzie kontynuował ich politykę przyjazną chłopom, rzemieślnikom oraz drobnym kupcom. Tymczasem on zamroził wszystkie reformy i zaczął popierać arystokrację, ziemiaństwo oraz wielki kapitał. Poparcie społeczne stopniowo malało, a wraz z tym malały siły wojskowe i sukcesy bojowe.

Wiosenna ofensywa admirała Kołczaka została powstrzymana i odrzucona. Wiosenne przewidywania sprawdziły się: przebycie 800 kilometrów zajęło wojskom trzy miesiące, jednak front przesunął się 800 kilometrów na wschód, z powrotem za góry Ural. Pod koniec lipca 1919 roku „Czerwoni” zajęli Czeliabińsk na Syberii. Tutaj front stanął na długie miesiące. Pomimo wszystkiego admirał Kołczak był wciąż liczącym się graczem.

Tymczasem na znaczeniu zyskiwały Siły Zbrojne Południa Rosji – popularnie nazywane „Armią Ochotniczą” – generała Antona Denikina. Koniec Wielkiej Wojny sprawił bowiem, że na Morzu Czarnym pojawiły się okręty brytyjskie i francuskie, a za nimi popłynęła olbrzymia pomoc materialna. Wiosną 1919 roku generał Denikin rozpoczął dwie ofensywy. Pierwsza szła na północ, przez Ukrainę w stronę Moskwy. Druga szła na wschód, przez ziemie Kozaków, w stronę Syberii i admirała Kołczaka.

Generał Anton Denikin miał podobne problemy polityczne co admirał Kołczak: chciał powrotu dawnej Rosji, co nie podobało się społeczeństwu. Jego sytuacja była jednak bardziej skomplikowana: zraził do siebie nie tylko chłopów, rzemieślników i drobnych kupców, ale również całe narody. Przyjął bowiem arbitralną postawę, że Rosję należy odbudować w granicach z 1914 roku, co oznaczało zwalczanie niepodległej Ukrainy oraz samodzielnych Kozaków. Naraził się w ten sposób również narodom kaukaskim, przede wszystkim Gruzinom, Ormianom i Azerom.

Trzeciego lipca 1919 roku Siły Zbrojne Południa Rosji zdobyły Carycyn nad Wołgą – znany później jako Stalingrad i Wołgograd. Droga na Syberię stała otworem i nic nie przeszkadzało w połączeniu się z admirałem Kołczakiem. Nic oprócz ambicji obu wodzów: żaden nie chciał podporządkować się drugiemu. Anton Denikin ogłosił zatem decyzję o uderzeniu na Moskwę.

Ofensywa ruszyła pod koniec lipca. Dwudziestego trzeciego sierpnia „Biali” Rosjanie zdobyli Kijów, zmuszając przy tym rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej do uległości i tracąc potencjalnego sojusznika. Nie przejmowali się tym, ponieważ odnosili sukcesy: 14 października 1919 roku dotarli do miasta Orzeł, leżącego raptem 300 kilometrów od Moskwy.

Był to jednak łabędzi śpiew generała Denikina. Nie miał poparcia społecznego, nie zdołał zorganizować administracji cywilnej, a jego wojska były nadmiernie rozciągnięte. Nie minął tydzień, a jego front runął niczym domek z kart: już 20 października „Czerwoni” odzyskali miasto Orzeł, a 11 grudnia wkroczyli do położonego 300 kilometrów dalej na południe Charkowa. Siły Zbrojne Południa Rosji przestały istnieć. W początkach 1920 roku Armia Czerwona ponownie – już po raz trzeci – wkroczyła do Kijowa.

Resztki „Białych” znalazły schronienie na Krymie, gdzie w kwietniu 1920 roku władzę przejął generał Piotr Wrangel. W tym czasie był już jedynym liczącym się przywódcą „Białych”. Syberię zajęli „Czerwoni”, a uciekający admirał Aleksandr Kołczak został złapany przez „Zielonych” i zamordowany. Próbujące zdobyć Piotrogród wojska generała Nikołaja Judenicza zostały rozbite, a on sam zmuszony do emigracji – podobne były losy generała Jewgienija Millera na dalekiej północy.

Generał Piotr Wrangel próbował uratować resztki „Białej” Rosji, miał jednak ograniczone możliwości. Przebywał na Półwyspie Krymskim, ubogiej prowincji, której większość mieszkańców stanowili Tatarzy. Brytyjczycy i Francuzi zapowiedzieli wstrzymanie dalszej pomocy. Jego jedyną nadzieją były państwa, które nie zakończyły jeszcze wojny przeciwko „Czerwonej” Rosji, przede wszystkim Polacy i Ukraińcy. Zmienił więc politykę zagraniczną: uznał, że przyszała Rosja powinna

być dobrowolną federacją narodów, a Polacy i Ukraińcy – ale nie Tatarzy czy Kozacy – mogą zachować niepodległość.

Tymczasem generał Anton Denikin udał się na emigrację i zajął się tym, co przegrani generałowie robią najchętniej: pisanie wspomnień usprawiedliwiających swoją porażkę. Jej przyczyny nie widział w błędach politycznych, które doprowadziły do utraty zaufania społecznego, ani w słabości wojska, które nie było w stanie osiągnąć trwałego sukcesu. Klęska w jego oczach była spowodowana zdradą Polaków, którzy odmówili wspólnej walki przeciwko „Czerwonym”.

Nie odpowiedział jednak na trzy zasadnicze pytania. Dlaczego Polacy mieliby walczyć po jego stronie? Gdzie mieliby to czynić? Oraz kiedy? Mimo tego jego wizja trafiła na podatny grunt.

Dla generała Antona Denikina najważniejszym pytaniem powinno być: kiedy Polacy mieliby walczyć po jego stronie. Bo przecież walczyli już od 1918 roku (a nawet wcześniej: to żołnierze I Korpusu Polskiego uwolnili go z bolszewickiego więzienia w listopadzie 1917 roku!). Ósmego sierpnia 1919 roku rozpoczęła się polska ofensywa na wschód, która doprowadziła do wyzwolenia najważniejszej twierdzy w tym rejonie – Bobrujska nad rzeką Berezyną. Rosjanie nie pogodzili się ze stratą i rzucili duże siły, aby go odzyskać. We wrześniu wokół Bobrujska trwały zacięte walki, które nie przynosiły rozstrzygnięcia. Polacy wykorzystali ten czas na zaatakowanie na obu skrzydłach: pod koniec miesiąca dotarli do Dźwiny na północy i podeszli pod Mozyrz na południu.

Czternastego października 1919 roku – w dniu wkroczenia wojsk „Białych” do Orła – na środkowym odcinku frontu polsko-rosyjskiego pod Bobrujskiem panował względny spokój: patrole prowadziły rozpoznanie, Polakom udało się wysadzić rosyjski most na Berezynie. Na północy odparto kolejną już próbę sforsowania Dźwiny, tym razem brały w niej udział

dwa rosyjskie bataliony. Na południu, na Prypeci, zatopiono ogniem artylerii bolszewicki statek „Wołga”.

Dwudziestego października 1919 roku – w dniu opuszczenia Orła przez wojska „Białych” – na froncie polsko-rosyjskim panował spokój. Poprzedniego dnia zakończyła się bowiem trwająca od kilku dni kolejna ofensywa bolszewicka na Bobrujsk. „Komunikaty Oddziału III Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego” nie podają, jakich sił użyli Rosjanie. Musiały one jednak być znaczne, skoro odrzuciły polskie oddziały za Berezynę i zdołały zdobyć przeprawy. Polacy – 1. Dywizja Strzelców Wielkopolskich (późniejsza 14. DP), 8. DP oraz II Brygada Jazdy – po trzydniowych bojach zdołali opanować sytuację, biorąc do niewoli blisko 2000 jeńców, zdobywając kilkadziesiąt karabinów maszynowych i kilka armat. Pomimo pogarszającej się pogody rosyjskie uderzenia powtarzały się w kolejnych tygodniach kilkakrotnie...

Odpowiedź na pytanie: „Gdzie Polacy mieliby walczyć z bolszewikami?” jest jeszcze ciekawsza, chociaż... bez większego znaczenia. Jesienią 1919 roku front polsko-rosyjski biegł wzdłuż rzek Dźwina oraz Berezyna i dalej na południe, wzdłuż rzeki Zbrucz, z tym że po drugiej jej stronie były ziemie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Na północ od Dźwiny oraz na wschód od Berezyny nie było zwartych skupisk Polaków. To były tereny obce, mieszkali tam Łotysze i Rosjanie. (Inaczej było na wschód od Zbrucza: Żytomierszczyzna jest do dziś skupiskiem Polonii na Ukrainie). Wojsko Polskie, idąc za Berezynę, walczyłoby na obcym terytorium: wrogim i nieprzyjaznym. Co prawda granica Rzeczypospolitej z 1772 roku znajdowała się 200 kilometrów dalej na wschód, ale nie były to ziemie związane z polską kulturą.

Można byłoby co prawda iść na Moskwę, ale operacja ta wymagałaby użycia całego potencjału Rzeczypospolitej. Warszawę

dzieli od Berezyny 540 km w linii prostej. Dystans pomiędzy Berezyną a Moskwą jest nieco większy: równe 600 km. Nawet jeśli Armia Czerwona uciekałaby przed Polakami tak szybko, jak latem 1920 roku Wojsko Polskie uciekało przed Rosjanami, to dojście do Moskwy zajęłoby ponad sześć tygodni.

Najważniejsze jest jednak pytanie: „dlaczego Polacy mieliby walczyć po stronie Sił Zbrojnych Południa Rosji?”. Generał Anton Denikin był przeciwny istnieniu niepodległej Polski. Oficjalnie zgadzał się na jej istnienie w granicach dawnego Królestwa Polskiego. Tereny na wschód od linii Bugu miały być opuszczone przez Rzeczpospolitą i przekazane Białym „dla wybrania rekruta i zboża”, a przedtem na gmachach należało zawiesić rosyjskie symbole państwowe. Tylko to miała do zaoferowania Polakom „Biała” Rosja, a należy pamiętać o tym, że generał Denikin reprezentował raczej umiarkowane skrzydło carskich generałów...

Zwycięstwo „Białej” Rosji w wojnie domowej byłoby dla niepodległej Polski wyrokiem śmierci. Wyrokiem, który zostałby wykonany rękami Francuzów oraz Brytyjczyków, a może i Amerykanów. Cały świat był bowiem zainteresowany przywróceniem starego porządku. W grę wchodziły bowiem olbrzymie pieniądze. Jeszcze przed Wielką Wojną carska Rosja zaciągnęła kredyty na Zachodzie, a w czasie jej trwania została wsparta kolejnymi pożyczkami. Brytyjczycy, Francuzi i Amerykanie nie wspierali Denikina, Kołczaka, Judenicza i Millera z dobroci serca, tylko dla pieniędzy. Carscy generałowie (i admirałowie) stanowili gwarancję odzyskania pieniędzy i obietnicę zarobienia nowych – tym razem na odbudowie Rosji.

Najwięcej pieniędzy zainwestowała w Rosji Francja. Wynikało to również z polityki: bogata Rosja stanowiła dla Francji potężnego sojusznika przeciw Niemcom. I faktycznie, Rosja Francję w 1914 roku uratowała. Pomoc Paryża dla Denikina

nie była jednak wyrazem wdzięczności, tylko staranną kalkulacją: odbudowana „Biała” Rosja miała znów być antyniemieckim sojusznikiem.

W porównaniu z demokratyczną Rosją rządzoną przez „Białych”, niepodległa Polska nie była żadnym partnerem dla Paryża. Mogła zaoferować minimalny zarobek i stanowić jedynie namiastkę antyniemieckiego sojusznika (na co, niestety, wskazują wydarzenia 1939 roku). Rzeczpospolita nie miałaby żadnych relacji z Zachodem, żadnej pomocy od Francuzów, Brytyjczyków czy Amerykanów. Byłaby przymusowym sojusznikiem Rosji, w granicach Księstwa Warszawskiego: z Warszawą, Krakowem i Poznaniem, ale bez Wilna i Lwowa. Nie miałaby również żadnych szans na Wrocław i Szczecin (problem ten będzie poruszony w kolejnych rozdziałach). Czy niepodległa Rzeczpospolita w ogóle przetrwałaby zwycięstwo „Białych”?

Warszawa rozpoczęła negocjacje z Rosjanami – obydwoma obozami Rosjan – w lipcu 1919 roku. „Biali” oferowali niewiele. „Czerwoni” deklarowali, że zgodzą się na oddanie guberni litewskich i białoruskich, czyli ziem opanowanych już przez Wojsko Polskie. Pomimo prowadzonych rozmów działania wojenne nie zostały przerwane. Dopiero 26 października 1919 kapitan Ignacy Boerner – wysłannik Piłsudskiego – przekazał „Czerwonym” Rosjanom, że Polsce nie zależy na zwycięstwie „Białych”, i obiecał, że Wojsko Polskie nie uderzy na Armię Czerwoną.

Porównanie dat wyraźnie wskazuje, że deklaracja ta nie miała żadnego wpływu na przebieg rosyjskiej wojny domowej. W żadnej znanej nam militarnej historii rosyjskiej wojny domowej polska wstrzeźliwość nie jest brana pod uwagę jako czynnik wojny domowej. Istniał on jedynie we wspomnieniach przegranych „Białych” generałów i polskich publicystów.

Niepotrzebna łotewska awantura?

Wojsko Polskie niepotrzebnie wdawało się w walki o Dyneburg z bolszewikami. Należało umocnić wyzwolone Wilno, a nie tracić siły na walki o obszary, które miały przypaść Łotwie. Tym bardziej że wartość tego państwa jako sojusznika była znikoma.

Józef Piłsudski zawsze uważał, że czerwona Rosja jest mniejszym złem niż rząd „białych” generałów. U źródła tych poglądów leżało przekonanie o nietrwałości bolszewickiego reżimu. Komendant uważał, że taki eksperyment polityczny nie może zbyt długo przetrwać.

Nie zmieniało to jednak sytuacji, że bolszewicy okupowali od początku stycznia 1919 roku Wilno i od północy zagrażali Polsce. Wprawdzie Rzeczpospolita prowadziła wówczas wojny niemal na wszystkich frontach, z czego za najważniejszy uważano wojnę z Zachodnioukraińską Republiką Ludową, ale Piłsudski zdecydował się opanować Wilno i odrzucić bolszewików jak najdalej od miasta. Tym bardziej że sowieckie porządki oznaczały zagładę dla polskiego żywiołu na Kresach.

Należało się spieszyć z jeszcze jednego powodu: Armia Czerwona, idąc na zachód, nie tylko niosła śmierć i pożogę, lecz także przejmowała pozostawione przez Niemców wyposażenie i uzbrojenie. Kilka miesięcy wcześniej Rosja bolszewicka mogła wystawić jedynie słabo uzbrojone bandy terrorystyczne, natomiast wiosną – już dobrze uzbrojoną armię. Dlatego pochód Sowietów należało zatrzymać jak najdalej od granicy Polski.

Naczelnik wiedział, że większość sejmowa jest bardziej zainteresowana sprawami Lwowa i Galicji Wschodniej, ale zawsze uważał, że najważniejsze są fakty dokonane. Dlatego zdecydował się przeprowadzić operację bez zgody parlamentu, wykorzystując przerwę wielkanocną, gdy posłowie nie obradowali.

Osiągnięto pełne zaskoczenie. Zarówno Rosjanie, jak i Litwini spodziewali się polskiej akcji, ale dopiero pod koniec maja. Do tego czasu miała poprawić się pogoda i podeschnąć drogi, co na Wileńszczyźnie miało kluczowe znaczenie. Ponadto przypuszczano, że Polacy nie zdecydują się na atak, dopóki Lwów nie zostanie odblokowany, a z Francji nie przybędzie „błękitna” Armia. Tymczasem ofensywa się rozpoczęła już 16 kwietnia.

Wyprawa wileńska była ograniczona czasem i przestrzenią. Trzeba było bowiem wykorzystać krótki odstęp pomiędzy odejściem stacjonujących jeszcze na wschodzie wojsk niemieckich a nadejściem głównych sił rosyjskich ze wschodu. Korytarz prowadzący do Wilna był ograniczony przez Niemców stacjonujących na zachodzie i Rosjan na wschodzie. Wyzwolenie Wilna wymagało zatem marszu na północ, a powstrzymanie Rosjan – skierowania się na wschód i wyzwolenia Baranowicz oraz Lidy.

Baranowicze zostały dość sprawnie zdobyte po kilku dniach przez Wojsko Polskie i przestały stanowić problem. Większe kłopoty były z Lidą silnie obsadzoną przez Rosjan. Do wyzwolenia miasta zostały skierowane duże siły: cała 2. Dywizja Piechoty Legionów pod dowództwem generała Bolesława Roi, kilka szwadronów kawalerii oraz 41. Pułk Piechoty. Niestety, walki przybrały niepomysłny dla Polaków obrót i do Lidy zostały skierowane również bataliony 5. pp oraz 6. pp. Ich atak zakończył się sukcesem.

Natomiast do ataku na Wilno skierowano grupę kawalerii pułkownika Władysława Beliny-Prażmowskiego – 9 szwadronów kawalerii i pluton artylerii konnej – oraz 1. Dywizję Legionów generała „Śmigłego” osłabioną odesłaniem dwóch pułków do Lidy. Wojska te szybkim marszem skierowały się na północ i rankiem 19 kwietnia do miasta dotarła kawaleria. Wdała się w uliczne walki z Rosjanami. Wsparli ją mieszkańcy Wilna i spóźnione bataliony piechoty, zmęczone forsownym marszem i czekające przez dobę na tabory z żywnością i amunicją, które ugrzęzły w błocie. Gdy wieczorem 20 kwietnia piechota dotarła wreszcie do miasta, wróg został wyparty, a Wilno – wyzwolone.

Z perspektywy czasu trudno sobie wyobrazić, jak wielkie wrażenie na mieszkańcach i wyzwolicielach zrobił fakt odbicia miasta z rąk Rosjan. Nie mieli wcześniej kontaktu z ludźmi, którzy znaleźli się pod władzą bolszewików, nie wiedzieli, do czego są zdolni „synowie proletariatu” ze wschodu.

„Przy cudownej Ostrej Bramie – wspominał jeden z żołnierzy – we wnękach muru i pod ścianami klęczą i leżą krzyżem wierni. Ulica pusta jak wymiótł. Dalej wre walka. Kobiety, mężczyźni, starcy – wszystko klęczy lub leży krzyżem zatopione w modlitewnej ekstazie. Wznoszą oczy i ręce ku górze w niemym błaganiu. Po twarzach płyną łzy,

a piersi wstrząsa szloch głęboki. Nic to, że kule gwizdzą, że szyby z okien się sypią i tynk odłamkami pryska. Wilnianie się modlą...

Mijamy Ostrą Bramę wolno, w nabożnym skupieniu. Coś ściska za serce i tamuje oddech. Żołnierze z odkrytymi głowami pobożnie i szybko żegnają się po kilkanaście razy, chcąc ukryć wielkie wzruszenie.

– Dzieci, nie oddajcie Wilna – mówi do nas klęcząca starszuszka, której łzy ciekną ciurkiem po pomarszczonej twarzy”*.

Przy Ostrej Bramie odbyło się nabożeństwo dziękczynne, podczas którego kaznodzieja, ks. Oleszczyk, mówił o końcu niewoli i polskim triumfie. Piłsudski stał twarzą w kierunku obrazu, oparty na szabli, a „spod nasrożonych brwi ciężka łza spływała mu na wąsy. Śmigły za nim miał jakby jakiś nerwowy tik na twarzy. Twarz drgała i też łzy ciekły po twarzy. A Belina beczał po prostu jak smarkacz”**.

Piłsudski niezwłocznie ogłosił odezwę do „mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”, jednak trafiła ona w próżnię. Chociaż Komendant faktycznie myślał o zbudowaniu na tych ziemiach odrębnego państwa, blisko związanego z Polską, nie zostało to dobrze odebrane. Mało kto czuł się Litwinem w jagiellońskim rozumieniu tego słowa: Żmudzini chcieli przynależeć do Republiki Litewskiej, Polacy do Rzeczypospolitej Polskiej, a Białorusinom było to obojętne. Natomiast znaczna część Żydów – stanowiących ponad 41% mieszkańców Wilna – przejawiała prorosyjskie sympatie i wołała rządy Moskwy. Nieważne czy białej, czy czerwonej.

* B. Waligóra, *Walka o Wilno. Okupacja Litwy i Białorusi w 1918–1919 przez Rosję Sowiecką*, Warszawa 1938, s. 438.

** W. Jędrzejewicz, J. Cisek, *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935*, t. 1, 1867–1916, Kraków–Łomianki 2006, s. 439.

Tymczasem Rosjanie przygotowywali się do odbicia miasta, gromadząc wokół niego trzy grupy uderzeniowe. Każda z nich była silniejsza od całości sił polskich broniących Wilna. Dowodzący polskimi oddziałami generał „Śmigły” Rydz postanowił zatem nie czekać na Rosjan w mieście, tylko rozbić ich częściami, wykorzystując swoje centralne położenie. Największe niebezpieczeństwo groziło z północnego wschodu, skąd dochodziła do Wilna linia kolejowa z Petersburga. „Śmigły” natychmiast wysłał tam majora Dęba-Biernackiego, by opóźnił koncentrację wojsk rosyjskich. Zyskał w ten sposób czas, który pozwolił na przybycie do Wilna pułków pozostawionych pod Lidą.

Zanim jednak nadeszły, musiał słabymi siłami obronić się przed atakiem z północy i od wschodu. Rosjanie zdołali wreszcie skoncentrować swoje wojska wzdłuż linii kolejowej Petersburg–Wilno i również ta grupa przystąpiła do ofensywy na miasto. „Śmigły”, który wówczas dysponował w Wilnie całością swoich sił – własną Dywizją Legionów, Brygadą Jazdy Beliny-Prażmowskiego oraz pojedynczymi batalionami suwalskimi i poznańskimi – nie musiał martwić się o skrzydła, więc ruszył naprzód i odepchnął Rosjan kilkadziesiąt kilometrów od miasta.

Wilno zostało wyzwolone 21 kwietnia 1919 roku. W walkach prowadzonych do 7 maja „grupa generała Śmigłego” odparła rosyjskie kontrataki, a w kolejnych tygodniach powoli wypierała Rosjan na wschód. Owa powolność wynikała przede wszystkim z tego, że północno-wschodni odcinek frontu nie był priorytetem. Na przełomie wiosny i lata 1919 roku Polska musiała zakończyć wojnę o Lwów, a następnie przerzucić swoje siły nad granicę z Niemcami. Spodziewano się, że 28 czerwca – w rocznicę zamordowania arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie – zostanie podpisany

traktat wersalski, ale nie wiadomo było, jak zareagują na niego Niemcy. W początkach lipca sytuacja wyjaśniła się na korzyść Polski: Zachodnioukraińska Republika Ludowa została zlikwidowana, a „weimarska” Republika Niemiecka posłusznie przyjęła warunki narzucone przez ententę.

Latem 1919 roku sytuacja Rzeczypospolitej była o wiele lepsza niż kilka miesięcy wcześniej. Państwo zostało uznane przez społeczność międzynarodową, konflikt z Niemcami uspokojony, wojna o Lwów zakończona, nawet „czerwoni” Rosjanie zajęli się wojną domową z „białymi” i nie stanowili zagrożenia. Nie rozwiązano jedynie problemów z Republiką Litewską, której agresywna postawa była podsycana przez „czerwonych” Rosjan: wciąż istniała wspólna granica pomiędzy Republiką Litewską a Rosyjską Republiką Sowieków. Przebiegała ona na północ od Wilna i ciągnęła się aż po Łotwę. Zgodnie z odwieczną zasadą, że wróg mojego wroga jest moim sojusznikiem, władze zarówno w Moskwie, jak i w Kownie prowadziły akcję zbrojną, by tę wspólną granicę utrzymać. O ile Polacy byli w stanie poradzić sobie z tym problemem, Łotysze byli zbyt słabi nawet na wyparcie Żmudzinów, nie wspominając już o Rosjanach. Nie zmieniło to jednak faktu, że pozostawali jedynym sprzymierzeńcem Polski w tym regionie.

„Śmigły” miał jednak ograniczone możliwości i latem 1919 roku nie udało mu się nawiązać kontaktu operacyjnego z wojskami podległymi władzom w Rydze. W efekcie Dyneburg – obecnie Daugavpils – drugie co do wielkości miasto Łotwy, stanowiące połączenie pomiędzy Moskwą a Kownem, wciąż znajdowało się w rękach Rosjan. Należało ich stamtąd wyprzeć, dlatego „Śmigły” przedstawił plan zaangażowania większych sił do operacji zdobycia Dyneburga. Jego zatwierdzenie nie było jednak łatwą sprawą.

Problemy stwarzał bowiem bezpośredni zwierzchnik „Śmigłego”, dowódca Frontu Litewsko-Białoruskiego, generał dywizji Stanisław Szeptycki. Zawodowy oficer wywodzący się z armii austriackiej i znacznie starszy od zdobywcy Wilna uznawał go za niepoważnego amatora. Podobne zresztą zdanie miał o innych oficerach wywodzących się z Pierwszej Brygady, którym zarzucał, że nie posiadają wykształcenia wojskowego. Dużą rolę odgrywały także osobiste ambicje generała. Szeptycki chciał dowodzić uderzeniem na Dyneburg osobiście, a „Śmigłemu” pozostawić wyłącznie nadzór nad 1. Dywizją Piechoty Legionów.

Innym kłopotem była sytuacja etniczna na terenie planowanej akcji. Miasto leżało po północnej stronie Dźwiny, a rozgraniczenie pomiędzy dawnymi guberniami rosyjskimi znajdowało się kilka kilometrów na południe od rzeki. Zwarte polskie osadnictwo sięgało jednak Dźwiny, naszych rodaków było tam cztery razy więcej niż Łotyszy. Rząd w Rydze uważał jednak, że granica ich państwa powinna przebiegać zgodnie z rozgraniczeniem guberni, dlatego wkroczenie Polaków do Dyneburga mogło zostać potraktowane jako agresja. Tym bardziej że łączność dyplomatyczna pomiędzy Polską a Łotwą mocno szwankowała – kontakt drogą lądową blokowali bolszewicy, Bałtyk zaś kontrolowała Wielka Brytania. Chciała zamienić Bałtyk w swoje własne jezioro, zatem jej interesy nie były zbieżne z interesami Rzeczypospolitej.

Wkroczenie do Dyneburga mogło zostać potraktowane jako polska agresja, tym bardziej że rząd łotewski kontrolował swoją stolicę dopiero od lipca, a sam był nadzorowany przez Brytyjczyków. W takiej sytuacji wyprawa dyneburska miała zatrzymać się na rzece Dźwinie, a jeśli nawet doszłoby do jej przekroczenia, Polacy mieli nie wchodzić do miasta. Dowództwo powierzono „Śmigłemu”, a jego siły składały się

z macierzystej 1. DPŁeg., Brygady Jazdy, podporządkowanej mu już od dłuższego czasu, oraz z 3. Dywizji Piechoty Legionów. Akcja rozpoczęła się 27 września i już po dwóch dniach Wojsko Polskie dotarło do Dźwiny i zatrzymało się nad jej brzegiem. Na ustalonym w ten sposób froncie przeciwrosyjskim „Śmigły” pozostawił jedynie 3. DPŁeg. Pozostałe siły wróciły do Wilna, obawiano się bowiem, że armia Republiki Litewskiej przygotowuje się do zajęcia miasta. Przy okazji warto dodać, że podczas walk o przyczółek mostowy w Dyneburgu szczególnie zasłużył się pewien młody podporucznik z Krakowa, August Emil Fieldorf...

W grudniu udało się wreszcie nawiązać bezpośrednią łączność z rządem łotewskim. Politykom z Rygi nie przeszkadzała wspólna akcja przeciwko bolszewikom. Ustalono, że rozpocznie się ona na początku stycznia następnego roku. Polaków miała wspomagać łotewska dywizja atakująca od północy.

„Śmigły” po mistrzowsku wykorzystał otrzymany czas. Uzupełniono stany osobowe oddziałów, żołnierze zdążyli się zregenerować. Dostarczono zimowe mundury i zapasy amunicji, a w akcji planowano wykorzystać również czołgi – miała to być pierwsza duża akcja zbrojna Wojska Polskiego z ich użyciem. Ponadto zadbano o przygotowanie sztabowe: plan był jasny i precyzyjny, a dowódcy znali swoje zadania.

Operacja „Zima” – pod taką nazwą znane jest wyzwolenie Dyneburga i wyrzucenie Rosjan ze wschodniej Łotwy – miało wszelkie szanse, żeby być modelową akcją Wojska Polskiego. I było: wszystko poszło zgodnie z planem i to pomimo mrozów sięgających -30 stopni. Polska artyleria zneutralizowała rosyjskie linie obronne, zamrożoną rzekę sforsowano po lodzie, a w mieście – gdzie artyleria zza rzeki nie mogła celnie strzelać – rolę bezpośredniego wsparcia przejęły czołgi.

Polskie postępy były tak szybkie, że miasto zostało wyzwolone, zanim zdążyli dotrzeć tam – również poruszający się bardzo sprawnie – Łotysze. Miasto zostało wyzwolone pierwszego dnia operacji, w kolejnych dniach trwało wypieranie Rosjan na wschód. Pod koniec miesiąca wojska polskie i łotewskie dotarły do granicy pomiędzy gubernią kurlandzką a pskowską, którą powszechnie uważano za granicę młodego państwa łotewskiego.

Józef Piłsudski odniósł pełny sukces. Nie tylko na pewien czas zabezpieczył Wilno, ale też nie dopuścił do rzezi polskich ziemian na Wileńszczyźnie. Bolszewicy zostali odepchnięci na północ i wschód, zerwano ich połączenie z Republiką Litewską. Nie groził atak Rosjan od północy na Warszawę, co mogło być bardzo niebezpieczne. Tym bardziej że Armia Czerwona mogłaby korzystać z terenu Republiki Litewskiej, co jeszcze bardziej przybliżyłoby ją do terenów centralnej Polski.

Zyskano wdzięczność Łotyszy, chociaż niebawem wybuchł spór o przynależność 6 gmin byłej guberni kurlandzkiej, w których Polacy stanowili większość ludności. Pretensje do tego terenu zgłaszali również Litwini, ale ostatecznie zostały one przy Łotwie, w Warszawie bowiem uznano, że lepiej mieć sprzymierzeńca wśród państw bałtyckich. Tym bardziej że mniejszość polska na Łotwie raczej nie miała prawa narzekać na swój los.

Czy Polacy byli agresorami w 1920 roku?

Polacy, uderzając na Kijów, niepotrzebnie sprowokowali Rosjan do wojny. Moskwa musiała bronić się przed agresją, a polskie sukcesy doprowadziły do wybuchu rosyjskich uczuć patriotycznych i sprawiły, że do Armii Czerwonej masowo zaczęli się zgłaszać carscy oficerowie.

Do zilustrowania legendy o wybuchu wśród Rosjan uczuć patriotycznych i carskich oficerach masowo zgłaszających się do Armii Czerwonej najczęściej wykorzystuje się apel generała Aleksieja Brusilowa. Generał znany był z tego, że w 1916 roku dowodził ofensywą skierowaną przeciw Austriakom. Był to starszy już człowiek, który rozpoczął służbę wojskową w 1873 roku. Zmęczony i schorowany przeszedł w stan spoczynku po rewolucji październikowej. Odrzucił prośbę „Białych” o stanięcie na czele ich wojsk, ale „Czerwoni” o nic go nie prosili, tylko ogłosili, że obowiązuje go pobór. Służył więc w Armii Czerwonej na fasadowych stanowiskach i podpisywał swoim nazwiskiem to, co mu kazano. Między innymi apel opublikowany 9 maja 1920 roku w „Prawdzie”.

Był to praktycznie jedyny tekst nawołujący do „obrony ze wszystkich sił umiłowanej Rosji”. Jeśli publikowano podobne artykuły wspominające o uczuciach patriotycznych, to szybko zostały zastąpione przez teksty o klasowym charakterze wojny z Polską. Apele patriotyczne nie miały bowiem większego znaczenia: oficerowie dawnej armii carskiej zostali objęci poborem do Armii Czerwonej – podobnie jak generał Brusilow – już wiosną 1919 roku.

Wiosną roku 1920 pojawił się nieco inny problem. Kołczak, Judenicz, Miller i Denikin ponieśli klęskę. Temu ostatniemu udało się w kwietniu ewakuować na Krym kilkanaście tysięcy spośród niemal milionowej armii. Setki tysięcy „Białych” żołnierzy i dziesiątki tysięcy „Białych” oficerów stało się maruderami, z którymi nie mogła poradzić sobie władza Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Wyłapywano ich i wcielano do Armii Czerwonej – taki był chociażby rodowód większości żołnierzy 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego. Szeregowych żołnierzy gnano do walki niczym bydło na rzeź. Oficerowie wymagali nieco bardziej subtelniejszego podejścia: na przykład apelu cieszącego się szacunkiem i poważaniem generała Brusilowa. Tak – wiosną 1920 roku stan liczebny Armii Czerwonej zwiększył się. Być może liczba oficerów wzrosła o podawaną gdzieś liczbę 30 000. Nie miało to jednak nic wspólnego z Polakami, a z rozgromieniem „Białych” i praktycznym zakończeniem wojny domowej.

Wiosną 1920 roku rosyjska wojna domowa była już rozstrzygnięta. Siły Zbrojne Południa Rosji rozsypały się, podobne były losy syberyjskiej armii admirała Kołczaka. Dla Polaków najważniejsze były jednak losy „Białych” wojsk generała Judenicza walczących w Estonii oraz generała Millera na Dalekiej Północy. Pierwszy zaprzestał walki w styczniu, a drugi w lutym 1920 roku. Formacje Armii Czerwonej spod

Piotrogradu i Archangielska natychmiast zaczęły być przetrzucane na front przeciwpolski.

Polski wywiad radiowy meldował o stopniowym wzroście sił Armii Czerwonej nad Berezyną. Trzeba pamiętać, że liczby były nieco zaniżone, nie obejmowały części związków odwodowych znajdujących się głęboko na tyłach i „ukrytych” przed polskimi obserwatorami i agentami. Pierwszego stycznia 1920 znajdowały się nad Berezyną 4 rosyjskie dywizje piechoty i pojedyncza brygada jazdy. Po miesiącu – 5 dywizji piechoty oraz 5 brygad jazdy (piechotę z artylerią transportowano koleją, jazda docierała własnym sumptem). Pierwszego marca 1920 naprzeciw Polaków znalazły się wojska do niedawna walczące przeciwko generałowi Judeniczowi: 8 dywizji piechoty oraz 4 brygady jazdy, po miesiącu zaś także formacje ściągnięte z Dalekiej Północy, w sumie 14 dywizji piechoty oraz 3 brygady jazdy. Dwudziestego piątego kwietnia 1920 – meldunek sporządzono w chwili rozpoczęcia ofensywy polskiej – nad Berezyną Rosjanie dysponowali 20 dywizjami piechoty oraz 5 brygadami jazdy. Były to siły równie duże albo nawet większe od całego Wojska Polskiego.

Dziesiątego marca 1920 roku podjęto decyzję o rzuceniu przeciw Polakom również wojsk walczących z Denikinem. Operacja ta wymagała jednak czasu. Piechota i artyleria podróżowały pociągami, najczęściej okrężną drogą, czasem nawet zahaczając o Moskwę. Kawaleria – 1. Armia Konna dowodzona przez Siemiona Budionnego – szła marszem pieszym. Szła powoli. Wyruszyła dopiero 3 kwietnia i po trzech tygodniach była w Rostowie, u wrót Ukrainy. Przechodząc przez nią, walczyła z maruderami, anarchistami Nestora Machny, plądrowała cywilów i gromiła Żydów.

Pod koniec kwietnia 1920 roku Moskwa zgromadziła przeciw Polsce dwie potężne grupy wojsk. Pierwsza –

skoncentrowana na zachodzie Rosji – nosiła nazwę Frontu Zachodniego. Dowodził nim Michaił Tuchaczewski, były porucznik armii carskiej, oficer młody, rzutki i uchodzący za zdolnego. Podlegało mu nieco ponad 20 dywizji piechoty oraz 5 brygad kawalerii. Druga grupa wojsk – skoncentrowana na Ukrainie – nosiła nazwę Frontu Południowo-Zachodniego. Komendę wojskową sprawował Aleksandr Jegorow, dawny pułkownik armii carskiej. Dużo bardziej interesująca była postać komisarza – czyli politycznego nadzorczy – frontu, którym był Iosif Stalin, późniejszy władca Związku Sowieckiego. Podlegało im blisko 10 dywizji piechoty, a ze wchodu nadciągały kolejne – przede wszystkim w składzie 1. Armii Konnej.

Główne siły Frontu Zachodniego Michaiła Tuchaczewskiego stanowiły cztery armie. Na północy działała IV Armia Jewgienija Siergiejewa. Jej sąsiadem była XV Armia Augusta Korka, a dalej III Armia Władimira Łazariewicza i XVI Armia Nikołaja Sołłohuba na południu. Wszyscy dowódcy armii byli dawnymi podpułkownikami w armii carskiej, więc aby zapewnić ich lojalność, bolszewicy przydzielili im komisarzy politycznych. W skład Frontu Zachodniego wchodził również III Korpus Konny oraz Grupa Mozyrska. Warto poświęcić im nieco uwagi, w kolejnych miesiącach bowiem będą miały decydujący wpływ na początkowe sukcesy i ostateczną klęskę rosyjskiej ofensywy.

III Korpusem Konnym dowodził Ormianin w rosyjskiej służbie Hajk Byżyszkan, powszechnie zwany Gaj-Chanem. Jego wojska miały działać na skrajnym północnym skrzydle wojsk rosyjskich, oskrzydlać Polaków, działać na ich tyłach i w ten sposób uniemożliwić im obronę. Na skrzydle południowym działała natomiast Grupa Mozyrska, składająca się z dwóch dywizji piechoty, a dowodzona przez młodego

robotnika Tichona Chwiesina. Jego wojska miały pilnować, aby nikt nie zagroził Frontowi Zachodniemu od południa.

Pomiędzy oboma rosyjskimi Frontami ziała bowiem olbrzymia luka. Były tam Błota Poleskie, obszar nie tyle zabagniony, co o nieuregulowanej gospodarce wodnej. Wody podskórne znajdowały się bardzo płytko i wystarczał nawet mały deszcz, aby zalane drogi stały się nieprzejezdne. Skoro w każdej chwili działa i wozy taborowe mogły utknąć w błocie, to operowały tam słabe i nieliczne siły.

Frontowi Południowo-Zachodniemu Aleksandra Jegorowa podporządkowane były dwie armie: XII – dowodzona przez Siergieja Miezeninowa oraz XIV – dowodzona przez Michaiła Mołkoczanowa. Dalej na południe operowała również XIII Armia, nie wzięła ona jednak udziału w walkach z Polakami. Były to wojska dość słabe, których zadaniem miała być obrona. Akcja ofensywna miała opierać się na nadchodzącej ze wschodu 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego. Armia Konna była jednym z czynników, które zadecydowały o porażkach Białych Rosjan jesienią 1919 roku. Teraz miały zadecydować o rozstrzygnięciu wojny z Polską.

Wojny, o której zdecydowano w Moskwie w styczniu 1920, w chwili gdy losy „Białych” były już przesądzone. Decyzję podjęło trzech ludzi: Władimir Lenin – Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, Lew Trocki – Ludo-
wy Komisarz Spraw Wojskowych i Morskich, czyli najwyższy cywilny urzędnik odpowiedzialny za Armię Czerwoną, Siergiej Kamieniew – naczelny dowódca sił zbrojnych Republiki (главнокомандующий вооружёнными силами Республики), były pułkownik armii carskiej (nie należy go mylić z konkurentem Stalina, bolszewikiem Lwem Kamieniewem).

Kiedy została podjęta decyzja o rozpoczęciu rosyjskiej agresji na Polskę? Dwudziestego siódmego lutego 1920 roku Władimir Lenin wysłał telegram do dowództwa Frontu Zachodniego: „Trzeba dać hasło do przygotowań wojny z Polską”. Najprawdopodobniej decyzja zapadła jeszcze w styczniu, gdy z Frontu Południowego – walczącego przeciwko Denikinowi – został wydzielony Front Południowo-Zachodni, skierowany przeciwko Polsce.

Kiedy miało rozpocząć się rosyjskie uderzenie? Najprawdopodobniej dopiero na przełomie czerwca i lipca, w okolicach dnia świętego Jana. Wtedy drogi już są suche, trawy wystarczająco bujne aby karmić nimi konie, a rolnicy zbierają pierwsze plony i plądrowanie zapewnia żywność żołnierzom. Tego dnia Władysław Jagiełło rozpoczynał swój marsz pod Grunwald, a na Moskwę ruszał Napoleon Bonaparte (a także i Adolf Hitler). W 1920 roku na koniec czerwca szykowano koncentrację Frontu Zachodniego nad Berezyną, a przez Dniepr miała przejść 1. Armia Konna.

Czy Piłsudski chciał podbić Ukrainę, Białoruś i Litwę?

Federacyjne plany Józefa Piłsudskiego przyniosły Polsce poważne problemy. Była to próba prowadzenia mocarstwowej polityki zgodnie z duchem Rzeczypospolitej epoki jagiellońskiej, co ostatecznie doprowadziło do wojny z Rosją, która omal nie zakończyła się katastrofą.

Marszałek doskonale wiedział, że Rosja (niezależnie czy Biała czy Czerwona) nigdy nie wyrzeknie się imperialnych ambicji. Uważał, że tylko ścisła współpraca mniejszych narodów umożliwi zachowanie niepodległości państwom powstałym na gruzach imperium carów.

Warto zapoznać się ze strukturą etniczną dawnych Kresów Rzeczypospolitej i przyległych ziem u schyłku I wojny światowej. Nie ma ona bowiem wiele wspólnego z dzisiejszą sytuacją narodowościową na tych terenach i zarzuty o imperialnych mrzonkach naszych polityków brzmią bardziej niż absurdalnie. Obszar ten w ciągu ostatnich stu lat niemal zupełnie zmienił swoją strukturę etniczną, gdyż niemal całkowicie zniknęły dwie narodowości: Polacy oraz Żydzi. Ponad 100 tysięcy naszych rodaków pozostałych po traktacie ryskim

w granicach ZSRS padło ofiarą masowych zbrodni, a po wybuchu II wojny światowej rozpoczęła się planowa eksterminacja elit z terenów włączonych w granice imperium Kremla. Do tego doszły straty ludnościowe w wyniku działań wojennych, zbrodnie hitlerowskie, aż wreszcie przymusowe wysiedlenie Polaków w granice PRL. Natomiast ludność narodowości żydowskiej, bez względu na to, czy poczuwała się do polskości czy też nie, padła ofiarą Holokaustu. Pomimo strat ludnościowych na miejscu pozostali natomiast: Ukraińcy, Białorusini i Litwini, oraz osiedlani tam przez władze z Moskwy Rosjanie.

Jednak gdy odradzała się Polska, nikt jeszcze nie mógł przewidzieć katastrofalnych wydarzeń kolejnych dekad. Kresy dawnej Rzeczypospolitej były mozaiką etniczną i nie było możliwe pogodzenie interesów wszystkich narodowości. W większych miastach ludność polska stanowiła znaczny procent mieszkańców, chociaż im dalej na wschód, tym był on coraz mniejszy. W Stanisławowie Polaków była niemal połowa, ale w Kamieńcu Podolskim tylko około 10%. Nie było to jednak regułą, w Mińsku Litewskim naszych rodaków było około 25%, podobnie jak w Kijowie, który Rosjanie opanowali w drugiej połowie XVII wieku. Oczywiście oficjalne rosyjskie spisy fałszowały dane, chociaż przyznawano, że w mniejszych kresowych miastach dominowała ludność żydowska.

Polacy byli natomiast w kresowych miastach najbardziej widoczni, stanowili bowiem najzamożniejszą i najlepiej wykształconą grupę ludności. Podobnie było też na terenach wiejskich, gdzie pomimo uwłaszczenia chłopów w 1861 roku i represji po powstaniu styczniowym, polskie dwory utrzymywały dominującą pozycję. Praktycznie jednak nigdzie poza Wileńszczyzną ludność polska nie zamieszkiwała zwartej przestrzeni osadniczej mającej połączenie z centralną częścią kraju. Istniały „polskie wyspy”, natomiast miasta najczęściej

były otoczone przez obszary zamieszkiwane przez ludność białoruską lub ukraińską.

Warto przy okazji zauważyć, że w tym czasie w Poznaniu, którego nikt nie zamierzał się wyrzekać, Polacy stanowili tylko około 57% ludności. Niewielu mniej było Niemców (ponad 41%), co potwierdza, jak bardzo skomplikowana była sytuacja etniczna na ziemiach polskich u schyłku epoki zaborów.

Historia nowożytna Europy Wschodniej to dzieje rywalizacji Rzeczypospolitej z Imperium Romanowów o obszary dawnej Rusi. Pewien udział mieli w tym: Tatarzy, Turcy czy Szwedzi, ale to głównie Kreml toczył wojny z Warszawą. Z rywalizacji zwycięsko wyszli Rosjanie, a Rzeczpospolita zniknęła z mapy Europy.

Sytuacja zmieniła się pod koniec I wojny światowej, gdy zawało się państwo carów. Kilkanaście miesięcy później rozpadła się monarchia Habsburgów, a wkrótce potem zdetronizowano Hohenzollernów. W Europie środkowej i wschodniej zapanował zamęt, do niepodległości aspirowały nie tylko narody, które ją utraciły, ale także te, które nigdy wcześniej nie miały własnych państw. Jednocześnie narastał nacjonalizm, który uniemożliwiał pogodzenie aspiracji terytorialnych ze zdrowym rozsądkiem.

Nie jest prawdą, że gdyby odradzająca się Rzeczpospolita pohamowała ambicje terytorialne, to uniknięto by wojen z niemal wszystkimi sąsiadami. Zaspokojenie ich żądań oznaczałoby bowiem, że państwo polskie w ogóle nie mogłoby funkcjonować. Niemcy nie zamierzali rezygnować z Górnego Śląska, Wielkopolski i Pomorza, natomiast ambicje Ukraińców sięgały nie tylko Lwowa, ale także Chełmszczyzny. Czesi żądali Śląska Cieszyńskiego, Spisza i Orawy, a Litwini Wilna i Suwalszczyzny aż za Białystok. Polska zostałaby ograniczona wyłącznie do Małopolski, Kujaw i Mazowsza, pozbawiona

przemysłu i większości ważniejszych miast, a poza jej granicami pozostałyby miliony Polaków.

Niewiadomą był rozwój wypadków w Rosji. Jednak biali generałowie nie ukrywali, że dążą do odzyskania granic z 1914 roku, a jeżeli w rachubę wchodziły ustępstwa, to wyłącznie rezygnacja z ziem dawnego Królestwa Kongresowego. Natomiast bolszewicy mieli ambicje wywołania światowej rewolucji, a wydarzenia w Niemczech i na Węgrzech potwierdzały, że nie były one bezpodstawne.

Piłsudski był realistą i nie poświęcał specjalnej uwagi sprawom zachodnich granic. Wiedział, że o wszystkim i tak zadecydują zwycięskie mocarstwa na konferencji w Paryżu. Powstanie wielkopolskie zakończyło się sukcesem, stworzyło fakt dokonany, reszta pozostała w rękach dyplomatów.

„Swoje osobiste zdanie Panu powtarzam – pisał Naczelnik do przebywającego w Paryżu premiera Ignacego Paderewskiego – do zakończenia kwestii naszych granic zachodnich zależyśmy w $\frac{9}{10}$ od dobrej woli Ententy. Dlatego też zawsze byłem zdania, że dopóki ta kapitalna sprawa nie jest zakończona, należy wszystkie inne sprawy, w których możemy wpaść w konflikt ze zdaniem Ententy, starać się jedynie przeciągać bez ostatecznego rozstrzygnięcia, nie stawiając kropki nad «i». Dopiero po zakończeniu tych spraw stajemy się na Wschodzie pierwszorzędną siłą, z którą każdy, nie wyłączając Ententy, rachować i liczyć się będzie. Wtedy łatwo będzie, wyzyskując wszystkie preteksty, których nigdy przecież nie brak, rozstrzygać sprawy na swoją korzyść, wyzyskując to położenie, że będziemy bardziej potrzebni innym, niż ci inni byłiby nam potrzebni”^{*}.

* M. Sobczak, J. Krysik, *Konflikt z Litwinami*, <https://www.polityka.pl/pomocnikhistoryczny/161207,1,konflikt-z-litwinami.read> – dostęp 26.05.2020.

Wprawdzie Piłsudski był nieodrodnym synem Kresów i bliższa mu była wizja Polski jagiellońskiej niż piastowskiej, ale żaden z polskich polityków, może poza komunistami, nie zamierzał rezygnować z ziem wschodnich. W 1919 roku jednak praktycznie liczyły się tylko dwie koncepcje: inkorporacyjna i federacyjna. Endecja, z Romanem Dmowskim na czele, dążyła do wcielenia do Polski dawnych rosyjskich guberni: kowieńskiej, wileńskiej, grodzieńskiej, części mińskiej, a w granicach kraju miały znaleźć się ponadto Wołyń i zachodnie Podole. Dmowski zgadzał się na daleko posuniętą decentralizację w sprawach kulturalnych i ekonomicznych, przy zachowaniu pełni władzy politycznej. Uważał, że „jeżeli mówi się o potrzebie państwa silnego, to nie można wymawiać słowa federacja. Federacja to jest słabość, a nie siła, zwłaszcza jak się nie ma z kim federować”.

Natomiast idee federacyjne nie były obce Piłsudskiemu od wielu lat. W 1903 roku na łamach „Walki” (pisma PPS dla Litwy) wszedł w polemikę z miejscowymi socjaldemokratami. Nie odmawiając prawa do wolności i niepodległości ludu litewskiego, uważał, że walka z caratem powinna być prowadzona przez socjalistów wszystkich narodowości (polskich, litewskich, białoruskich, żydowskich). Nie proponował konkretnych rozwiązań politycznych, ale sugerował, że na terenach Królestwa Kongresowego i Litwy powinny powstać dwie lub trzy niezależne republiki, które mogą połączyć się „w jakiś związek federacyjny mniej lub więcej ścisły”.

Jednak u schyłku I wojny światowej Litwini i Ukraińcy dopiero ogłosili niepodległość, natomiast Białorusini w ogóle nie mieli tradycji państwowych. Elity uległy przed wiekami polonizacji, a język i tradycja przetrwała niemal wyłącznie wśród chłopów. Piłsudski myślał o „rozcięciu Rosji po szwach

narodowościowych”, ale zdawał sobie sprawę, że musi dysponować realną siłą zbrojną.

„Przypuszczam, że w najbliższych czasach – pisał w kwietniu 1919 roku – będę mógł otworzyć trochę drzwi dla polityki związanej z Litwą i Białorusią. [...] nie chcę być ani imperialistą, ani federalistą, dopóki nie mam możliwości mówienia w tych sprawach z jaką taką powagą – no i z rewolwerem w kieszeni. Wobec tego, że na bożym świecie zaczyna, zdaje się, zwyciężać gadanina o braterstwie ludzi i narodów i doktrynki amerykańskie, przychyłam się z miłą chęcią na stronę federalistów”^{*}.

Z Ukraińcami trwała wojna, narastały napięcia w stosunkach z Litwinami. Piłsudski zresztą zdawał sobie sprawę, że porozumienie z upartymi Żmudzinami nie będzie łatwe. W wywiadzie dla francuskiego dziennika *Le Journal des Debats*, stwierdził, że „Białorusini i Polacy porozumieliby się bardzo łatwo; z Litwinami byłoby to już trudniejsze”. Miał jednak nadzieję, że jego polityka „dąży właśnie do uczynienia z Wilna łącznika, a nie przedmiotu sporu”.

Porozumienie z Litwą miał ułatwić przewrót polityczny przygotowywany w Kownie. Współpracownicy Naczelnika (Wasilewski, Sławek, Kościałkowski, Kasprzycki) podjęli działania mające przynieść władzę rządowi przychylnemu idei federacji. Próba zamachu podjęta pod koniec sierpnia 1919 roku zakończyła się jednak niepowodzeniem i temat trzeba było odłożyć na czas nieokreślony.

Niewiele to jednak zmieniło w koncepcjach Piłsudskiego. Uznał, że jeżeli odniesie sukces na innych frontach, uparci Żmudzini nie będą mieli wyboru i będą musieli zgodzić się na federację z Polską. Tym bardziej że plany marszałka były coraz bardziej sprecyzowane. Ewolowały od dłuższego czasu,

^{*} Ibidem.

a Piłsudski dostosowywał je do zmieniającej się sytuacji. Wprawdzie historycy od lat się spierają na ten temat i chyba zawsze będą dyskutować, ale wiadomo, że Komendant największą wagę przykładał do sprawy ukraińskiej.

To, że jeszcze niedawno toczono ciężkie walki o Lwów, nie miało większego znaczenia. Liczył się natomiast fakt, że Rosja bez Ukrainy nigdy nie byłaby europejską potęgą, a włączenie jej w granice czerwonego imperium stanowiło śmiertelne zagrożenie dla Polski. Państwo, które przejęłoby kontrolę nad Ukrainą, miało szansę, by stać się hegemonem w Europie Wschodniej.

Piłsudski zamierzał naprawić błędy, jakie popełniono dwa i pół wieku wcześniej, gdy nie dopuszczono do powstania trzeciego członu Rzeczypospolitej. Wepchnięto w ten sposób Ukraińców w objęcia Moskwy i nawet późniejsza unia z Kozakami w Hadziaczu (1658) nic nie mogła zmienić. Tym bardziej że porozumienie praktycznie nigdy nie weszło w życie.

„Na przełomie 1919 – wspominał bliski współpracownik marszałka, Bogusław Miedziński – dojrzała w myśleniu Piłsudskiego koncepcja Rzeczypospolitej Federacyjnej. Była ona nawrotem do starych tradycji jagiellońskich i do ich, niewykonanego niestety, przedłużenia, jakim była Umowa Hadziacka.

Jego plany, gdyby się urzeczywistniały, dałyby ten sam efekt, do którego zmierzały Pakty Hadziackie. Gdyby weszły w życie, nie powstałaby nigdy imperialistyczna potęga Rosji Katarzyny Wielkiej i dynastii Romanowów. Gdyby w 1920 roku udało się stworzyć federacyjną Rzeczpospolitą, imperializmu Romanowów nie zastąpiłby czerwony imperializm bolszewicki”^{*}.

^{*} P. Zychowicz, *Wielki spór o II RP. Federalizm czy inkorporacja?*, „Historia Do Rzeczy”, 5/2020.

Trudno określić, jakie uregulowania graniczne marszałek przewidywał, ale na pewno planował Rzeczpospolitą złożoną z trzech części. Najważniejszym jej składnikiem i hegemonem miała być Polska składająca się z: Królestwa Kongresowego, Wielkopolski, Pomorza Gdańskiego, Górnego Śląska, Galicji z ziemią lwowską, zachodniego Podola i Wołynia. Na północy miało powstać państwo będące sukcesorem Wielkiego Księstwa Litewskiego ze stolicą w Wilnie. Obejmować miało także terytorium Republiki Litewskiej podległej rządowi w Kownie, a na wschodzie miało sięgać daleko poza późniejszą granicę II Rzeczpospolitej. Natomiast na południu Piłsudski planował powstanie państwa ukraińskiego, ale dochodzącego tylko do Dniepru. Marszałek wychodził bowiem z założenia, że dalej na wschód mieszka zbyt wielu Rosjan, ewentualnie kompletnie zrusyfikowanych Ukraińców, co mogło być powodem poważnych problemów.

W obrębie części składowych federacji mniejszości narodowe miałyby mieć zagwarantowaną szeroką autonomię językową, kulturalną i religijną. Oczywiście dotyczyłoby to głównie: Polaków, Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, można jednak podejrzewać, że zgodnie z tradycją jagiellońską także Niemcy czy Żydzi specjalnie nie mogliby narzekać. To jednak nie koniec, Federacyjna Rzeczpospolita nawiązałaby ścisłą współpracę z Łotwą, Estonią i Finlandią, będąc gwarantem ich niepodległości i chroniąc te państwa przed zakusami Kremla. W sojuszu znalazłaby się także Rumunia oraz państwa kaukaskie: Gruzja, Armenia i Azerbejdżan, stanowiące tzw. miękkie podbrzusze Rosji.

Ten plan wcale nie był utopią i miał szanse realizacji. Fakt niechęci Kowna niczego nie przesądzał, w razie stworzenia federacji polsko-ukraińsko-białoruskiej Republika Litewska musiałaby się zgodzić na dyktat Piłsudskiego. O wszystkim

zdecydować miała kampania ukraińska i stąd też wzięło się przymierze z Semenem Petlurą i wyprawa kijowska. W razie jej powodzenia droga do wieloetnicznej Rzeczypospolitej stałaby otworem.

Oczywiście Polska miała odgrywać najważniejszą rolę w przyszłej federacji, ale jednocześnie byłaby też jej najsłabszym członem. To jej siły zbrojne i potencjał gospodarczy gwarantowałyby stabilność układu politycznego. Piłsudski wcale nie miał ambicji imperialnych i nie chciał podbić: Ukrainy, Litwy czy Białorusi. Po prostu szukał rozwiązania, które zabezpieczyłoby Polskę przed Rosją, a jednocześnie zadowoliliby narodowości przez wieki wchodzące w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Niestety, brak poparcia dla rządów Petlury na Ukrainie spowodował, że plany marszałka legły w gruzach. Gdyby jednak udało się je zrealizować, losy Europy i świata potoczyłyby się inaczej. Zapewne nie doszłoby do wybuchu II wojny światowej, a dzisiejsza Rosja byłaby państwem bez większego znaczenia politycznego żyjącym ze sprzedaży syberyjskich bogactw mineralnych i naturalnych.

Czy Polacy wjechali do Kijowa tramwajem?

Wiosną 1920 roku na Ukrainie Rosjanie wycofali się bez walki i wciągnęli Polaków w pułapkę. Rosyjski opór był tak słaby, że Polacy zdobyli Kijów, wjeżdżając do niego tramwajem.

Kijów uchodził za trzecie – po Petersburgu/Piotrogradzie i Moskwie – miasto Cesarstwa Rosyjskiego (tak naprawdę większe od niego były: Warszawa, Odessa, Ryga, a nawet... Łódź). W tym czasie mieszkało w nim ponad pół miliona ludzi: połowę z nich stanowili Rosjanie, ćwierć – Ukraińcy, co piąty mieszkaniec był Żydem, a co piętnasty – Polakiem. Skomplikowana była nie tylko sytuacja etnograficzna, ale i społeczna: znaczną część mieszkańców stanowili robotnicy, podatni na propagandę rewolucyjną. Chociaż więc Kijów był nominalną stolicą Ukrainy, to niemal za każdym razem, gdy zbliżały się obce wojska, władze ukraińskie musiały uciekać z miasta.

Kijów wielokrotnie przechodził z rąk do rąk. Po rewolucji lutowej w 1917 roku władze rosyjskie zostały zastąpione ukraińskimi: na ich czele stał Mychajło Hruszewski, urodzony w Chełmie przywódca Ukraińskiej Partii

Narodowo-Demokratycznej. Po rewolucji październikowej Ukraińcy zostali zmuszeni przez bolszewików do ucieczki. Bolszewicy utrzymali się jednak tylko przez kilka tygodni. Pod koniec zimy 1918 roku wygonili ich z Kijowa Niemcy. Niemców z kolei – którzy obalili Mychajło Hruszewskiego i zastąpili go hetmanem Pawło Skoropadskim – wygnali pod koniec 1918 roku Ukraińcy Symona Petlury. W początkach 1919 roku znów przyszli bolszewicy, ale Ukraińcy odzyskali Kijów w sierpniu. Panowali w nim tylko jeden dzień, bo do miasta wkroczyli „Biali” Rosjanie generała Denikina. Po klęsce jego wyprawy na Moskwę znów do Kijowa – w styczniu 1920 roku – wkroczyli bolszewicy.

W latach 1917–1920 Kijów był zdobywany przez obce wojska ponad dziesięć razy: dokładna liczba zależy od sposobu liczenia. Co kilka miesięcy zdarzały się również inne „atrakcje”: bunt nieopłaconego wojska, rewolucje proletariackie, pogromy mniejszości narodowych, powstania uciśnionych i zamachy stanu. Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja na prowincji, na przykład miasteczko Hulajpole – znane jako stolica Nestora Machny – przechodziło z rąk do rąk szesnaście razy.

Krytycznym dniem dla państwowości ukraińskiej był 11 listopada 1918 roku. Tego dnia zakończyła się Wielka Wojna, a Niemcy podjęli decyzję o ewakuacji z Kijowa. Do tego momentu Ukraińcy osiągnęli bardzo wiele: instytucje państwowe istniały od blisko dwóch lat, armia liczyła niemal ćwierć miliona ludzi, a kraj był zjednoczony pod władzą hetmana Pawła Skoropadskiego. W tym czasie w Polsce funkcjonowało kilka konkurujących ze sobą rządów, a siły zbrojne liczyły mniej niż 10 000 ludzi. W grudniu 1918 roku Polska miała jeden rząd i 50 000 żołnierzy. W Kijowie natomiast w listopadzie wybuchło powstanie antyhetmańskie i chociaż

stolicę zdobył Symon Petlura, to ukraińska armia rozpadła się, a na prowincji powstały konkurencyjne ośrodki władzy. Warto wymienić kilka z nich, żeby przekonać się, jak skomplikowane było życie na Ukrainie.

Głównym graczem – przynajmniej teoretycznie – były władze Ukraińskiej Republiki Ludowej, z Symonem Petlurą na czele i oficjalną stolicą w Kijowie (a faktyczną – z reguły – w Kamieńcu Podolskim). Najważniejszym jego konkurentem byli Rosjanie – zarówno „Biali”, atakujący od strony Krymu, jak i „Czerwoni” idący od Kurska. „Czerwoni” Rosjanie pojawiali się na Ukrainie pod różnymi nazwami – najpierw Ukraińska Ludowa Republika Rad, później Tymczasowy Robotniczo-Chłopski Rząd Ukrainy – ukrywającymi ich prawdziwe intencje. Te trzy siły walczyły o władzę w miastach, bo chłopci na prowincji rządzili się sami. Największe znaczenie wśród nich – chociaż najmniejsze zdolności organizacyjne – mieli „Zieloni”, czyli partia „Chliborobów”. Skuteczną organizację państwową stworzył na południu kraju Nestor Machno, przyświecała mu ideologia „czarna” – anarchistyczna. Duże połacie kraju były kontrolowane przez oddziały wojskowe dowodzone przez samodzielnych atamanów. Istotne znaczenie miał również rząd Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej, który został wyparty za Zbrucz przez Polaków, ale wciąż dysponował kilkudziesięcioletnią armią. ZURL popierał tego, kto mu więcej obiecał, po kolei: Symona Petlurę, Antona Denikina, Władimira Lenina, znów Symona Petlurę, i znów Władimira Lenina.

Wojna domowa na Ukrainie nie przeszkadzała w wysuwaniu ambitnych żądań terytorialnych: Ukraińska Republika Ludowa miała rozciągać się od Kaukazu po Lublin, i od Kurska po Kiszyniów. Ukraina znalazła się w stanie wojny z każdym sąsiadem, a co więcej – nie zdołała uzyskać wsparcia państw ententy.

W początkach 1920 roku – gdy w Warszawie zastanawiano się nad sposobem dalszego prowadzenia wojny – możliwe były w gruncie rzeczy nieliczne scenariusze. Pierwszy zakładał wyczekiwanie na rosyjskie uderzenie. Odrzucono go niemal natychmiast: bierność militarna oznaczała bierność polityczną i zgodę na narzucenie warunków przez Rosjan. Działania aktywne można było prowadzić, albo uderzając znad Berezyny na Moskwę, albo znad Zbrucza na Kijów okupowany przez Armię Czerwoną. Ofensywa na Moskwę była przedsięwzięciem niesamowicie skomplikowanym militarnie i niegwarantującym – nawet w przypadku powodzenia – sukcesu politycznego. Ofensywa na Kijów była łatwiejsza do przeprowadzenia, a w razie powodzenia dawała olbrzymie możliwości polityczne. Z tej perspektywy bałagan dotychczas panujący na Ukrainie był korzystny dla Polaków, chociaż mógł doprowadzić – i ostatecznie doprowadził – do porażki, o czym będzie mowa w kolejnych rozdziałach.

Prace nad sojuszem pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Ukraińską Republiką Ludową trwały przez całą zimę i zostały sfinalizowane w kwietniu. Wojsko Polskie ruszyło do ofensywy 25 kwietnia 1920 roku. Brały w niej udział trzy polskie armie: na północy atakowała grupa uderzeniowa – późniejsza 3. Armia – którą dowodził nominalnie marszałek Józef Piłsudski, a faktycznie – generał Edward „Śmigły” Rydz, w centrum generał Antoni Listowski stał na czele 2. Armii, a na południu walczyła 6. Armia generała Wacława Iwaszkiewicza. Rosjanie bronili się dwiema armiami: XII na północy oraz XIV na południu, w skład których wchodziły po cztery dywizje strzeleckie i po jednej dywizji jazdy. Armie Wojska Polskiego z reguły składały się z trzech dywizji piechoty oraz brygady jazdy. Siły były więc wyrównane.

Wojsko Polskie odniosło błyskawiczny sukces: Armia Czerwona miała niskie morale, więc oddawała teren, nie podejmując walki i uciekając na wschód. Rosyjskiego odwrotu nie zatrzymały nawet zagony wykonywane przez polską kawalerię i – po raz pierwszy w tej wojnie – przez formacje zmechanizowane (zagon na Żytomierz). Pierwszy cel kampanii – zniszczenie armii rosyjskich – nie został zrealizowany. W nocy z 26 na 27 kwietnia Wojsko Polskie osiągnęło swoje cele terenowe i zatrzymało się, nie skorzystawszy z możliwości wdarcia się do Kijowa na karkach uciekających czerwonoarmistów.

Dopiero 28 kwietnia wódz naczelny marszałek Józef Piłsudski wydał rozkaz generałowi „Śmigłemu” przygotowań do marszu na Kijów. Polskie dowództwo spodziewało się, że Rosjanie zdecydują się na obronę ukraińskiej stolicy, skoncentrują tu swoje siły, dając Polakom okazję do ich zniszczenia. Niepiesznie koncentrowano więc własne „siły i środki”, czyli wojska – 1. DP Leg. 15. DP, 7. BJ – oraz amunicję dla ciężkiej artylerii. Akcja miała rozpocząć się po 3 maja, gdy w Kijowie pojawią się większe siły rosyjskie.

Czekano bezowocnie. Dopiero 6 maja Polacy ruszyli do przodu i to raczej przypadkowo: tego dnia pododdziały rozpoznawcze nie stwierdziły przed sobą obecności nieprzyjaciela i ruszyły na jego poszukiwania. Za nimi podążyły macierzyste pułki, a wyżsi dowódcy zaakceptowali sytuację.

Tydzień stracony przez Polaków na przedpolach Kijowa Rosjanie wykorzystali na wycofanie się za Dniepr. Wojsko Polskie straciło kolejną szansę na zniszczenie wroga albo chociażby zadanie mu poważniejszych strat. Armia Czerwona zdołała ująć, tracąc jednak ponad setkę dział i kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Trudno podać dokładne liczby, czerwonoarmiści nie tylko ginęli i byli brani do niewoli, ale również

masowo dezercerowali. Straty polskie wyniosły raptem 150 poległych.

Síódmego maja 1920 roku do Kijowa wkroczyło Wojsko Polskie: I Brygada Piechoty Legionów, dowiedzona przez pułkownika Stefana „Dęba” Biernackiego. To również było działanie wymuszone chwilą – planowe zajęcie ukraińskiej stolicy miało nastąpić kolejnego dnia. Legioniści ruszyli o świcie i już w porze śniadaniowej całe miasto było w rękach Polaków, witanych przez Kijowian jak wyzwoliciele.

Podobno pierwsi żołnierze polscy wjechali do Kijowa tramwajem. Bardzo często spotykaną datą – szczególnie w opracowaniach internetowych – jest 3 maja. Najprawdopodobniej wynika to z błędnie podanej daty w polskiej Wikipedii, a tam pojawiła się przepisana z książki Normana Daviesa *Orzeł biały, czerwona gwiazda**, swego czasu najbardziej znanej pracy o wojnie polsko-rosyjskiej.

W jaki sposób odbywała się ta podróż – nie wiadomo. Jedna legenda mówi, że Polacy zachowali się po pańsku i wykupili u konduktora bilety. Inna wersja opowiada, że zmuszono konduktora do jazdy, a sam tramwaj miał zostać uzbrojony w karabin maszynowy. Podobno dojechano do Kreszczatika, głównej ulicy śródmieścia Kijowa.

Nie wiadomo również, kto dokonał tego czynu. Być może był to podporucznik Olszewski z 1. Pułku Szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego, być może porucznik Olszewski z I Brygady Piechoty Legionów. Są też wersje próbujące pogodzić obu poruczników Olszewskich: jeden wjechał wieczorem, a drugi wjechał rankiem. Być może zresztą porucznik – czy też podporucznik – Olszewski jest postacią symboliczną,

* N. Davies, *Orzeł biały, czerwona gwiazda*, Kraków 2006, s. 136.

nieistniejącą realnie. Późniejsze roczniki oficerskie wymieniają co najmniej 30 oficerów o tym nazwisku.

Legendy zgadzają się w tym, że podróż rozpoczęto na pętli „Puszcza-Wodycia”, odległej od Kreszczatika o 18 kilometrów. Była to miejscowość sanatoryjno-letniskowa (włączona do Kijowa dopiero w 1981 roku), a tramwaj tam jadący – linii 7 lub 12 – był w gruncie rzeczy kolejką podmiejską, przez większą część trasy jadącą przez... puszcę. Co więcej „Puszcza-Wodycia” znajduje się na północny zachód od Kijowa. W 1920 roku był to front obsadzony przez strzelców podhalańskich. Legioniści z I Brygady znajdowali się na południowy zachód od tego miejsca.

Być może nie było żadnego porucznika Olszewskiego, być może nie było żadnych legionistów, być może nie było żadnego tramwaju. Wkroczenie Polaków do Kijowa zaskoczyło wszystkich – marszałka Józefa Piłsudskiego, Aleksandra Jegorowa oraz mieszkańców Kijowa. Nie tylko mieszkańców, ale również służby komunalne. Zdjęcia ilustrujące wkroczenie Polaków do ukraińskiej stolicy pokazują kolumny Wojska Polskiego przeciskające się pomiędzy wiwatującymi mieszkańcami miasta i unieruchomionymi na środku ulic tramwajami...

Niezależnie od środka lokomocji użytego do zdobycia Kijowa, nastąpiło to zbyt późno: Rosjanie zdążyli zbiec.

Dowódcy Armii Czerwonej – utalentowani amatorzy czy carscy profesjonaliści?

Armia Czerwona była ochotniczą milicją bolszewików, a jej dowódcy – amatorami-rewolucjonistami. Wojsko Polskie było lepiej wyszkolone, a jego dowódcy – z wyłączeniem amatorów z Legionów Piłsudskiego – zawodowcami najwyższej klasy. Jedyńm dowódcą Armii Czerwonej, który wyróżniał się talentami, był młody Michał Tuchaczewski – były podporucznik armii carskiej.

W Rosji co roku, 23 lutego, hucznie obchodzi się Dzień Obrońcy Ojczyzny. Trwają oficjalne marsze i parady, bo to święto żołnierzy, a nieoficjalnie – spotkania przy alkoholu, bo to święto mężczyzn, którzy przecież są żołnierzami. W ten sposób Rosjanie upamiętniają wydarzenia z 23 lutego 1918 roku.

Według rosyjskiej propagandy właśnie wtedy po raz pierwszy świeżo utworzone dekretem Władimira Lenina oddziały Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej w bohater-skich bojach powstrzymały marsz Niemców na rewolucyjny Piotrogród. Dziś wiemy, że tak nie było: oddziały niemieckie

walczyły tego dnia wyłącznie z Łotyszami pod miejscowością Walk oraz z Estończykami – nieopodal miasteczka Keila. Rosyjska propaganda – co zdarza jej się nad wyraz często – najzwyczajniej w świecie zawłaszczyła tradycje bojowe innych narodów. Powstrzymanie niemieckiego marszu na Piotrogród nastąpiło po zaakceptowaniu przez Rosjan warunków narzuconych w traktacie brzeskim.

Pokój brzeski był dla Rosjan tak upokarzający, że przez kilka następnych tygodni spodziewano się, że znów wybuchną walki przeciwko Niemcom. I dlatego organizowano Armię Czerwoną, do której garnęli się carscy oficerowie, gotowi kontynuować wojnę przeciw Teutonom. Stosunki niemiecko-rosyjskie uspokoiły się po podpisaniu umowy gospodarczej w sierpniu 1918, a wówczas Armia Czerwona została rzucona do pacyfikacji buntów chłopskich, które jesienią przemieniły się w otwartą wojnę z „Zielonym” syberyjskim Komuczem, a pod koniec roku – w wojnę domową z „Białymi”.

Armia Czerwona bardzo szybko przestała być ochotniczą milicją bolszewicką, a stała się zawodowymi siłami zbrojnymi, do których żołnierze trafiali z poboru. Dziewiętnastego marca 1918 roku Rada Komisarzy Ludowych podjęła decyzję o powołaniu oficerów dawnej armii carskiej, choć obok wielu z nich postawiono komisarzy, czyli bolszewików, dbających o właściwą linię polityczną wojska.

W 1917 roku w carskiej armii służyło około dziesięć milionów żołnierzy. W końcu 1918 roku Armia Czerwona liczyła 800 000 ludzi, w końcu 1919 – 3 000 000, w 1920 – 6 000 000. W tym czasie służyło około 75 000 byłych carskich oficerów w tym 775 generałów i 1726 innych oficerów sztabowych. Około $\frac{3}{4}$ personelu dowódczego Armii Czerwonej stanowili carscy oficerowie, np. w chwili zakończenia wojny z Polską było nimi 83% dowódców dywizji.

Jak widać, to właśnie Armia Czerwona była dziedziczką Cesarskiej Armii Rosyjskiej. Nie bez podstaw główną siłę zbrojną „Białych” nazywano powszechnie Armią Ochotniczą. Do „Białych” trafili nieliczni carscy generałowie, z reguły tacy, których kariera w dawnym wojsku nie przebiegała bezproblemowo. Część generałów stanowili starsi wiekiem alkoholicy – chociażby generał Władimir Maj-Majewski – a część młodzi oficerowie, awansowani za czyny wojenne. Niektórzy łączyli obydwie te cechy: Piotr Wrangel – ostatni przywódca „Białych” na Krymie – w 1914 roku był podstarzałym kapitanem, bez większych szans na dalszy awans. Oczywiście były nieliczne wyjątki: Nikołaj Judenicz był poważną figurą już przed Wielką Wojną, a podczas niej dowodził Armią Kaukaską, która regularnie biła Turków.

Pierwszym wodzem naczelnym Armii Czerwonej został Jukums Vācietis, Łotysz z urodzenia, ale – oczywiście – były pułkownik armii carskiej. Latem 1919 roku zastąpił go Siergiej Kamieniew, Ukrainiec z urodzenia, ale – oczywiście – były pułkownik armii carskiej. W sztabie Armii Czerwonej był od jej pierwszych dni, a właściwie to nigdy go nie opuścił. Za cara zajmował się planowaniem operacji wojennych przeciwko Niemcom, po rewolucji lutowej zajmował się planowaniem operacji wojennych przeciwko Niemcom, i po rewolucji październikowej zajmował się planowaniem operacji wojennych przeciwko Niemcom. Gdy jednak Jukums Vācietis został zdjęty ze stanowiska, wówczas Siergiej Kamieniew przestał planować operacje wojenne przeciwko Niemcom i zaczął planować operacje wojenne przeciwko „Białym”.

Kadra dowódcza wojsk, które Siergiej Kamieniew rzucił na Polskę w 1920 roku, jest niemal idealnym odzwierciedleniem przywołanych wcześniej suchych statystyk dotyczących byłych carskich oficerów w Armii Czerwonej.

Na 10 stanowisk dowódczych – 7 armijnych, 2 frontowe i naczelne w Moskwie – tylko jedno było obsadzone przez względnego amatora – Siemiona Budionnego. Większość pozostałych dowódców stanowili carscy podpułkownicy lub pułkownicy, różniący się zresztą między sobą doświadczeniem i talentem wojskowym.

Pośród rosyjskich dowódców wyróżniał się na pewno Michaił Tuchaczewski. Jego sława nie wynika jednak z sukcesów na stanowisku dowódcy w 1920 roku, tylko na wcześniejszych i późniejszych dokonaniach mało związanych ze strategią. W 1914 roku był podporucznikiem gwardii carskiej, nie pełnił jednak w czasie wojny żadnych funkcji dowódczych. Pierwszym krokiem do sławy była niemiecka niewola, do której dostał się w 1915 roku. Jego kolegą z celi był francuski oficer – Charles de Gaulle, późniejszy prezydent Francji. Wśród jeńców Tuchaczewski zasłynął tym, że kilkakrotnie podejmował próby ucieczki – piąta zakończyła się sukcesem.

Po zakończeniu wojny z Polską pozostał w Armii Czerwonej i propagował jej zmotoryzowanie, produkcję czołgów i samolotów. Uchodził również za wielkiego teoretyka, dużo pisał na temat nowoczesnej sztuki wojennej. W 1935 roku Michaił Tuchaczewski został jednym z pięciu marszałków Związku Sowieckiego i jednym z kilku wiceministrów obrony ZSRS. Był człowiekiem bardzo ambitnym i został jedną z ofiar stalinowskich czystek – zamordowano go strzałem w kark w 1937 roku.

Kilkadziesiąt lat później – w latach 90. XX wieku – Michaił Tuchaczewski stał się w Rosji ikoną. Reprezentował wszystko to, co było w Związku Sowieckim dobre, stawiano go w opozycji do Stalina. Pojawiły się głosy, że gdyby to Tuchaczewski, a nie Stalin dowodził w czasie „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”, to Armia Czerwona sprawnie i szybko pokonałaby Niemców.

Nie zwracano uwagi na to, że jego poglądy na wojsko były zbieżne z poglądami Stalina, bardzo naiwne i prymitywne: czołgi należało produkować w dużych ilościach, aby runęły na wroga i nie oglądając się na skrzydła i tyły, posuwały się do przodu.

A jakim był dowódcą? Do Armii Czerwonej powołano go wiosną 1918 roku. Już latem został dowódcą 1. Armii nad Wołgą. W początkach 1919 roku skierowano go jako dowódcę 5. Armii walczącej na południu Rosji przeciwko „Białym” wojskom generała Antona Denikina. Na tym stanowisku pozostał do 15 marca. Przywrócono go do służby już w kwietniu, aby dowodził 8. Armią walczącą na Syberii przeciwko admirałowi Kołczakowi. Za zdobycie Omska – stolicy „Białych” – został nagrodzony Honorową Bronią Rewolucyjną, najwyższym wówczas rosyjskim odznaczeniem wojennym (otrzymało go jedynie 21 dowódców). Czwartego lutego 1920 roku Michaił Tuchaczewski awansował na dowódcę Frontu Kaukaskiego, zdołał więc wziąć udział w ostatecznym pogromie wojsk Antona Denikina.

Michaił Tuchaczewski na pewno był jednym ze skuteczniejszych rosyjskich dowódców, a na pewno dowódcą mającym najwięcej szczęścia. Swoje pierwsze dowództwo objął dlatego, że cały sztab 1. Armii zdezerterował do „Zielonych”. Ze stanowiska dowódcy 5. Armii został co prawda zdjęty – bo nie zdołał powstrzymać rozwoju Sił Zbrojnych Południa Rosji – ale uczyniono to na tyle wcześnie, że nie został, jak wielu jego kolegów, rozgromiony przez wojska generała Denikina. Na front syberyjski dotarł wówczas, gdy wojska admirała Kołczaka zaczęły masowo dezzerterować, a „Biali” właśnie rozpoczynali odwrót. Miasto Omsk zostało wcześniej opuszczone przez „Białych” i wzięte przez Tuchaczewskiego bez walk. Honorowa Broń Rewolucyjna była wprawdzie

rzadkim odznaczeniem, ale w praktyce dostali ją wszyscy dowódcy armii, którzy nie skompromitowali się na polu walki. Dowódcą Frontu Kaukaskiego został wówczas, gdy wojska generała Denikina były już rozgromione i przygotowywały się do ucieczki na Krym.

Doświadczenie wojenne Michaiła Tuchaczewskiego polegało przede wszystkim na pościgach prowadzonych za słabszym liczebnie, pozbawionym odwodów wrogiem, który szukał ocalenia w ucieczce. Nic więc dziwnego, że jego późniejsze prace teoretyczno-wojskowe kładły nacisk na szybkość, zdecydowanie i prowadzenie głębokich operacji, lekceważąc przy okazji troskę o zaopatrzenie, bezpieczeństwo skrzydeł i porządek na tyłach.

Wiosną 1920 roku – po krótkim odpoczynku – Michaił Tuchaczewski został dowódcą Frontu Zachodniego. Jego zadaniem było uderzenie na Polaków i przeprowadzenie głębokiej operacji sięgającej aż po Warszawę, bez dbania o zaopatrzenie, bezpieczeństwo skrzydeł i porządek na tyłach. Miało to być ukoronowaniem jego kariery wojskowej...

Jak groźna była Armia Konna Siemiona Budionnego?

Najlepszą rosyjską formacją była Armia Konna Siemiona Budionnego. To ona zdecydowała o wyniku rosyjskiej wojny domowej i to ona przez długi czas decydowała o wyniku wojny polsko-rosyjskiej. Była przeciwnikiem bitnym, a jej błyskawiczne marsze zaskakiwały polskich dowódców.

W maju 1920 roku sytuacja militarna na Ukrainie znacznie się skomplikowała. Ukraińcy nie zdołali zorganizować państwa i odbudować armii, część Wojska Polskiego odeszła na północ, aby odeprzeć spodziewane uderzenie Michaiła Tuchaczewskiego, a i nad Dnieprem Armia Czerwona szykowała się do uderzenia. Siły rosyjskie były trzykrotnie liczniejsze od polskich, a ich najważniejszym składnikiem była I Armia Konna. Formacja ta została wykreowana przez bolszewicką propagandę na siłę decydującą o zwycięstwie nad „Białymi”. Jej prawdziwy potencjał w starciu z nowoczesnym wojskiem pozostawał enigmą.

Na czele I Armii Konnej stał Siemion Budionny, dawny zawodowy podoficer dragonów w armii carskiej. Imponował

swoim podwładnym doskonałą prezencją, odwagą i umiejętnościami hippicznymi. Po koniec 1918 roku zdołał zgromadzić wokół siebie grupę Kozaków, zwolenników władzy bolszewickiej. Był to swego rodzaju ewenement, ponieważ większość Kozaków była jej przeciwnikami i garnęła się do „Białych”. Do „Białych” zbiegli niemal wszyscy oficerowie carskiej kawalerii – bo wywodzili się z arystokracji – więc kawaleria „Czerwonych” była bardzo słaba.

Przewaga „Białej” kawalerii zadecydowała o sukcesach generała Antona Denikina latem 1919 roku. Jednym z czynników, które pozwoliły mu zdobyć Orzeł i zbliżyć się do Moskwy, był przeprowadzony w sierpniu rajd korpusu generała Konstantina Mamontowa, który zdeorganizował tyły „Czerwonych”. Nic dziwnego, że druga strona chciała mieć podobną formację, jej organizację powierzono właśnie Siemionowi Budionnemu.

Gdy w końcu października 1919 roku rozpoczęła się kontrofensywa Armii Czerwonej, wziął w niej udział Siemion Budionny wraz ze swoimi kawalerzystami. Choć było ich tylko kilka tysięcy, nosili dumną nazwę I Korpusu Kawalerii. Wkrótce doszło do jego walk z kawalerią „Białych”. Okazało się, że czerwoni kawalerzyści Budionnego są lepsi od „białych” kawalerzystów Mamontowa. I Korpus Konny miał zostać powiększony i pod koniec listopada stał się I Armią Konną.

Jeśli jednak jazda Siemiona Budionnego miała swój udział w zwycięstwie nad armią generała Antona Denikina, to nie ze względu na dokonania bojowe. Podczas kluczowych trzech tygodni listopada I Korpus Kawalerii wziął do niewoli jedynie 143 żołnierzy wroga, 123 konie, zdobył 3 działa, 40 karabinów maszynowych i 74 karabiny ręczne. Jego straty wyniosły zaś 25 poległych i 134 rannych.

Teoretycznie Armia Konna miała się składać z trzydziestu sześciu pułków w sześciu dywizjach. W początkach swojego istnienia miała jedynie trzy dywizje i raptem dwanaście pułków. Sytuacja zmieniła się podczas pościgu za uchodzącymi „Białymi”. Zdobyto olbrzymie magazyny w Rostowie wypełnione przywiezionymi przez Brytyjczyków mundurami i bronią (w tym nawet pociągi pancerne), a w szeregi Konarmii wcielano całe pułki jeńców. Wiosną 1920 roku – gdy I Armia Konna szykowała się na wojnę z Polską – liczyła 40 000 „boj-ców” (i 30 000 koni) w czterech dywizjach konnych, uzbrojonych w blisko setkę dział (z reguły po 12 w dywizji), ponad dwadzieścia samochodów pancernych i pół tuzina pociągów pancernych.

Dwudziestego szóstego maja 1920 roku rozpoczęła się ofensywa rosyjska na Ukrainie i od pierwszych godzin brała w niej udział I Armia Konna. Głównym celem Rosjan było zniszczenie 3. Armii generała Edwarda „Śmigłego” Rydza stacjonującej wokół Kijowa. 6. Armia Wojska Polskiego – dowodził nią Wacław Iwaszkiewicz, który był generałem jeszcze w armii carskiej – stacjonująca na południe od Kijowa, początkowo miała zostać tylko odepchnięta siłami XII Armii rosyjskiej, a zniszczona dopiero później. Pomiedzy obie armie Wojska Polskiego wdrzeć się miała Armia Konna Siemiona Budionnego, ułatwiając zadanie pozostałym rosyjskim armiom: XII oraz XIV.

Rosyjska ofensywa ruszyła 26 maja, ale przez pierwsze dziesięć dni jej postępy były minimalne. Polacy umiejętnie manewrowali odwodami po liniach wewnętrznych, a rosyjskie szarże rozбивały się o polskie linie obronne. Polacy zdobyli nawet dwa pociągi pancerne Konarmii! Naczelne Dowództwo WP w Warszawie zajęte było sytuacją nad Berezyną i pozwalało, aby koordynacja działań na styku dwóch polskich armii

odbywała się pomiędzy jej dowódcami – generałem „Śmigłym” i generałem Iwaszkiewiczem.

Pomiędzy Naczelnym Dowództwem Wojska Polskiego w Warszawie a dowództwem 3. Armii w Kijowie znajdowało się jeszcze jedno ogniwo dowodzenia – Front Ukraiński. Jego dowódcą był Antoni Listowski, generał z carskiej armii, sprawnie dowodzący polskimi wojskami podczas walk w 1919 roku. W pierwszych dniach czerwca postanowił zmontować operację zniszczenia Armii Konnej. Inicjatywa była słuszną, ponieważ konnica Budionnego wykazała się marną wartością bojową. Szansa na jej zniszczenie była więc duża.

Niestety akcja nie powiodła się zupełnie. Ulewne deszcze nie tylko opóźniły przegrupowania polskich wojsk, ale również uniemożliwiły rozpoznanie lotnicze i zerwały łączność. Błotniste drogi opóźniły koncentrację polskich sił. Brak rozpoznania sprawił, że główna siła uderzeniowa generała Listowskiego – grupa dwóch brygad jazdy – została skierowana w miejsce, gdzie przeciwnika już nie było. Brak łączności sprawił, że przez całą dobę nie udało jej się skierować tam, gdzie toczyły się walki. A ich przebieg był fatalny dla Polaków: niemal cała Armia Konna atakowała pozycje samotnego 19. Pułku Piechoty pod Samhorodkiem – leżącym około 150 km na południowy zachód od Kijowa – który czekał na nadejście polskiej jazdy. Ta jednak nadeszła zbyt późno i 5 czerwca polski front obronny został przerwany.

6. Armia Wojska Polskiego została odepchnięta w tył, a wszystkie armie rosyjskie podjęły próbę zniszczenia 3. Armii generała „Śmigłego”. Próba ostatecznie się nie powiodła, a duża w tym „zasługa” Armii Konnej. Poniosła ona bardzo duże straty podczas dziesięciu dni nieudanych szturmów na polskie pozycje, nie tylko zresztą „krwawe” – do Polaków setkami dezertowali dawni żołnierze generała Denikina.

Zamiast odciąć odwrót 3. Armii generała „Śmigłego”, Budionny wysłał swoje wojska na wyprawę łupieżczą do Berdyczowa i Żytomierza. Oba miasta zostały spłądrowane, a polskie załogi – w tym szpitale wraz z lekarzami, pielęgniarkami i chorymi – wymordowane. Plądrowanie, gwałty i mordy wywołały rozprężenie moralne wśród żołnierzy Budionnego, co wraz z poniesionymi stratami sprawiło, że jego Armia Konna przestała być zdolna do działań bojowych.

Zdolność bojową odzyskała dopiero po dwóch tygodniach, w sam raz aby wziąć udział w kolejnej rosyjskiej ofensywie. Przyniosła ona ograniczony sukces Armii Czerwonej, Wojsko Polskie musiało oddać pole, co jazda Budionnego znów wykorzystała do wdarcia się na polskie tyły. W tym czasie nastąpiły zmiany w organizacji Wojska Polskiego: na czele Frontu Ukraińskiego stanął generał „Śmigły” Rydz, który postanowił podjąć kolejną próbę zniszczenia Konarmii. Miała ona zostać zatrzymana przez polskie formacje obsadzające miasto Równe i okrążona od północy przez 1. DP Leg., a od południa przez 18. DP.

Bitwa zaczęła się 3 lipca i szybko zamieniła w krwawe zamieszanie, w którym oddziały obu stron wymieszały się. Piątego lipca generał „Śmigły” zdecydował o przerwaniu walki i uporządkowaniu szyków. Polacy wycofali się i opuścili Równe, ale Rosjanie byli zbyt wyczerpani walką, aby przejść do pościgu. Ósmego lipca Polacy ponownie podjęli próbę pobicia Budionnego: odzyskali Równe, ale nie zdołali zamknąć okrążenia. Na podstawie błędnych meldunków rozpoznania powietrznego 18. DP udała się w pościg za nieistniejącym wrogiem. Legioniści w Równem pozostali osamotnieni. Wykorzystał to Budionny, rzucając do szturm na miasto niemal całą swoją armię. Kolejne szturmy zostały krwawo odparte, a w nocy Polacy zdołali wyrwać się z okrążenia.

Bitwa nie przyniosła jednoznacznego rozstrzygnięcia, ale w kolejnych dniach polska piechota prowadziła działania bojowe przeciwko nadchodzącym ze wschodu rosyjskim armiom XII oraz XIV, a rosyjska jazda nie była do tego zdolna. Przez kolejne dwa tygodnie lipca do powstrzymania całej I Armii Konnej wystarczała samotna polska 18. DP. Główne walki toczyły się niemrawo wokół twierdzy Dubno, bronionej od 7 do 20 lipca przez niespełna 1000 Polaków.

Do walki siły główne Armii Konnej weszły dopiero po kilkunastu dniach odpoczynku i niemal natychmiast stały się celem polskich ataków. Polacy znów próbowali rozbić wojska Budionnego koncentrycznym uderzeniem. I znów się nie udało. Co więcej, 24 lipca pod Iwaszczukami Konarmii udało się odnieść największy sukces w wojnie z Polską. Jej autorem nie była jednak jazda, a przydzielona Budionnemu piechota – 45. Dywizja Strzelców. Dysponowała ona siłą ognia równą niemal całej Konarmii, więc jej pojawienie się zmusiło Polaków do zrezygnowania z natarcia i pospiesznego odwrotu. W polskich sztykach nastąpiło zamieszanie, powiększone szarżą jazdy. Żołnierze wpadli w panikę, a sytuację uratowało dopiero pojawienie się pociągu pancernego „Pionier”. 18. DP straciła połowę swojej artylerii – blisko 20 dział – sztab jednej (z dwóch) brygad, a następnego dnia wokół dowódcy zebrało się jedynie 2000 żołnierzy (z ponad 10 000).

Wojska Budionnego nie wykorzystały jednak sukcesu i nie zdołały zniszczyć 18. DP, nawet pomimo tego, że okrążyły ją w mieście Brody. Polacy przez cały dzień odpierali rosyjskie szturm, a nocą wyrwali się z saka. Rola 18. DP jako jedynej bariery przed Konarmią już się kończyła, Polacy bowiem zgromadzili siły mające pozwolić im zlikwidować czerwone niebezpieczeństwo.

W lipcu Rosjanie mieli w Małopolsce Wschodniej przewagę liczebną, tym znaczniejszą, że większość polskiej kawalerii została odesłana na tyły – aby odpocząć i zorganizować z niej grupę operacyjną jazdy. Przyszła ona na front pod koniec miesiąca i generał Edward „Śmigły” Rydz miał nadzieję przy jej pomocy rozbić Rosjan, wykorzystując ich wysunięte położenie.

Plany „Śmigłego” zakładały skupienie większości wojsk do ataku. Lwowa zamierzał bronić jedynie symbolicznymi siłami mocno osłabionej 6. Armii: przede wszystkim 18. DP oraz lokalnymi batalionami. Główną rolę miała odegrać 2. Armia Wojska Polskiego, szykowana do uderzenia na tyły Rosjan. Generał „Śmigły” skoncentrował w jej składzie doborowe siły: doskonałą 1. DP Leg i doświadczoną 6. DP, a także sformowaną właśnie grupę operacyjną jazdy, w sile dwóch dywizji i brygady. Uderzenie miało wyjść od północy, z Beresteczka, i kierować się w stronę miasta Brody, leżącego na tyłach Armii Konnej.

Polskie uderzenie rozpoczęło się popołudniem 29 lipca. Początkowo nie układało się zgodnie z planem, ponieważ Rosjanie dość szybko zorientowali się w polskich zamiarach. Zatrzymali marsz na Lwów i całą siłą zwrócili się przeciwko wojskom „Śmigłego”. Co więcej, zawiodła polska kawaleria, w której pokładano duże nadzieje. Maszerowała wolniej, niż się spodziewano, a i walczyła z mniejszą od oczekiwanej skutecznością. Nie zawiedli jednak legionieści, którzy najpierw rozbili rosyjską dywizję jazdy, a następnie poturbowali obydwie dywizje strzeleckie. Drugiego sierpnia Armia Konna stała u progu klęski: jej wojska były pobite, wymieszane, wyczerpane walką, głodne i odcięte od zaplecza. Kontynuowanie polskiego natarcia oznaczałoby zniszczenie Armii Konnej.

Niestety, po południu 2 sierpnia do polskiego stanowiska dowodzenia w Kowlu dotarły wiadomości o upadku Brześcia. Generał „Śmigły” zrozumiał, że nie tylko nie ma szans na zniszczenie Armii Konnej, ale musi też ratować swoje wojska przed okrążeniem. Odwołał zatem ostateczne uderzenie na wojska Budionnego i zaczął przygotowania do odwrotu. Armia Konna znów urwała się ze stryczka!

Była jednak bardzo ciężko pobita. Odzyskiwała zdolność bojową przez dwa tygodnie, kiedy to została ponownie rzucona do szturmów na Lwów. Armią „Konną” była już tylko z nazwy – w jej skład weszły kolejne dwie dywizje strzeleckie i piechurów miała więcej niż kawalerzystów.

W czasie, w którym Konarmia lizała swoje rany i szykowała się do uderzenia na Lwów, dywizje generała „Śmigłego”, wykonały „w tył zwrot”, skoncentrowały się nad Wieprzem, uderzyły na północ, rozbiły rosyjską Grupę Mozyrską i po przejściu kolejnych 200 kilometrów znalazły się pod Białymstokiem.

Gdy „Śmigły” wygrywał bitwę warszawską, Budionny próbował szturmować Lwów. Bez większego powodzenia: jedynym sukcesem było rozbięcie batalionu polskich ochotników pod Zadwórzem, o czym napiszemy w kolejnym rozdziale. Dopiero 27 sierpnia udał się w kierunku Warszawy, ale dotarł jedynie do Zamościa, pod którego murami spędził na bezowocnych szturmach trzy dni.

Tutaj znów został otoczony przez Polaków: dwie dywizje jazdy, 13. DP oraz dobrze mu znaną 18. DP. Warto prześledzić jej sierpniowe losy, bo – inaczej, niż bywało w sierpniu – nie walczyła ona przeciwko Budionnemu. Dostała bowiem rozkaz udania się w kierunku Warszawy, a tuż przed swoim odjazdem uderzyła na Konarmię, zdobywając jeden z dywizyjnych sztandarów. Następnie pojechała koleją nad Wkrę,

później w ciągłej walce wyszła na granicę z Prusami Wschodnimi i dopiero stamtąd wróciła na południe.

Podczas gdy część armii Budionnego bezskutecznie szturmowała Zamość, reszta starała się przebić na wschód i nawiązać łączność z tyłami. Drogę skutecznie zagrodziła im polska piechota z 13. Dywizji, wyposażona w liczne karabiny maszynowe. Rosyjska jazda – dwie dywizje i samodzielna „specjalna” brygada – uderzyły więc na polską kawalerię. W efekcie, 31 sierpnia 1920 roku doszło do bitwy pod Komarowem, ostatniej bitwy kawaleryjskiej w Europie. Walczyło w niej ponad 4000 Rosjan – tyle zostało w dwóch dywizjach jazdy – i blisko 1500 Polaków.

Rosjanie ponieśli klęskę. Chociaż Polacy nie wzięli do niewoli Siemiona Budionnego, to jego armia utraciła zdolność bojową. Zginęła większość dowódców, jedynie co drugi żołnierz zdołał wymknąć się Polakom, z reguły tracąc swojego wierzchowca. Dowództwo rosyjskie starało się odtworzyć I Armie Konną i ponownie skierować do walki na froncie. Niskie morale sprawiło jednak, że pod koniec września ostatecznie wycofano ją z frontu i skierowano do zadań policyjnych. W późniejszym czasie walczyła jeszcze przeciwko „Białym” na Krymie, ale bardziej odznaczyła się tam II Armia Konna. Mało kto wie o jej dokonaniach, ponieważ została skazana na zapomnienie. Jej dowódca Filip Mironow w lutym 1921 roku podczas sfingowanego procesu został skazany i błyskawicznie zamordowany.

I Armia Konna walczyła przeciw Polakom przez kilka miesięcy: 24 maja zaczęła marsz na Zachód, a 1 września rozpoczęła odwrót na wschód. Przez te cztery miesiące – 125 dni – pokonała 500 kilometrów: imponujące 4 kilometry dziennie. Teoretycznie to ona powinna torować drogę pozostałym armiom rosyjskiego Frontu Południowo-Zachodniego,

w praktyce posuwała się do przodu wówczas, gdy piechota i artyleria odniosły sukces. W gruncie rzeczy jej jedynym sukcesem terenowym było przełamanie dokonane 5 czerwca pod Samhorodkiem, a sukcesem materiałowym – rozbicie ochotniczego batalionu pod Zadwórzem.

Koszt tych „sukcesów” był bardzo wysoki. W czasie walk przeciwko Polakom straty I Armii Konnej wyniosły 20% – 7800 ludzi. Jednocześnie padło prawie 9500 koni – 1/3 stanu początkowego. Spośród 496 karabinów maszynowych, z którymi Budionny rozpoczynał swój pochód na zachód, 1 września ostało się jedynie 150, z czego 90 zepsutych*. Liczby te oznaczają jedno: I Armia Konna utraciła w Polsce swój konny charakter i zdolność bojową.

Działania jazdy Siemiona Budionnego miały pewne – dość niewielkie – znaczenie propagandowe. Przerzały płęć piękną oraz polityków siedzących w Warszawie. Jej wpływ na sytuację taktyczną w Małopolsce Wschodniej nie był duży. Niemal przez cały lipiec do pilnowania I Armii Konnej wystarczała tylko jednak polska dywizja – 18. DP. Polskie dowództwo kilkakrotnie podejmowało próby zneutralizowania I Armii Konnej większymi siłami, z reguły zadawano Rosjanom straty, ale nie odnoszono sukcesów. To, że kawaleria unikała rozbicia przez piechotę, nie jest w historii wojskowości żadnym wyjątkiem (jest raczej regułą). To, że polska piechota przerywała bój i odchodziła nie niepokojona przez

* Podaję za: Aleksander Smoliński, *Zarys organizacji I Armii Konnej Siemiona Budionnego (1919-1923)*, w: *Kawaleria przeciwników i sojuszników Wojska Polskiego w latach 1918-1921*, Toruń 2003. s. 59 i nn. Tamże znajduje się passus: „Wiele przesłanek wskazuje, iż dane wykazywane w oficjalnych meldunkach poszczególnych dywizji oraz dowództwa armii nie odzwierciedlały wszystkich strat ponoszonych przez armię Budionnego”.

rosyjską kawalerię, jest już sprawą dziwną i źle świadczącą o jeździe Budionnego.

Można domniemywać, że Armia Czerwona miałaby większy pożytek, gdyby zamiast czterech dywizji konnych skierowała przeciwko Polakom cztery dywizje strzeleckie. Najprawdopodobniej I Armia Konna miałaby równie niewielki wpływ na wynik bitwy warszawskiej – nawet gdyby zjawiała się pod polską stolicą o czasie. Ale podróżując z prędkością 4 kilometrów na dobę, trudno być punktualnym...

Zadwórze – polskie Termopile czy rzeź niewiniątek?

Bój pod Zadwórzem był polskimi Termopilami: 300 walecznych ochotników walczyło przez cały dzień z przeważającymi masami kawalerii rosyjskiej. Chociaż wszyscy obrońcy polegli, to ich trud nie poszedł na marne. Swoim poświęceniem kupili czas potrzebny obrońcom Lwowa na zajęcie pozycji obronnych i odparcie wroga.

Bitwę pod Termopilami stoczono w 480 roku przed Chrystusem. Trzystu spartańskich hoplitów przez dwa dni odpierało ataki perskich najeźdźców, ale trzeciego dnia zdrajca wskazał Persom ścieżkę prowadzącą na tyły obrońców. Wszyscy Grecy polegli. Powyższe słowa niezbyt dokładnie opisują faktyczne wydarzenia: obrońców było dużo więcej, można wątpić w istnienie zdrajcy, a i sama bitwa miała dla Spartan znaczenie bardziej religijne niż strategiczne. Dziś jest opowieścią o bohaterstwie i poświęceniu.

Polska również miała swoje „Termopile”: Zbaraż, Hodów, Węgrów, Wiznę. Kanon „polskich Termopil” nie jest ustalony, tak samo jak nie są ustalone dokładne kryteria. Najważniejszym jest obrona przed przeważającymi siłami wroga.

Poświęcenie musi być użyteczne. Dodatkowe punkty dostaje się za wysokie straty, najlepiej całkowite. Dobrze jest, jeśli liczba ofiar po polskiej stronie jest zbliżona do 300. Najważniejszy jest jednak rozgłos nadany zmaganiom. Wynik walki jest nieistotny: można było ją albo wygrać (jak pod Hodo-wem), albo przegrać (jak pod Wizną). Warto również pamiętać, że w czasie jednej wojny (powstania) mogą być tylko jedno „polskie Termopile”.

Stoczona 17 sierpnia 1920 roku bitwa pod Zadwórzem spełnia niemal wszystkie powyższe kryteria: trzystu polskich ochotników zostało zaskoczonych przez jazdę Siemiona Budionnego, broniło się niemal przez 11 godzin (aż do wyczerpania amunicji), niemal wszyscy żołnierze zginęli, a nieliczni jeńcy zostali wymordowani przez Rosjan. Poświęcenie polskich ochotników uratowało jednak Lwów.

Formacją, która walczyła pod Zadwórzem, był „detachment” – z francuskiego „oddział wydzielony” – Romana Abrahama. Jego dowódca – ciężko ranny kilka dni wcześniej i nieobecny pod Zadwórzem – był Lwowianinem, oficerem kawalerii dawnej armii austriackiej, który w czasie walk o Lwów z Ukraińcami zorganizował najlepszy chyba oddział ochotniczy. Latem 1920 roku powierzono mu to samo zadanie. Wywiązał się z niego dobrze: jego „detachment” liczył blisko 2000 ludzi, składał się z batalionu piechoty, dywizjonu kawalerii i dywizjonu karabinów maszynowych. W pierwszych dniach sierpnia brał skuteczny udział w walkach na dalekich przedpolach Lwowa: Polacy prowadzili aktywne działania, starając się zamaskować odejście spod Lwowa dywizji potrzebnych w bitwie warszawskiej.

Piętnastego sierpnia I Armia Konna przekroczyła Bug – rzekę okalającą Lwów od wschodu – mniej więcej 45 kilometrów od centrum miasta. Po dwóch dniach była obecna

w Zadwórzcu – osadzie leżącej 30 kilometrów od Lwowa, na linii kolejowej prowadzącej do Kijowa. Pokonanie 15 kilometrów zajęło jeździe Budionnego dwa dni, co nawet jak na Konarmię oznaczało dość powolny marsz. Średnia prędkość Konarmii w Polsce wynosiła co prawda tylko około 5 kilometrów na dobę, ale gdy nie miała ona przed sobą przeciwnika – tak jak w tej sytuacji – poruszała się znacznie szybciej.

W tym czasie formacje Wojska Polskiego strzegące linii Bugu – linii symbolicznej, w tamtych okolicach to bardzo wąska rzeczka – otrzymały rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela. 54. Pułk Piechoty Strzelców Kresowych – towarzysząc walk ochotniczemu „detachmentu” odszedł na południowy wschód, ku macierzystej 12. DP. Ochotnicy podjęli decyzję, aby iść najkrótszą drogą do Lwowa. W pewnym momencie na południe skręcił również ochotniczy dywizjon kawalerii. Może to wskazywać, że dyscyplina wśród ochotników nie była najwyższa.

Możemy jedynie przypuszczać, jakie decyzje podejmował kapitan Bolesław Zajączkowski, dowodzący w tym czasie ochotnikami. Dysponujemy jedynie relacjami wrogów – w tym literacką ich wersją zamieszczoną w książce Izaaka Babla *Armia konna* – oraz cywilnych świadków.

Rankiem 17 sierpnia – około 5 kilometrów od Zadwórzca – polski batalion został ostrzelany od frontu ogniem karabinów maszynowych. Jeszcze wtedy Polacy mogli skręcić w lasy rozciągające się na południe od torów – ale liczyli na to, że idąc wzdłuż linii kolejowej, jeszcze tego samego dnia dojdą do Lwowa. Uderzyli więc na Zadwórze i w południe zdobyli budynek stacji kolejowej. Wówczas okazało się, że siły przeciwnika są większe, niż się spodziewano, i dalszy marsz jest niemożliwy. Postanowiono bronić się w Zadwórzcu, odparto kilka szarż jazdy i szturmów piechoty. Pod koniec dnia

zaczęło brakować amunicji. Podjęto decyzję, aby przebijać się w kierunku Lwowa. Zdołano przejść jedynie półtora kilometra: ostatni akt dramatu wydarzył się przy budce dróżnika, gdzie pozbawieni amunicji Polacy zostali wysieczeni przez jazdę Budionnego. Najpierw jednak dowódca – „ostatnią kulą” – popełnił samobójstwo.

Czy Polacy mogli uniknąć zniszczenia pod Zadwórzem? Bezsprzecznie tak – poprzedniego dnia mogli odejść wraz z 54. pp na południowy wschód albo podążyć za dywizjonem kawalerii. Wydaje się, że nawet rankiem 17 sierpnia – po wymianie pierwszych strzałów – mogli przerwać walkę i skryć się w lasach.

Czy bój pod Zadwórzem uratował Lwów? Odpowiedź na to pytanie jest nieco bardziej skomplikowana. Walczyła tam jedynie 6. Dywizja Konna. Konarmia dysponowała w tym czasie czterema takimi dywizjami, a oprócz nich również dwiema dywizjami strzeleckimi. Siemion Budionny najprawdopodobniej nawet nie został poinformowany o wydarzeniach pod Zadwórzem. Przez dłuższy czas nie wiedział o nich również dowódca 6. Armii generał Wacław Iwaszkiewicz. Był to wysokiej klasy specjalista, dowodzący dywizją piechoty w armii carskiej, a od początku 1919 roku – niemal całością Wojska Polskiego na południowym wschodzie Rzeczypospolitej. Nie miał większych sentymentów wobec Lwowa i wszystko wskazuje na to, że nie zamierzał bronić tego miasta za wszelką cenę. A przynajmniej – nie bezpośrednio.

Siedemnastego sierpnia generał Iwaszkiewicz kończył koncentrację swoich sił wokół Lwowa. Dysponował 6., 12. oraz 13. Dywizją Piechoty i czekał na przybycie z północy lwowskiej 5. Dywizji Piechoty – zmęczonej ucieczką przed Tuchaczewskim, ale odzyskującej zdolność bojową. (Przywoziły ją te same pociągi, które na północ zwiozły 18. DP).

Oprócz tego miał dwie dywizje jazdy, a przede wszystkim dysponował pełnym dossier przeciwnika: wiedział, gdzie znajdują się wszystkie jego dywizje. Swoje wojska ustawił więc w dwie grupy bojowe: jedną na północ od Lwowa, a drugą na południe. Lwów miał być przynętą, wabiącą Budionnego. Gdy już Konarmia zaangażowałaby się w walki o miasto, obydwie grupy miały uderzyć, zamykając pułapkę. Początek akcji wyznaczono na 21 sierpnia. Jeśli więc bój pod Zadwórzem powstrzymał marsz I Armii Konnej pod Lwów, to z korzyścią dla Rosjan: uniknęli oni zniszczenia.

Lecz Budionny nie zamierzał zdobywać Lwowa. Zadziwiająca powolność marszu w kierunku Lwowa spowodowana była chaosem decyzyjnym. I Armia Konna – wraz z XII Armią – miały skrócić na północ i iść w stronę Warszawy. Siemion Budionny miał ambicje zdobycia Lwowa, ale już od kilku dni był bombardowany rozkazami zabraniającymi mu tego. I od kilku dni jego żołnierze oczekiwali zmiany rozkazów i nerwowo dreptali w miejscu. To samo czynił ich dowódca – jego dylematy przybliżymy w jednym z kolejnych rozdziałów.

Dwudziestego pierwszego sierpnia ruszyła polska ofensywa, mająca zniszczyć I Armię Konną. Uderzenie poszło w próżnię. Poprzedniego dnia Konarmia odeszła za Bug, szykując się do marszu na Warszawę. Jak zwykle odzyskanie gotowości bojowej zajęło jej niemal tydzień i w drogę wyruszyła dopiero 26 sierpnia. Dotarła jedynie do Zamościa. Tam wreszcie udało się złapać ją w pułapkę – w walkach tych brały również udział niektóre dywizje z 6. Armii.

Na pobojuwisko pod Zadwórzem przybyli wówczas rodzice poległych tam żołnierzy – znaczna ich część była studentami i maturzystami ze Lwowa. Po kilku dniach w czasie upalnego lata nie można było zidentyfikować większości

poległych. Spoczęli oni we wspólnym grobie, na którym zbudowano kurhan. Naliczono 318 ciał, tylu było poległych i pomordowanych. Kilkudziesięciu – a może stukilkudziesięciu – polskich żołnierzy trafiło do rosyjskiej niewoli. Ich losy są nieznane, ale najprawdopodobniej zostali oni pognani na wschód i trafili do obozów jenieckich.

Autorzy nie zamierzają negować bohaterstwa polskich żołnierzy walczących pod Zadwórzem. Mitów nie należy burzyć dla czystej sensacji, ale po to, aby oddać sprawiedliwość tym, którym się ona należy. Zadwórze było jednym z wielu bojów toczonych przez Polaków. Bojem zakończonym tragicznie. Doszukiwanie się na siłę sensu w tym boju ani nie zmieni jego wyniku, ani nie przywróci życia poległym.

Pomniki najczęściej stawiane są zmarłym i poległym. W ich cieniu ginie pamięć o innych bohaterach. Dowódcą 54. Pułku Piechoty Strzelców Kresowych był – wywodzący się z Legionów – podpułkownik Bolesław Fijałkowski. Umiejętnie dowodził swoim pułkiem i skutecznie przeprowadził odwrót, ratując ponad dwa tysiące ufających mu żołnierzy. Zamordowali go Rosjanie w Katyniu w 1940 roku. 18. Dywizją Piechoty – która przez miesiąc powstrzymywała I Armię Konną – dowodził generał Franciszek Krajowski, a właściwie František Králíček: Czech, który wybrał Polskę na swoją ojczyznę. Zmarł w 1932. Dowódcą broniącej Lwowa 6. Armii był Wacław Iwaszkiewicz, urodzony na Syberii syn zesłańca. Schorowany i utrudzony wojną zdał swoje dowództwo 21 sierpnia 1920 roku i nie zdołał już odzyskać zdrowia – zmarł dwa lata później.

„Termopile” mogą być w czasie wojny tylko jedno. Z Zadwórzem o to miano konkuruje bój pod Dytiatynem, stoczony 16 września 1920 roku, podczas pościgu za uchodzącymi spod Lwowa Rosjanami. III batalion 13. Pułku

Piechoty – dowodzony przez porucznika Jana Gabryśia – wsparty baterią artylerii górskiej niemal przez cały dzień powstrzymywał odwrót rosyjskiej 4. Dywizji Konnej i 123. Brygady Strzelców. (Z III baonem 13. Pułku spotkamy się jeszcze na łamach tej książki – pod Ossowem). Gdy zabrakło amunicji, dowódca zarządził odwrót: spośród 600 obrońców poległo 97, a 86 odniosło rany. To Dytiatyn, a nie Zadwórze był w latach II Rzeczypospolitej symbolem spełnionego do końca żołnierskiego obowiązku. Jan Gabryś został zamordowany przez Rosjan w 1940 roku, a w 2007 roku pośmiertnie awansowano go na generała brygady.

Jak wielkiej klasy mężem stanu był Roman Dmowski?

Roman Dmowski był prawdziwym mężem stanu i dyplomatą. Niezwykle przysłużył się sprawie polskiej podczas konferencji w Wersalu. Miał decydujący wpływ na odzyskanie przez Polskę niepodległości, kształt granic, a także wynik wojny polsko-bolszewickiej 1920.

Autorzy niniejszej książki darzą Romana Dmowskiego dużą sympatią. Nie tylko dlatego, że jest autorem najwspanialszych słów dotyczących powinności obywatelskich: „Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka”, ale również dlatego, że wszyscy pochodzimy z warszawskiej Pragi. Roman Dmowski spoczywa na cmentarzu Bródnowskim – gdzie najprawdopodobniej spoczną i autorzy – a jeden z nich (ten przystojniejszy) został ochrzczony w tej samej parafii, co bohater niniejszego rozdziału.

Paradoksalnie Roman Dmowski jest uważany za niedocenianego męża stanu. Nawet jego przeciwnicy z reguły uważają, że należy mu oddać sprawiedliwość w wysiłkach na rzecz odzyskania niepodległości. Jego zwolennicy zaś uważają, że

to on był faktycznym – i to wręcz jedynym – twórcą niepodległej Rzeczypospolitej.

Trudno jednak nie zauważyć, że Roman Dmowski był bardzo zmienny w poglądach. Zaczynał jako socjalista. Zgodnie z powiedzeniem – przypisywanym wielkim tego świata: Bismarckowi, Clemenceau i Piłsudskiemu – „kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie sk...”. Później, zauroczony Wielką Brytanią, próbował być konserwatystą, ale ostatecznie znalazł się w centrum sceny politycznej. Ruch narodowy, za którego twórcę jest powszechnie uważany, miał bowiem wiele twarzy. Nawet za życia Romana Dmowskiego jego partia wielokrotnie zmieniała swoją nazwę, więc powszechnie używa się określenia „endecja”. Warto jednak pamiętać, że jest to określenie mało eleganckie, pozbawione powagi i szacunku, używane może nie tyle przez przeciwników ruchu narodowego, co przez ludzi spoza niego.

Początkowo Roman Dmowski – „Pan Roman”, jak mówią o nim jego sympatycy – był zwolennikiem oporu przeciwko Rosjanom. Za udział w manifestacjach został nawet zesłany (ale niedaleko, do łotewskiej dziś Mitawy). Później stał się zwolennikiem porozumienia z Rosjanami. Miał nadzieję, że jest ono możliwe, a przykładem było mu nawiązanie przyjaznych stosunków Francuzów z Anglikami. Prowadząc taką politykę, naraził się na oskarżenia o bycie rusofilem i – faktycznie – czasem szedł w niej nieco zbyt daleko, na przykład wtedy, gdy w 1905 roku podległe mu bojówki endeckie stanęły na ulicach Warszawy po stronie Rosjan i strzelały do bojówek pepeesowskich. Nic dziwnego, że ocena Romana Dmowskiego przez nieco bardziej radykalnych Polaków była bardzo surowa. „Tutaj warto zrobić / historyczny przytyk / że co drugi folksdojcz / był real-polityk” (Jan Krzysztof Kelus, *Przypowieść o jeżach*).

Z perspektywy ponad stu lat można ocenić, że działalność Romana Dmowskiego w dziesięcioleciu pomiędzy 1905 a 1915 rokiem niewiele przysłużyła się sprawie polskiej niepodległości, a nawet jej zaszkodziła. Rzecz nawet nie w tym, że propaganda narodowa zniechęciła społeczeństwo Kongresówki do poparcia planów powstańczych Józefa Piłsudskiego w sierpniu 1914 roku – być może insurekcja w tym momencie była przedwczesna. Rzecz w tym, że walka gospodarcza zainicjowana przez endecję dała asumpt do oskarżania Polaków o antysemityzm. Oskarżenia te – z reguły niemające potwierdzenia w faktach – miały negatywny wpływ na stosunek mocarstw wobec Polski. Co gorsza, nadal mają...

Bez wątpienia wielką zasługą Romana Dmowskiego było zorganizowanie Komitetu Narodowego Polskiego i przekonanie państw Ententy, że Polacy walczą po „właściwej” stronie. Czynił to, podróżując po świecie i rozmawiając z przywódcami mocarstw. Jesienią 1918 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Szybko okazało się, że była to podróż podjęta w bardzo złym czasie – Niemcy właśnie zamierzali podpisać zawieszenie broni i decydujące dwa tygodnie listopada „Pan Roman” spędził w drodze powrotnej przez Atlantyk, nie mając większego wpływu na podejmowane decyzje. Do Europy powrócił dopiero 19 listopada.

Zanim jednak rozpoczął drogę powrotną, użył swoich wpływów w amerykańskim Departamencie Stanu, aby w umowie o zawieszeniu broni znalazł się specyficzny zapis: zamiast natychmiastowego wycofania wojsk niemieckich z Polski, zażyczył sobie, aby pozostały w Polsce i odeszły dopiero wówczas, gdy zażąda tego Ententa. Tłumaczył to później chęcią uniknięcia sytuacji, w której „Wojska Polskiego właściwie w kraju nie ma, alianci ze swoim wojskiem nie przyszli, wojsko niemieckie usuwa się do Niemiec, a na jego miejsce wlewa się

fala bolszewicka ze wschodu”. Gdyby nie aktywność Romana Dmowskiego, to 11 listopada 1918 nie trzeba by było rozbrajać Niemców w Warszawie, a dziś nie byłoby czego świętować.

Niemal natychmiast rozpoczął starania o przejęcie władzy w Polsce. Czynił to na kilka sposobów. Pierwszym było zasugerowanie swoim zwolennikom w Warszawie, aby siłą obalili rządzące władze. Zamach przeprowadzono w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 roku i zakończył się spektakularną porażką. Kolejnym – wysłanie do Warszawy wielkiego pianisty Ignacego Jana Paderewskiego, współzałożyciela Komitetu Narodowego Polskiego. To wyszło krajowi na dobre: Paderewski zorientował się w sytuacji i został premierem, ale nie z nadania Dmowskiego, tylko z woli Tymczasowego Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, z którym lojalnie współpracował przez najbliższy rok.

Kolejnym narzędziem wykorzystywanym przez „Pana Romana” do zdobycia władzy w Polsce była Armia Polska we Francji. Sporo jej jednostek powstało zresztą we Włoszech, toteż używa się również nazwy Błękitna Armia – od koloru noszonych francuskich mundurów – czy też Armia Hallera – od nazwiska dowódcy. Wojska te były bardzo potrzebne w kraju, a ich przybycie się opóźniało. Do ich wysłania do Polski nie byli przekonani Francuzi, którzy nie wiedzieli jeszcze, czy odrodzona Polska będzie sojusznikiem Francji, czy też może Niemiec, a i Niemcy mnożyli trudności: doskonale wiedzieli, że Polacy nie będą ich sojusznikami. Roman Dmowski zamiast przyspieszyć przybycie Błękitnej Armii do kraju, opóźniał je, jak mógł: marzył mu się tryumfalny powrót do Warszawy na jej czele.

Większość Błękitnej Armii – cztery z pięciu dywizji – przybyła do Polski dopiero na przełomie kwietnia i maja 1919 roku. Pozwoliło to na bardzo szybkie rozstrzygnięcie

konfliktu z Zachodnioukraińską Republiką Ludową o Lwów, odepchnięcie Rosjan od Wilna i wyzwolenie Mińska Litewskiego. Gdyby wojska te przybyły wcześniej, pierwsze miesiące 1919 roku nie miałyby tak dramatycznego przebiegu.

Najlepiej widać to na przykładzie naszych braci – Czechów. Oni również mieli swoją Błękitną Armię organizowaną przez Francuzów i Włochów. Siedem pułków „Československé légie” zostało błyskawicznie przerzuconych do Czech i natychmiast użytych do walki przeciwko Węgrom oraz Polakom. W styczniu 1919 roku czeska „Błękitna Armia” – dowodzona wciąż jeszcze przez włoskich i francuskich oficerów – rozpoczęła agresję na Polskę, dotarła niemal do Bielska i doprowadziła do zaboru Śląska Cieszyńskiego. To doskonale pokazuje, jaką przewagą dawał – lub nie – błyskawiczny powrót „błękitnych armii” do kraju.

W tym czasie toczyły się w Paryżu rozmowy pokojowe, zakończone w czerwcu 1919 roku traktatem wersalskim. Warunki pokojowe były korzystne dla Polski i to właśnie na Romana Dmowskiego spadają zasługi za ten sukces. Nie do końca tak było. Faktycznie w pierwszym etapie negocjacji państwa Ententy przyjęły wiele zaproponowanych przez Romana Dmowskiego propozycji – korzystnych dla Polski, a niekorzystnych dla Niemiec. Później jednak Niemcy zaprotestowali przeciwko nim, a państwa Ententy zdawały się podzielać ich opinię. Duże znaczenie miały obawy wywołane przedwojenną działalnością Romana Dmowskiego i jego ruchu narodowego, a związane z antysemityzmem. Dopiero przybycie na konferencję pokojową Ignacego Jana Paderewskiego – polityka, ale i pianisty cieszącego się na Zachodzie olbrzymią popularnością – rozwiało te obawy. Ostatecznie ustalony w Wersalu kształt polskich granic zachodnich nie był rozwiązaniem satysfakcjonującym Polaków. Tam, gdzie

Dmowski chciał inkorporacji – skończyło się na plebiscytach, Gdańsk – choć już był nam obiecany – został Wolnym Miastem.

Często zapomina się, że główny polski negocjator w Paryżu – czyli Roman Dmowski – od razu popełnił bardzo poważny błąd. Powinien był żądać granic przedrozbiorowych, z roku 1772. Takie były oczekiwania wielu środowisk w kraju i można było to łatwo uzasadnić na niwie dyplomatycznej. Oczywiście takich granic nie dałoby się uzyskać, ale stanowiłyby one bardzo dobrą propozycję przetargową. „Pan Roman” zadecydował się ograniczyć swoje żądania do „linii Dmowskiego”, czyli takich granic, jakie on sam uważał za stosowne.

Kreśląc propozycje granic, Roman Dmowski kierował się... właściwie nie wiadomo czym. Nie były to bowiem ani granice etniczne, ani granice polityczne, tylko linie arbitralnie wykreślone na mapie. Miał ambicje wykreślenia granic Polski na nowo: granic idealnych, kształtem zbliżonych do okręgu, zawierających wewnątrz odpowiedni stosunek Polaków do mniejszości. „Odpowiedni stosunek” miał pozwolić na asymilację – czyli polonizację – Żmudzinów, Białorusinów, Ukraińców, Słowaków, Czechów, Niemców oraz Żydów. Te wizje miały znaczący – i trudny do oceny – wpływ na życie polityczne w roku 1920 oraz decydujący – i jednoznacznie negatywny – wpływ na negocjacje pokojowe z Rosją. Stało się tak przede wszystkim z powodu arbitralności „linii Dmowskiego” – każdy może bowiem interpretować ją według własnego widzimisię.

„Polityk myśli o następnych wyborach, maż stanu – o następnym pokoleniu”. Powyższe słowa – przypisywane Ronaldowi Reaganowi – dotyczą także Romana Dmowskiego. Jego działania można usprawiedliwić tylko tym, że uznawał Józefa Piłsudskiego za zagrożenie dla przyszłych pokoleń. Czy miał rację? – ocenimy to w jednym z kolejnych rozdziałów.

Józef Piłsudski: militarny geniusz czy amator?

Józef Piłsudski był geniuszem militarnym. Uznali to nawet Austriacy, tworząc dla niego wyjątkowy stopień wojskowy: brygadiera. Józef Piłsudski był militarnym amatorem, nie skończył przecież żadnej szkoły oficerskiej – a szkoła oficerska – z definicji – jest niezbędna do bycia oficerem.

Piętnastego grudnia 1914 roku władze austriackie zadecydowały o reorganizacji legionów i utworzeniu dwóch brygad. Dowódcą pierwszej z nich został Józef Piłsudski. Austro-Węgry były państwem o skomplikowanej organizacji – np. oficjalnie Austria nie miała nazwy, a Kraków nie był częścią Galicji – i równie skomplikowanej strukturze sił zbrojnych. Oprócz wspólnej – k. u k., czyli cesarskiej i królewskiej – armii i floty istniała również Obrona Krajowa – k.k., czyli cesarsko-królewska – oddzielna dla obu części państwa: w Austrii nosiła nazwę Landwehr, a na Węgrzech – Honwed. Jej charakter można wytłumaczyć w ten sposób, że gdyby powstała monarchia trialistyczna – austro-węgiersko-polska – to Polacy używaliby nazwy „Pospolite Ruszenie”. Legiony Polskie były częścią Landwehry.

Austriackie stopnie wojskowe były równie skomplikowane: bez mała każda służba miała oddzielne nazwy rang, co więcej – oficerowie zajmujący się tyłami byli nazywani urzędnikami i zamiast sześcioramiennych gwiazdek nosili czterolistne rozetki. W ramach represji i zniechęcania Polaków oficerom legionowym przyznano właśnie status urzędników wojskowych, wraz ze wszystkimi minusami tego rozwiązania: niższą gażą i koniecznością salutowania „prawdziwym” oficerom austriackim. Wieloletni spór o przyznanie stopni oficerskich legionistom miał więc wymiar nie tylko narodowy, ale również praktyczny, prestiżowy i finansowy. Józef Piłsudski był więc oficjalnie „urzędnikiem wojskowym VI rangi” – czymś w rodzaju pułkownika.

Piętnastego grudnia 1914 roku Austriacy zadecydowali o utworzeniu dwóch brygad legionowych, dowódcą pierwszej z nich został „urzędnik wojskowy VI rangi” Józef Piłsudski. Od tej pory nazywano go według pełnionej funkcji dowódczej – „brygadierem”, tak samo jak dowódców dywizji nazywano „dywizjonerami”. I tu pojawia się problem lingwistyczny: w niektórych państwach – szczególnie angielskojęzycznych – brygadier to stopień wojskowy pomiędzy pułkownikiem a generałem. O ile nie ma wątpliwości, że „dywizjoner” to nazwa funkcji, a plutonowy i pułkownik to nazwa stopni wojskowych, a nie określenie funkcji dowódcy plutonu i dowódcy pułku, to termin „brygadier” może być dwuznaczny. Tę dwuznaczność wykorzystano, by podkreślić szczególnie status Józefa Piłsudskiego: choć „brygadierów” w Legionach było kilku, to „Brygadier” był tylko jeden. Tak zresztą – „Brygadier Piłsudski” – określano go w mniej i bardziej oficjalnych pismach.

Józef Piłsudski nie kończył szkół wojskowych, co dla wielu oznacza, że nie miał odpowiedniego przygotowania

fachowego. Warto jednak zwrócić uwagę, że rola szkół oficerskich w kształceniu oficerów liniowych – a nie technicznych – nie polega na nauce rzemiosła wojskowego. To w gruncie rzeczy pomaturalne szkoły zawodowe. Ich głównym celem jest – a na pewno było przed Wielką Wojną – ułatwienie awansu społecznego młodzieży wiejskiej. Szkoła oficerska dawała towarzyską ogłędę, wiedzę o funkcjonowaniu państwa oraz podstawowe przeszkolenie taktyczne, oparte przede wszystkim na topografii i terenoznawstwie.

Absolwenci uniwersytetów – bo absolwenci politechnik szli do broni technicznych – zdobywali o wiele lepsze wykształcenie, a później podczas kilkumiesięcznych kursów uzupełniali przeszkolenie taktyczne. W niektórych państwach to właśnie absolwenci uniwersytetów i cywilnych politechnik – po przeszkoleniu taktycznym – zostają oficerami, a szkoły oficerskie nie istnieją lub mają marginalne znaczenie. Taki model obowiązuje od wieków w armii brytyjskiej, amerykańskiej, obecny jest w większości państw NATO, a w XXI wieku wprowadzany jest także w Polsce.

Istnieje oczywiście różnica – i to olbrzymia – pomiędzy oficerami zawodowymi a oficerami rezerwy. Wynika ona jednak nie tyle z wykształcenia, ile z praktyki. Podczas gdy oficerowie rezerwy są cywilami, to dla oficerów zawodowych wojsko jest całym życiem. Dzięki wojsku utrzymują i rozwijają zdolności uzyskane w szkole oficerskiej. I to stanowi różnicę, ale różnicę na poziomie dowódców plutonów czy dowódców kompanii.

Czy „urzędnik wojskowy VI rangi” Józef Piłsudski miał odpowiednie wykształcenie wojskowe? Wszystko na to wskazuje: z domu wyniósł odpowiednią ogłędę, a wiedzę o funkcjonowaniu państwa nabył podczas działalności politycznej. Podczas rewolucji 1905 roku zdobył podstawowe przeszkolenie

taktyczne, a egzaminem z topografii i terenoznawstwa była skutecznie przeprowadzona akcja pod Bezdanami 26 września 1908. W kolejnych latach nabył praktyki w dowodzeniu większymi formacjami, prowadząc manewry Związku Strzeleckiego. W 1914 roku miał więc praktykę dowódczą większą niż przeciętny europejski pułkownik. Znał nie tylko praktykę, ale również i teorię: prowadził badania nad współczesnymi wojnami, chociażby bałkańskimi, toczonymi w latach 1912–1913. Wojsko było jego życiem – również pod tym względem nie różnił się od oficerów zawodowych.

W czasie Wielkiej Wojny „urzędnik wojskowy VI rangi” Józef Piłsudski udowodnił, że jest sprawnym brygadierem, fachowo dowodząc powierzonym mu związkiem taktycznym. Dowodzenie polega nie tylko na podejmowaniu decyzji w czasie walki, ale również administrowaniu podczas okresów „spokoju”. W 1916 roku przestał zresztą pełnić funkcje dowódcze i został referentem Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu, a więc ministrem spraw wojskowych Królestwa Polskiego.

W listopadzie 1918 roku nastąpiło gwałtowne przyspieszenie kariery wojskowej „urzędnika wojskowego VI rangi” Józefa Piłsudskiego – został wodzem naczelnym Wojsk Polskich. Był to awans podyktowany potrzebami politycznymi, a niski stopień wojskowy musiał przeszkadzać w sprawowaniu dowództwa. Najprawdopodobniej z tego powodu wciąż chodził w mundurze legionowym bez odznaki stopnia, a zwracano się do niego „komendancie”.

Sytuacja była na tyle niezręczna, że latem 1919 roku ówczesny minister spraw wojskowych generał Józef Leśniewski poprosił Sejm o przyznaniu Piłsudskiemu stopnia „Pierwszego Marszałka Polski”. Sejm – zdominowany przez niechętną endecję – odmówił, wskazując, że stopień taki należy się

raczej generałowi Józefowi Hallerowi. (Dlaczego Haller jako marszałek byłby tragedią, wyjaśnimy w jednym z kolejnych rozdziałów).

Chwilowo problem nie był tak istotny, ponieważ Józef Piłsudski został Naczelnikiem Państwa – teraz jego władza wynikała nie z rangi wojskowej, ale z prestiżu stanowiska, potwierdzonego wolą Sejmu Ustawodawczego. Problem należało jednak rozwiązać, chociażby w związku ze współpracą z obcymi armiami. Uczyniono to w charakterystyczny sposób.

Dziewiętnastego marca 1920 roku – w dniu imienin Naczelnika Państwa i w czasie rozmów wojskowych z Ukraińcami – przybyła do niego delegacja Ogólnej Komisji Weryfikacyjnej, instytucji mającej uporządkować stopnie oficerskie w Wojsku Polskim. Poproszono go o przyjęcie nominacji na „Pierwszego Marszałka Polski”. Akceptując wolę wojska, Józef Piłsudski dokonał więc „samomianowania”, wydając dekret o treści: „Stopień Pierwszego Marszałka Polski przyjmuję i zatwierdzam”.

W tym czasie Józef Piłsudski był wodzem naczelnym, który zakończył zwycięsko kilka kampanii, a nawet wojen. Nie zawsze jednak – o czym się zapomina – polskim zwycięstwem. W styczniu 1919 roku dopuścił do osłabienia obrony polskiej granicy południowo-zachodniej, co skrzętnie wykorzystali Czesi, dokonując zaboru Śląska Cieszyńskiego, co do dziś kładzie się cieniem – choć wątłym – na wzajemnych stosunkach. Bezsprzecznie wygrał wojnę z Ukraińską Republiką Ludową, odpierając zakusy Kijowa na Chełmszczyznę. Nieco więcej kontrowersji sprawiło pokonanie Zachodnio-ukraińskiej Republiki Ludowej: Józef Piłsudski wykorzystał do tego dywizję Błękitnej Armii, przybyłe właśnie z Francji. Zostało to dokonane wbrew woli Paryża, a nawet przy jego sprzeciwie: nie należy zapominać, że Błękitna Armia była

przez Francuzów zorganizowana, wyposażona, a nawet dowodzona. Decyzja, aby użyć tych wojsk, była słuszną z punktu widzenia wojskowego, ale zrobiła bardzo dużo złego na niwie politycznej, szczególnie że wydarzyło się to tuż przed podpisaniem traktatu wersalskiego.

Ta błędna decyzja polityczna wynikała z poprzedniego błędu, również politycznego. Józef Piłsudski uznał bowiem, że jego najlepsze wojska nie zostaną skierowane na odsiecz Lwowa, tylko do wyzwolenia Wilna i odbudowy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wykorzystując sprzyjające okoliczności – m.in. przerwę świąteczną, podczas której nie obradował Sejm Ustawodawczy i rychłe nadejście Błękitnej Armii – przeprowadził uderzenie na Wilno. Odnosił sukces militarny, ale Wielkiego Księstwa Litewskiego nie udało się odbudować – nie było takiej woli ani wśród Litwinów mówiących po polsku, ani wśród Litwinów mówiących po białorusku, ani wśród Litwinów mówiących po żmudzińsku.

O ile bilans roku 1919 był korzystny, to w 1920 roku Józef Piłsudski popełnił jednak o wiele poważniejsze błędy, w tym także natury czysto wojskowej. Najprawdopodobniej zadziałał tutaj efekt zmiany skali: do tej pory zaplanowane i prowadzone akcje realizowane były siłami kilku dywizji, a ich rozmach terytorialny ograniczał się do terenu – w przybliżeniu – województwa. W 1920 roku Józefowi Piłsudskiemu przyszło dowodzić całymi armiami, na obszarze całych krajów. Taka bariera kompetencyjna występuje dość często: zdolni dowódcy dywizji nie zawsze zostają zdolnymi dowódcami armii, a zdolni dowódcy armii nie zawsze zostają zdolnymi wodzami naczelnymi. Z tym ostatnim mamy do czynienia w przypadku Józefa Piłsudskiego.

Pierwszym błędem było fatalne przygotowanie i przeprowadzenie – opisaną w innym rozdziale – ofensywy na

Ukrainie. Miały w niej wziąć udział trzy zgrupowania armijne, a dokładniej: dwie armie i jedna grupa uderzeniowa dowodzona bezpośrednio przez marszałka Piłsudskiego, która – gdy marszałek przekazał komendę nad nią generałowi „Śmigłemu” – stała się pełnoprawną armią. Jak widać, struktura dowodzenia była nadmiernie skomplikowana: marszałek Piłsudski był jednocześnie wodzem naczelnym całego Wojska Polskiego, dowodził całością ofensywy oraz grupą uderzeniową. (Najprawdopodobniej w tej ostatniej roli czuł się najbardziej komfortowo).

Ofensywa miała doprowadzić do rozbicia dwóch armii rosyjskiego Frontu Południowo-Zachodniego. W roku 1919 Wojsko Polskie – czasem dowodzone bezpośrednio przez Józefa Piłsudskiego – skutecznie rozbijało dywizje wchodzące w skład rosyjskich armii. Ofensywa ukraińska w 1920 roku została zaplanowana w takiej właśnie skali, która okazała się zbyt skromna. Dwudziestego piątego kwietnia Polacy ruszyli do przodu, rozbili wysunięte formacje wroga, a pozostałe zmusili do odwrotu, który zamienił się w paniczną ucieczkę. Z reguły określenie „paniczna ucieczka” jest chwytem retorycznym, tutaj ma jednak sens taktyczny, a nawet strategiczny: Rosjanie uciekali tak szybko, że po trzech dniach wyszli poza zasięg polskiego uderzenia. W tym momencie – 27 kwietnia – marszałek Piłsudski zawiódł, nie zrozumiał bowiem, że taktyczny odwrót Rosjan okazał się odwrotem strategicznym i nie zareagował na to właściwie. Tak naprawdę nie zareagował wcale. Przez kolejne dwa dni Wojsko Polskie stało beczynn timer, a gdy już ruszyło, poruszało się bardzo ślamazarnie. Naczelny Wódz – nie mając pomysłu, co zrobić, gdy wróg uciekł – stracił zainteresowanie działaniami wojennymi i zajął się polityką – odtwarzaniem państwa ukraińskiego.

Niejako przy okazji marszałek Piłsudski przygotowywał się do odparcia spodziewanej ofensywy na północnym wschodzie, gdzie do uderzenia szykował się rosyjski Front Zachodni Michaiła Tuchaczewskiego. Niestety, znów popełnił błędy. Część z nich można złożyć na karb „mgły wojny” – czyli nieznamomości zamierzeń przeciwnika i zmienności wydarzeń wojennych – część jednak wynikała ze złej kalkulacji czasu i przestrzeni, umiejętności koniecznej dla wodza naczelnego.

W drugim tygodniu – już po wyzwoleniu Kijowa – marszałek Piłsudski rozpoczął przerzucanie dywizji na północ. Z Ukrainy miały odjechać tam trzy dywizje piechoty i brygada jazdy – trzecia część wszystkich sił. Rosyjskie uderzenie na północy Michaił Tuchaczewski rozpoczął 14 maja, po czym nastąpiła zażarta bitwa. Początkowo określano ją jako „bitwa nad Berezyną”, ale później zaczęto używać nazwy „pierwsza bitwa nad Autą”. Warto zwrócić uwagę, dlaczego doszło do tej zmiany.

Otóż 14 maja Armia Czerwona rozbiła polskie pozycje obronne wysunięte nad niewielką rzeką Autą, i posunęła się 80 kilometrów na zachód. Już po tygodniu Wojsko Polskie powstrzymało Rosjan, zadając im ciężkie straty i utrzymując główną pozycję obronną na rzece Berezyna – o którą toczyły się ciężkie walki. W tym czasie trzy dywizje piechoty i brygada jazdy jechały pociągami znad Dniepru nad Berezynę. Gdy już jednak dotarli, bitwa wygasła. Wódz naczelny uznał jednak, że skoro skoncentrował na północy tak duże siły, to wykorzysta je do odzyskania poprzedniej pozycji. Co prawda na południu – nad Dnieprem – rozpoczęła się rosyjska ofensywa z udziałem Armii Konnej, ale marszałek Piłsudski nie zrezygnował ze swoich planów. Istotne było dla niego również i to, że decydujące uderzenie mające odrzucić Rosjan

znad Berezyny do Auty miał przeprowadzić generał Kazimierz Sosnkowski.

Jeśli Kazimierz Sosnkowski nie był najbliższym przyjacielem Józefa Piłsudskiego, to był z pewnością najbliższym współpracownikiem z kręgów wojskowych. Problem polegał jednak na tym, że generał Sosnkowski nigdy nie dowodził – zawsze był szefem sztabu. Teraz nadarzyła się okazja dowodzenia w ofensywie przeprowadzonej przez wypoczęte wojska na wyczerpanego przeciwnika pozbawionego odwodów. Rozpoczęto ją 1 czerwca i oczywiście się powiodła, udowadniając talenty wojskowe Kazimierza Sosnkowskiego. Dziesiątego czerwca odzyskano linię Auty.

Dywizji, które o tym zadecydowały, zabrakło nad Dnieprem. Po dziesięciu dniach bezowocnych szturmów Armia Konna Siemiona Budionnego przedarła się przez polską obronę, wychodząc na tyły 3. Armii Wojska Polskiego broniącej Kijowa. Sytuacja stawała się dramatyczna, należało rozpocząć odwrót. Odwrót jest jednak jedynym działaniem wojskowym, które nie może być podjęte z oddolnej inicjatywy. Odwrót wykonuje się tylko i wyłącznie po otrzymaniu rozkazu przełożonego. Dowodzący w Kijowie generał „Śmigły” na niego czekał, szef Sztabu Naczelnego Wodza pułkownik Stanisław Haller miał go na piśmie, ale nie miał go kto podpisać: w tym czasie marszałek Piłsudski przybywał w sztabie generała Sosnkowskiego, świętując zwycięstwo przyjaciela, a później jego uwagę zajął kryzys rządowy.

Działania Armii Konnej – czy raczej panika spowodowana plotką o tych działaniach – sprawiły, że wódz naczelny znów zwrócił uwagę na południową część frontu i postanowił przerzucić tam dywizje z północy. Trzy dywizje i brygada jazdy znów rozpoczęły podróż koleją. I znów wycucie czasu zawiodło marszałka Piłsudskiego: 4 lipca Michaił Tuchaczewski

ponownie rozpoczął ofensywę, ponownie rozbił polskie pozycje obronne wysunięte nad niewielką rzeczką Autą i ponownie posunął się 80 kilometrów na zachód. Tym razem jednak Wojsko Polskie nie zdołało zatrzymać Armii Czerwonej na linii Berezyny – nie było odwodów, podróżowały one bowiem pociągami na południe.

Józef Piłsudski w swoich wspomnieniach wojennych poświęcił dużo uwagi i wylał wiele gorzkich słów na temat kordonowego szyku Wojska Polskiego nad Autą – wątlęgo i łatwego do przerwania – oraz braku odwodów zdolnych do zatrzymania Rosjan, którzy przez ten kordon przeszli. Zapomina jednak dodać, że to on jest głównym winowajcą tego stanu: to on podjął decyzję o powrocie nad Autę, to on podjął decyzję o odesłaniu odwodów na południe. Nie jest to jedyna nieścisłość w jego wspomnieniach: wyrzeka również na generała „Śmigłego”, zarzucając mu zbyt późne i niedokładne wykonanie rozkazu o odwołaniu, zapominając jednak, że takiego rozkazu nie wydał. Historię tworzy się, pisząc barwne pamiętniki, a nie prowadząc bitwy: ani dowodzący nad Berezyną generał Stanisław Szeptycki, ani dowodzący w Kijowie generał Edward „Śmigły” Rydz nie pozostawili po sobie tak interesujących wspomnień jak ich zwierzchnik.

W 1920 roku wódz naczelny – i Naczelnik Państwa – Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski popełnił dużo więcej błędów niż w latach poprzednich. Albo przerosła go skala działań wojennych, albo liczba obowiązków na nim spoczywająca. Niestety, błędy, pomyłki i niedopatrzienia nie skończyły się wiosną 1920 roku, tylko powtarzały się w kolejnych miesiącach. Największym z nich – któremu poświęćmy należną uwagę – była fatalna ocena rosyjskich intencji w przededniu bitwy warszawskiej. Błąd ten popełnili zresztą wszyscy generałowie – a także większość oficerów

niższego szczebla – pełniący stanowiska dowódcze w sierpniu 1920 roku.

Popełnione przez Józefa Piłsudskiego błędy w żadnym stopniu nie dyskwalifikują go jako dowódcy. Popełniają je wszyscy, nawet Aleksander Wielki – jedyny chyba wódz w dziejach świata, który wygrał wszystkie swoje bitwy. Wojny wygrywa ta strona, która popełni mniej błędów.

Józef Piłsudski nie był geniuszem militarnym, ale na pewno nie był militarnym amatorem. Był utalentowanym dowódcą na szczeblu wielkiej taktyki – dziś nazwalibyśmy to szczeblem operacyjnym – i umiejętnie dowodził armią. Spośród kilkunastu dowódców szczebla armijnego – zarówno po polskiej, jak i rosyjskiej stronie – był jednym z najlepszych. Na tym stanowisku nie doznał bowiem porażki. Byli również i inni polscy generałowie – niektórzy z nich zapomniani – którzy dowodzili równie szczęśliwie, ale wśród Rosjan był tylko jeden: Michaił Tuchaczewski. Porównując ich obu, trzeba jednak zauważyć różnice: Michaił Tuchaczewski miał do czynienia ze słabszymi przeciwnikami, ale swoje akcje przeprowadzał z większym rozmachem. W bezpośrednim starciu to jednak właśnie Józef Piłsudski wykazał swoją wyższość – popełnił mniej błędów.

A czy któryś z polskich generałów mógł konkurować swoimi umiejętnościami z Pierwszym Marszałkiem Polski?

Kto wymyślił linię Curzona i jak wyglądała pomoc sojuszników?

Konferencja w Spa w lipcu 1920 roku była klęską polskiego rządu. Premier Władysław Grabski właściwie nic nie uzyskał, a w zamian musiał się zgodzić na bardzo niekorzystne rozstrzygnięcia terytorialne. I tylko zjednoczenie narodu w walce z Rosjanami ocaliło kraj, a pomoc międzynarodowa w ogóle nie nadeszła.

Pierwszy rok istnienia odrodzonej Rzeczypospolitej przyniósł duże sukcesy. Państwo znalazło uznanie na arenie międzynarodowej, przeprowadzono wybory do Sejmu Ustawodawczego, skutecznie działała administracja, organizowano coraz liczniejsze wojsko. Nie groził przewrót komunistyczny ani wojna domowa, co było wówczas prawdziwą złą złą Europą Środkowej i Wschodniej. Przemiany odbywały się drogą pokojową, zgodnie z obowiązującym prawem. Ogłoszono dekret o ośmiogodzinnym dniu pracy, związki zawodowe mogły działać legalnie, wprowadzono ubezpieczenia chorobowe. Prawa wyborcze uzyskali wszyscy obywatele,

w tym także kobiety, co było rzadkością w Europie. Przy okazji zapowiedziana została reforma rolna.

Nie zmienia to jednak faktu, że sytuacja polityczna wciąż była skomplikowana. Nadal nie było konstytucji, zatem państwo działało na podstawie doraźnych uzgodnień. Największą rolę odgrywał Naczelnik Państwa, odpowiednik prezydenta, ale o bardzo szerokich kompetencjach. Nazwę tę wybrano z rozmysłem, gdyż naczelnik miał być również faktycznym zwierzchnikiem sił zbrojnych. Piłsudski łączył w swoich rękach władzę cywilną z wojskową, chociaż działał zgodnie z wolą Sejmu Ustawodawczego.

W grudniu upadł rząd Ignacego Paderewskiego, a nowym premierem został Leopold Skulski. Jego gabinet opierał się na współdziałaniu Związku Ludowo-Narodowego związanego z Romanem Dmowskim oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast” Wincentego Witosa. Piłsudski nie cieszył się popularnością w tych kręgach, gdy jednak w maju 1920 roku zdobyto Kijów, prawicowy marszałek Sejmu Wojciech Trąpczyński złożył hołd Józefowi Piłsudskiemu.

Gabinet Skulskiego upadł na początku czerwca 1920 roku. Wbrew pozorom jego dymisja wcale nie była spowodowana fatalną sytuacją na froncie wojny z bolszewikami, ale strajkami robotników żądających podwyżek. Doszło nawet do kilkudniowych walk ulicznych w Poznaniu, gdzie z rąk policji i wojska zginęło siedmiu protestujących.

Niebawem jednak okazało się, że znacznie groźniejsza jest Armia Czerwona i z konieczności usiłowano sformować rząd jedności narodowej. Jednak próba dołączenia ugrupowań lewicowych się nie powiodła i nowym premierem został Władysław Grabski, a jego gabinet miał charakter typowo partyjny. W tej sytuacji Sejm Ustawodawczy zdecydował o powołaniu Rady Obrony Państwa. W jej skład weszło osiemnastu

członków: Naczelnik Państwa, marszałek Sejmu, premier, dziesięciu reprezentantów głównych partii politycznych, kilku generałów, a także ministrowie resortów ważnych dla prowadzenia działań wojennych. Niezwykle ważny był dobór wyższych wojskowych: do ROP należeli generałowie: Józef Leśniewski – minister spraw wojskowych, Kazimierz Sosnkowski – wiceminister spraw wojskowych, Tadeusz Rozwadowski – nowy szef Sztabu Generalnego, oraz Stanisław Haller – jego zastępca i faktyczny organizator prac sztabowych.

Niestety, już pierwsze posiedzenie ROP 1 lipca 1920 roku wykazało, że nie będą możliwe spokojne obrady. Pojawiła się na nim „spontaniczna” delegacja obywateli żądających dymisji Piłsudskiego. W tej sytuacji marszałek zarządził tajne głosowanie nad wnioskiem, i „tylko jeden głos odmawiał zaufania Naczelnemu Wodzowi. Bezpośrednio po tym głosowaniu Dmowski wystąpił z Rady Obrony Państwa”^{*}.

Warto zwrócić uwagę na postępowanie Dmowskiego w tym czasie. Lider endecji wyjechał do Poznania, gdzie zajął się organizacją wieców potępiających przywództwo Piłsudskiego. Przepowiadał upadek Warszawy pod ciosami bolszewików i żądał powołania separatystycznego rządu poznańskiego. Najwyraźniej miał nadzieję, że w przyszłości Wielkopolska stanie się dla niego bazą wypadową do przejęcia władzy w Polsce. Jak jednak zamierzał odeprzeć Rosjan, tego nie było wiadomo. Być może liczył na pomoc Ententy, gdyż faktycznie po konferencji paryskiej miał wysokie notowania na zachodzie Europy. Najwyraźniej zapomniał jednak, że osobiste sympatie niewiele liczą się na wojnie i nie mogą zastąpić armat ani bagnetów.

^{*} W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. II, cz. 1, Londyn 1956, s. 270.

Tymczasem podczas kolejnych posiedzeń Rady Obrony Państwa współpraca układała się dość poprawnie. Organ ten znacznie przyspieszył proces decyzyjny w sprawach prowadzenia wojny, unikano bowiem żmudnych obrad parlamentarnych. Podjęto kroki mające na celu zdyscyplinowanie społeczeństwa: uchwalono, że odmawiający służby wojskowej tracą obywatelstwo, oraz zaostrzono przepisy sądownictwa doraźnego. Przy okazji też zwrócono uwagę na los rodzin po poległych żołnierzach oraz ustanowiono Krzyż Walecznych.

Podjęto próby znalezienia pomocy wśród państw Ententy, co było ułatwione, gdyż 5 lipca w belgijskim Spa zainaugurowała obrady konferencja mająca omówić niemieckie opóźnienia w realizacji traktatu wersalskiego. Pojawili się na niej szefowie rządów alianckich, zaproszenie dostał także premier Władysław Grabski. Szef polskiego gabinetu planował prosić o dostawy uzbrojenia i pośrednictwo w rozmowach z Kremlem na temat zawieszenia broni.

Grabski spotkał się jednak z obojętnością, a nawet niechęcią zachodnich polityków. Szczególnie przejawiali ją premier Wielkiej Brytanii Lloyd George i jego minister spraw zagranicznych George Curzon. Uznali, że nadarzyła się doskonała okazja do prowadzenia polityki „równowagi europejskiej”, czyli wzmocnienia Niemiec i Rosji kosztem Polski. Szczególną niechęć brytyjskich polityków wzbudzało wspomnienie, że rok wcześniej Polska dbała o własne interesy, a nie o sprawy ważne dla Londynu.

To właśnie wówczas pojawiło się pojęcie „linii Curzona”, czyli rzekomej granicy etnicznej Polski na wschodzie. Jej rzeczywistym autorem był Lewis Namier (właściwie Ludwik Bernstein), potomek zasymilowanych polskich Żydów, pałający osobistą niechęcią do Romana Dmowskiego. Ten historyk

i doradca Lloyd George'a od lat był związany z brytyjską służbą zagraniczną, a jego pomysł na wschodnią granicę Polski odpowiadał polityce Londynu.

Brytyjczykom było bowiem właściwie obojętne, czy w Moskwie będą rządzić „biali” czy „czerwoni”. Ważniejsze były interesy handlowe, a szczególnie spłata zaciągniętych przez rząd carski ogromnych kredytów. Interesowało to zresztą nie tylko Anglików, warto bowiem zauważyć, że armia rosyjska była wówczas uzbrojona w belgijskie karabiny i francuskie działa, za które należności nigdy nie zostały uregulowane. Do tego dochodziły jeszcze brytyjskie interesy związane z Wilnem, gdyż rząd carski jeszcze przed I wojną światową pobrał od angielskich banków ogromną pożyczkę na poprawę sytuacji komunalnej miasta. Nigdy jej nie spłacił, a pieniądze poszły na potrzeby innych miast imperium. Kowno obiecywało jednak zwrot pieniędzy, pod warunkiem że Wilno zostanie przyznane Litwinom.

„Linia Curzona” nigdy nie miała wiele wspólnego z etnografią, była to właściwie rosyjska granica III rozbioru Polski. Przy okazji pokrywała się niemal z wyznaczoną na Kongresie Wiedeńskim granicą pomiędzy Królestwem Polskim a Cesarstwem Rosyjskim (z wyjątkiem okolic Białegostoku). W ten sposób stworzono pozór, że Rosja kończy się na Bugu i wszystkie ziemie położone na wschód od tej rzeki powinny jej przypaść.

Gdy Grabski prosił w Spa o pomoc przeciwko Rosji, usłyszał, że musi się zgodzić na „linię Curzona”. Wojsko Polskie miało się na nią wycofać, do tego zrezygnować z Wilna na rzecz Republiki Litewskiej i pozostać na linii frontu w Galicji Wschodniej. W praktyce oznaczało to ustąpienie o wiele kilometrów na zachód i oddanie Armii Czerwonej terenów, do których jeszcze nie dotarła.

Jedenastego lipca brytyjska nota została wysłana do Moskwy, gdzie hojność Lloyd George'a wprawiła w osłupienie. Tymczasem Anglicy nie próżnowali, wymuszając kolejne ustępstwa. Na Śląsku Cieszyńskim, Spiszu i Orawie miano zrezygnować z referendum, tylko zgodzić się z decyzją Rady Ambasadorów, co w praktyce było równoznaczne z oddaniem tych ziem Czechom. Do tego doszły jeszcze niekorzystne decyzje w sprawie Wolnego Miasta Gdańska i ustępstwa gospodarcze wobec Niemiec. W zamian obiecano stosunkowo niewiele: skierowanie misji wojskowej i dyplomatycznej – wiele to nie kosztowało – oraz dostawy amunicji.

Siedemnastego lipca Moskwa odrzuciła ofertę rokowań, uznając hojność Ententy za oznakę jej słabości. Zapadła decyzja o dalszym marszu na zachód bez przejmowania się zachodnimi mocarstwami. Bardziej obawiano się Rumunii, która mogła zaatakować rosyjski Front Południowo-Zachodni maszerujący na Lwów. Poza tym pamiętano, że na Krymie wciąż urzędowały siły „Białych” Piotra Wrangla. To byli czynniki, które zadecydowały, że Front ten nie poszedł na Warszawę.

Tymczasem Lloyd George zorganizował „Misję Międzysojuszniczą do Polski” – Interallied Mission to Poland – na której czele stanął Edgar Vincent D'Abernon. Polityk ten wprawdzie pozostawił życzliwą relację z pobytu w Polsce za tytułowaną „Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata”, ale głównym jego celem było spowodowanie w Polsce zmian, które zadowolilyby Londyn. Premierem miał zostać Roman Dmowski, a naczelnym wodzem francuski generał Maxime Weygand. Gdy jednak 25 lipca Misja pojawiła się w Polsce, okazało się, że nie będzie miała żadnego wpływu na sytuację. Władysław Grabski stracił stanowisko premiera, a jego następcą został Wincenty Witos, który mógł dojść do

porozumienia zarówno z lewicą, jak i prawicą. Jego gabinet ogłoszono Rządem Obrony Narodowej, ale miał on się zająć nie tylko obroną kraju, lecz gdyby zaszła taka potrzeba, również kapitulacją.

Rosjanie nie zamierzali jednak negocjować i pomijali prośby o rozpoczęcie rozmów. Wprawdzie jak zwykle twierdzili, że chcą porozumienia, ale zwlekali z przedstawieniem konkretnych propozycji. Dlatego próby negocjacji podjęte na początku sierpnia w Baranowiczach i Mińsku Litewskim nie przyniosły rezultatu. Zatem Rząd Obrony Narodowej miał nie kapitulować, a walczyć.

Konferencja w Spa rozczarowała polskich polityków. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że Rzeczpospolita podczas wojny z bolszewikami uzyskała znaczną pomoc. Największą od Francuzów, którzy w latach 1918–1919 zorganizowali i wyekwipowali Błękitną Armię generała Józefa Hallera. Jej liczebność sięgała 80 tysięcy żołnierzy, a do tego dochodziło uzbrojenie dla siedmiu dywizji piechoty, siedem eskadr lotniczych i 120 czołgów. Wraz z Błękitną Armią w Polsce pojawili się francuscy specjaliści, których praca umożliwiła organizację i szkolenie kolejnych wojsk. Bez tego Wojsko Polskie nigdy nie odparłoby bolszewików.

Jednym z francuskich instruktorów był kapitan Charles de Gaulle, służący w naszym kraju przez prawie dwa lata (kwiecień 1919 – styczeń 1921). Został nawet majorem Wojska Polskiego, a za swój udział w walkach otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Wojskowego Virtuti Militari. Podczas II wojny światowej był przywódcą „Wolnych Francuzów”, a później prezydentem Francji.

Inna sprawa, że pomoc francuska docierała do naszego kraju z dużymi trudnościami. Trasa kolejowa przez Koblencję w Niemczech została latem 1920 roku zablokowana

przez strajki niemieckich kolejarzy. Natomiast drogę z południa Francji – prowadzącą przez północne Włochy, Austrię i Czechosłowację – zablokował nastawiony prorosyjsko rząd w Pradze. Postępowanie Czechów można porównać do zachowania Litwinów. Nienawiść do Polski oraz kompleksy narodowe były tak wielkie, że nie zwracano uwagi na szkody dla własnego kraju. Protestowano przeciwko zachodniej pomocy dla Polski walczącej z Rosjanami, a gdy to nie przyniosło efektów, zablokowano tranzyt. Nie zdawano sobie sprawy, że Czechosłowacja także padnie ofiarą bolszewików, niechęć do Warszawy i doraźne korzyści blokowały zdrowy rozsądek.

Znad Sekwany przychodziło do Polski nie tylko uzbrojenie francuskie, ale także zdobyczne, niemieckie. Miało to duże znaczenie, gdyż część Wojska Polskiego była wyposażona w sprzęt niemiecki, zdobyty w listopadzie 1918 roku w Królestwie Polskim i podczas powstania wielkopolskiego. Do Warszawy trafiało także uzbrojenie pozostałe po byłej armii austro-węgierskiej, które przysyłały władze w Budapeszcie. Pierwszy transport amunicji dotarł do Polski już w listopadzie 1918 roku. Węgierska pomoc była jednak mocno ograniczona, gdyż nad Balatonem toczyły się walki z komunistami, a następnie na mocy układu pokojowego z Trianon doszło do rozbioru kraju. Mimo to Węgrzy starali się kontynuować dostawy do Polski, a gdy Czechosłowacja zablokowała tranzyt, amunicja docierała przez Rumunię. I nie miał znaczenia fakt, że Węgry i Rumunia stały wówczas na progu wojny.

Raport generała Kazimierza Sosnkowskiego z początku lipca 1920 roku informował, że zapasy amunicji mogą wystarczyć tylko do połowy następnego miesiąca. Pomoc z Zachodu miała nadejść później, ale uratowali nas Madziarzy. Węgierski minister obrony narodowej polecił natychmiast przekazać nad Wisłę cały zapas amunicji strzeleckiej i artyleryjskiej.

Najważniejszy transport przybył na dworzec w Skierniewicach 12 sierpnia, było to 20 milionów sztuk amunicji. Dostawa pojawiła się niemal w ostatniej chwili, co umożliwiło uratowanie Polski przed bolszewikami. Oczywiście niebagatelne znaczenie miały też dostawy karabinów, których Węgrzy przekazali Polsce około 30 tysięcy sztuk.

Pomocy udzieliła również Wielka Brytania. Trzeba pamiętać, że już od 1918 roku była zaangażowana w walkę przeciwko bolszewickiej Rosji, i to głównie dzięki jej staraniom niepodległość odzyskały Estonia i Łotwa. Trzecie państwo bałtyckie – Republika Litewska – było jednak wrogo nastawione do Polski i współpracowało z Armią Czerwoną. Rząd w Kownie nie rozumiał, że zwycięstwo Rosji nad Polską oznacza również kres niepodległości Litwy.

Wielka Brytania dostarczyła kilkaset samolotów, chociaż większość angielskich dostaw pojawiła się w Polsce dopiero po bitwie warszawskiej. Brytyjczycy zresztą nie zawahali się usunąć siłą z portu w Gdańsku niemieckich dokerów, którzy blokowali rozładunek uzbrojenia dla Polski. Dokonali tego żołnierze generała Richarda Hakinga dowodzącego siłami Ententy w Gdańsku.

Warto pamiętać też o pomocy amerykańskiej. Chociaż nie udało się zorganizować Legionu Amerykańskiego, jednak w walkach wzięła udział 7. Eskadra Myśliwska, zwana „Kościszowską”. Latało w niej 21 ochotników zza oceanu, a wśród nich był Merian C. Cooper, późniejszy producent i reżyser słynnego hitu kinowego *King Kong*. Sam zresztą zasiadł za sterami samolotu w kluczowych scenach tego filmu.

Stany Zjednoczone udzieliły Polsce ogromnej pomocy humanitarnej. Po zakończeniu Wielkiej Wojny Amerykanie zorganizowali American Relief Administration, nazywaną w naszym kraju Amerykańskim Wydziałem Ratunkowym,

ewentualnie Amerykańską Misją Żywnościową. Znaczna część amerykańskiej pomocy dla Europy dotarła do Polski, co wynikało głównie z życzliwości szefa tej organizacji, Herberta Hoovera. W 1922 roku nadano mu honorowe obywatelstwo Rzeczypospolitej Polskiej, co było decyzją wyjątkową. Siedem lat później Herbert Hoover został prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Przypadek Hoovera był potwierdzeniem faktu, że czasami w polityce decydują kontakty osobiste. W 1893 roku miał on okazję poznać Ignacego Paderewskiego, który w tym czasie odbywał swoje drugie amerykańskie tournée. Wtedy jako student Uniwersytetu Stanforda zgłosił się do niego z kolegą, proponując organizację dodatkowego koncertu w San Jose. Zaoferowali pokrycie wszystkich kosztów i honorarium w wysokości 2000 dolarów (około 57 000 dzisiejszych). Mieli nadzieję na znaczny dochód, który umożliwiłby im kontynuowanie studiów. Niestety, przedsięwzięcie zakończyło się klęską. Brak odpowiedniej reklamy i niewłaściwy termin, tuż przed Wielkanocą, zadecydowały, że przychód wyniósł zaledwie około 1000 dolarów. Zrozpaczeni młodzieńcy zaproponowali Paderewskiemu odpracowanie deficytu w ciągu najbliższych kilku lat. Pianista znalazł jednak kompromisowe rozwiązanie. Studenci mieli pokryć wszystkie koszty, a z pozostałych pieniędzy zatrzymać dla siebie 20% (sam zadowolili się resztą – drobną, symboliczną kwotą). Paderewski zapewne nie przypuszczał, że w ten sposób zapewnił poparcie wpływowego polityka dla Polski. Przy okazji warto też zauważyć, że przekazana naszemu krajowi pomoc humanitarna spowodowała, że można było więcej środków przeznaczyć na cele militarne i wojnę z bolszewikami.

Czy Polacy znali rosyjski plan zdobycia Warszawy?

Michaił Tuchaczewski dowodzący Armią Czerwoną atakującą Warszawę, zamierzał powtórzyć strategię Iwana Paskiewicza z 1831 roku: przedefiniować na północ od polskiej stolicy, sforsować Wisłę w okolicach Torunia i zaatakować Warszawę od tyłu. Polacy zamierzali odpowiedzieć na to uderzeniem z południa, które odciąłoby Rosjan od ich zaplecza.

Bitwa warszawska potoczyła się zupełnie inaczej, niż zaplanowali to wodzowie obu armii. Może to nawet wyglądać na paradoks. Słynąca z dyscypliny i ślepego wykonywania rozkazów Armia Czerwona – dyscypliny pilnowali przecież komunistyczni komisarze – szła w rzeczywistości tam, gdzie było jej wygodnie, a nie tam, gdzie chcieli jej dowódcy. Mające bardzo sprawny wywiad Wojsko Polskie – nie tylko agenturalny i lotniczy, ale również radiowy – nie wiedziało, gdzie znajdują się rosyjskie armie. A właściwie wiedziało, ale tylko teoretycznie, zaplanowało więc swoje działania zgodnie z tą wiedzą. Niestety, praktyka okazała się daleka od teorii.

Struktura dowodzenia Armią Czerwoną atakującą Polskę wydawała się logiczna i przemyślana. W Moskwie wódz

naczelnym Siergiej Kamieniew dowodził dwoma frontami idącymi na zachód: Zachodnim i Południowo-Zachodnim. Główna rola przypadła Frontowi Zachodniemu, dowodzonemu przez Michaiła Tuchaczewskiego, który pod swoją komendą miał cztery armie i korpus kawalerii. I jeszcze Grupę Mozyrską. I całe mnóstwo formacji zapasowych oraz tyłowych. Liczba podwładnych okazała się zbyt duża, szczególnie że Michaił Tuchaczewski dowodził z bardzo dużego dystansu. Przez większą część lata nie opuszczał Mińska Litewskiego, odległego od Wisły o 500–600 kilometrów. Jego kontrola nad podległymi wojskami była minimalna.

Rosyjska ofensywa ruszyła 4 lipca 1920 roku. Polskie pozycje nad rzeczką Autą zostały opanowane po ciężkiej walce. Armia Czerwona zastosowała wobec Polaków taktykę fałd ludzkich: ciągłego atakowania pozycji obronnych masami piechoty, bez oglądania się na ofiary. Gdy pierwsze tyraliery czerwonoarmistów padały pod ogniem polskich armat i karabinów maszynowych, na ich miejscu pojawiały się kolejne. Pierwszy dzień walk nie przyniósł rozstrzygnięcia. Drugiego dnia polskie dowództwo uznało, że pozostawanie na pozycjach oznacza zagładę, i zdecydowało się na odwrót, by kolejną bitwę stoczyć w bardziej sprzyjających warunkach.

1. Armia Wojska Polskiego rozpoczęła odwrót, a za nią poszły pozostałe wojska polskiego Frontu Północno-Wschodniego. Było to jednak – jak to później określił Józef Piłsudski – półzwycięstwo Armii Czerwonej: Rosjanie byli w stanie zmusić Polaków do odwrotu, nie byli jednak w stanie ich okrążyć i zniszczyć. Nie byli w stanie dokonać tego, nawet dysponując III Korpusem Kawalerii Gaj-Chana. Jazda rosyjska obchodziła polskie pozycje obronne – z reguły od północy – a polscy generałowie, nie chcąc zostać okrążeni, cofali się na kolejną linię. Jazda Gaj-Chana unikała jednak walk

przeciwko oddziałom wojskowym i zajmowała się rabunkiem oraz gwałtami, polska piechota unikała więc okrażenia.

Rosyjskie uderzenie ruszyło 4 lipca: już 14 lipca padło Wilno (wraz z pozycją tzw. starych okopów niemieckich z I wojny światowej), a 19 lipca – Grodno (wraz z pozycją tzw. linii Niemna). Kolejną barierą była linia Bugu. Większość walk związanych z pokonaniem rzeki Bug stoczono nad... zupełnie inną rzeką: nad Narwią.

Już w lipcu ujawniła się tendencja do zakręcania Armii Czerwonej na północ. Przyczyny były dwojakie: militarne i polityczne. Na północnym skrzydle działała czerwona jazda Gaj-Chana i Rosjanom łatwiej było odnosić sukcesy wojskowe. Znajdowały się tam również ważne cele polityczne, przede wszystkim Wilno, które Rosjanie mogli przehandlować Republice Żmudzkiej. Tak jak Armia Czerwona zakręcała ku północy, tak Wojsko Polskie dążyło na południe: odwrót w tę stronę był bezpieczniejszy, ponieważ nie było tam rosyjskiej jazdy. Co istotne, północny dryf Armii Czerwonej był akceptowany przez wyższe dowództwo, a południowy dryf Wojska Polskiego wynikał z inicjatywy – czy raczej samowoli – dowódców polowych.

W sierpniu sytuacja nieco się zmieniła. Tendencja Rosjan do zakręcania na północ nie zmaląła, ale wynikało to już przede wszystkim z pobudek militarnych. Nie było tam istotnych celów politycznych, ale znajdowała się granica Prus Wschodnich. Północne skrzydło Armii Czerwonej było zabezpieczone przed polskim uderzeniem i chociaż wyższe dowództwo wielokrotnie rozkazywało uderzyć na południe, to dowódcy polowi czynili to niezbyt chętnie. Z kolei formacje Wojska Polskiego uregulowały swój odwrót – wszystkie drogi na Mazowszu prowadzą do Warszawy i tam prowadziły również rozkazy dowódców, a także dynamika walki.

Pod koniec lipca Michaił Tuchaczewski postanowił wykorzystać swoje położenie i uderzyć na południe, tak żeby odciąć odwrót Polakom. Do walki ruszył nawet III Korpus Konny Gaj-Chana i osiągnął – pomimo olbrzymich strat – zaskakujący sukces: 1 sierpnia zdobył przeprawę przez Narew pod Nowogrodem. I w tym momencie skończył się rosyjski marsz na południe, w stronę Bugu, płynącego około 60 kilometrów na południe. Po sforsowaniu Narwi Rosjanie natknęli się na 10. Dywizję Piechoty generała Lucjana Żeligowskiego, wokół której zgromadziły się mniejsze formacje. Jego wojska stanęły zbrojnym obozem w okolicach Zambrowa i przez kilka dni skutecznie odpierały ataki. Idący z północy, Rosjanie nie mogli poradzić sobie ze złamaniem oporu wojsk generała Żeligowskiego, do walki skierowano więc formacje Armii Czerwonej z południa. W ten sposób nie tylko powstrzymano marsz Rosjan na zachód – pokonanie 20 kilometrów dzielących Nowogród od Ostrołęki zajęło im aż siedem dni – ale zawrócono ich z drogi na południe.

Sukces w bitwie nad Bugiem uzyskali ostatecznie Rosjanie, ale nie dlatego, że pokonali tam Polaków, tylko dlatego, że Polacy otrzymali rozkaz odwrotu (okoliczności jego wydania przedstawimy w kolejnych rozdziałach). Odwrót został przeprowadzony bardzo szybko, zerwano kontakt z Rosjanami, a ich armie zostały tam, gdzie prowadziły swoje ostatnie boje. Oznaczało to, że 8 sierpnia trzy z czterech armii Michaiła Tuchaczewskiego znajdowały się nad Narwią, a tylko jednej udało się sforsować Bug.

Rankiem 8 sierpnia 1920 roku Michaił Tuchaczewski wydał ostatnie rozkazy przygotowujące jego wojska do zdobycia Warszawy. Napisał je, siedząc w dalekim Mińsku Litewskim i orientując się w położeniu własnych wojsk tylko na podstawie meldunków sytuacyjnych. Meldunki te – z reguły

spóźnione i zawsze niesprawdzone – wskazywały teoretyczne pozycje rosyjskich armii. I to właśnie na ich podstawie powstał teoretyczny plan bitwy. Plan całkowicie pozbawiony polotu i sztamowy: bitwę taką mógłby zaplanować zainteresowany wojskiem uczeń szkoły podstawowej na kółku historycznym.

W zajęciu Warszawy miały uczestniczyć wszystkie związki Frontu Zachodniego. Na skrajnych skrzydłach operować miały dwie słabe, ale ruchliwe formacje: III Korpus Konny na północy i Grupa Mozyrska na południu. Nie spodziewano się tam zresztą większego oporu: północna flanka był zabezpieczona przez Niemców, a południowa – przez oczekiwane zwycięstwa Armii Konnej Siemiona Budionnego. Warszawę miały wziąć pozostałe cztery armie: dwie powinny wejść do polskiej stolicy od frontu, a dwie pozostałe – oskrzydlić ją od północy i od południa.

Polacy dość szybko poznali założenia rosyjskich planów – przechwytywali bowiem i rozkodowywali rosyjską łączność radiową. Zaplanowali więc korespondujący z nimi plan bitwy obronnej. Daleką północną flanką nie zamierzali przejmować się wcale: jazda rosyjska była niegroźna. Uderzenia oskrzydlające Warszawę od północy i południa zamierzali sparować przez armie ustawione za linią rzeki Wkry oraz za linią środkowej Wisły. Stolica miała obronić się, wykorzystując zgromadzenie ciężkiej artylerii, a rosyjskie armie zamierzano rozstrzelać tuż przy rogatkach miejskich. W momencie, w którym wszystkie rosyjskie armie zostałyby związane bojem, od południa – znad Wieprza – miała wyjść polska ofensywa, wychodząc na tyły Rosjan, łącząc się z uderzeniem przeprowadzonym znad Wkry i zamykając wszystkie armie Michaiła Tuchaczewskiego w wielkim kotle. To również nie był jakiś subtelny i skomplikowany plan, z czego zresztą zdawali sobie sprawę jego autorzy.

Bitwa warszawska potoczyła się jednak w zupełnie nieprzewidziany sposób. Michaił Tuchaczewski w dalekim Mińsku Litewskim prowadził korespondencyjną walkę z cieniem, a jego armie na Mazowszu prowadziły realne boje. Ich ekscentryczne położenie – ekscentryczne geometrycznie w stosunku do Warszawy – uniemożliwiało wykonanie nierealnych planów dowódcy Frontu. Główne uderzenie musiało pójść na północ od polskiej stolicy. Atakowały tam trzy armie. Czwarta próbowała jednocześnie szturmować Warszawę i obchodzić ją od południa.

W polskim Naczelnym Dowództwie doskonale orientowano się w planach Michaiła Tuchaczewskiego. Bardzo niewiele wiedzano natomiast o faktycznych posunięciach Rosjan. Pogoda była fatalna i uniemożliwiała skuteczne rozpoznanie lotnicze. Udawało się realizować poszczególne loty, ale nie dawały one całościowego obrazu sytuacji. Potwierdzały jedynie obecność Rosjan w miejscach, w których powinni oni się znajdować według woli Michaiła Tuchaczewskiego, nie przynosiły jednak odpowiedzi o ich sile. Bardzo długo w Warszawie oceniano sytuację tak jak w Mińsku Litewskim – czyli błędnie. Częstkowe informacje zdobywane przez wywiad agenturalny i lotniczy przekładały się na częstkowe decyzje: zadania dla 5. Armii zmieniano siedmiokrotnie pomiędzy 6 a 14 sierpnia.

Stojąca nad Wkrą i broniąca Warszawy od północy 5. Armia Wojska Polskiego – dowodzona przez generała Władysława Sikorskiego – miała walczyć z jedną tylko armią rosyjską. Uderzyły jednak na nią aż trzy. 5. Armia – zamiast z łatwością utrzymać swoje pozycje i płynnie przejść do kontrofensywy – musiała walczyć o przetrwanie. Generał Sikorski zaczął wysyłać alarmujące meldunki, a jego panika udzieliła się przełożonym: jeśli jedna armia rosyjska okazuje

się tak trudnym przeciwnikiem, to co się stanie, gdy do akcji wejdą pozostałe trzy? Spokój zachował jedynie marszałek Piłsudski, ale głównie dlatego, że w tym czasie uwagę poświęcał innym sprawom.

Kolejnym szokiem była aktywność Rosjan nad dolną Wiśłą: podeszli oni pod Toruń, zaatakowali Włocławek i Płock. Naczelne Dowództwo WP wiedziało przecież, że do zadań tych został skierowany tylko Korpus Konny, początkowo więc lekceważyło meldunki lokalnych dowódców, a potem zaniepokoilo się siłą jazdy Gaj-Chana.

Nieco inny przebieg miały walki na przedpolu Warszawy, gdzie 1. Armia Wojska Polskiego dowodził generał Franciszek Latinik. Nie dowodził jednak samodzielnie, ponieważ zainteresowanie walką przedstawiał jego bezpośredni przełożony, dowódca Frontu Północnego, generał Józef Haller. Przebiegiem bitwy był zainteresowany również jego przełożony – Szef Sztabu Naczelnego Wodza – generał Tadeusz Rozwadowski, a także generał Maxim Weygand, będący swego rodzaju superprzełożonym wszystkich sojuszników Francji.

Generał Latinik postanowił samodzielnie wygrać wojnę i powstrzymać Rosjan wszystkimi dywizjami, którymi dysponował na przedpolu Warszawy. Zamiast wycofać się z przedpola i rozbić Rosjan ogniem ciężkiej artylerii, postanowił bronić Radzyna i Wołomina. Zupełnie niepotrzebne walki o Radzyna i Wołomin – a właściwie Ossów – stały się symbolem bitwy warszawskiej. (Symbolem, który przybliżymy).

Sytuacja wojenna – ale nie pod Warszawą, tylko nad Wkrą – doprowadziła do przyspieszenia polskiego uderzenia znanego z Wieprza, które ruszyło już 16 sierpnia. Brały w nim udział 3. Armia oraz 4. Armia. Mogłoby ono być dużo skuteczniejsze, ale 2. Armia Wojska Polskiego – czekając na spodziewane rosyjskie uderzenie przez środkową

Wisłę – pozostawała bezczynna. Do uderzenia tego oczywiście nie doszło. (Dopełniając tę wojskową algebrę, dodajmy, że 6. Armia Wojska Polskiego walczyła w tym czasie w okolicach Lwowa, a dowództwo 7. Armii zostało rozwiązane).

Oczywiście Rosjan nie udało się otoczyć pod Warszawą, większość z nich znajdowała się bowiem w zupełnie innym miejscu. Trudno ocenić, kiedy Polacy zorientowali się w rzeczywistej sytuacji, najprawdopodobniej już 17 sierpnia. Michaił Tuchaczewski został przywołany do rzeczywistości 18 sierpnia. Wydał wówczas rozkaz odwrotu, w ogóle nie orientując się, jak doszło do porażki i dlaczego jego wojska walczą o Ciechanów, a nie o Warszawę.

Fakt, że plany bitwy i ich realizacja były od siebie tak odległe, sprawia, że należy wyeliminować Michaiła Tuchaczewskiego spośród dowódców odpowiedzialnych za rosyjską klęskę pod Warszawą. Jak może być odpowiedzialny za cokolwiek człowiek, który przez dziesięć dni bujał w obłokach, wysyłał do swoich podwładnych nierealne rozkazy, które były przez nich powszechnie lekceważone? Michaił Tuchaczewski nie miał żadnego wpływu na bitwę warszawską, jeśli już, to przypadkowy, gdyż jego korespondencja radiowa doskonale wprowadziła Polaków w błąd.

Odczytywanie rosyjskich kodów przez Polaków było przez bardzo długi czas skrzętnie utrzymywaną tajemnicą. Jan Kowalewski – naczelnik Wydziału II Radiowywiadu Biura Szyfrów Oddziału II Sztabu Generalnego Naczelnego Dowództwa – był postacią nieznaną. Nie tylko jego dokonania, ale nawet istnienie negowano w polskiej literaturze jeszcze w latach 90. XX wieku! Miało to ogromny wpływ na ocenę bitwy warszawskiej. Żaden z polskich dowódców nie mógł nawet zasugerować, że odczytywano korespondencję przeciwnika i na jej podstawie oceniano zagrożenie. Z tej perspektywy

wiele pozornie błędnych decyzji nie było błędami, a pozornie słusznych – było niedopuszczalnych.

Generał Sikorski nie był rzeźnikiem wysyłającym swoich żołnierzy do ataku na trzykrotnie silniejszego przeciwnika – wszystko wskazywało na to, że przeciwnik jest od niego słabszy. Rzeźnikiem był natomiast generał Latinik upierający się na utrzymaniu Radzimina i Ossowa. Dlatego jeden został na stanowisku dowódcy armii, a drugi został z niego zdjęty. Artyleria ciężka skoncentrowana w Warszawie nie była „zbrodniczo beczynna”: nie zaangażowano jej w rozpoznawcze potyczki w Radzyminie i Ossowie, czekała bowiem na uderzenie głównych sił.

Jednym ze sposobów wyjaśnienia wątpliwości, było stworzenie fałszywej legendy o tym, że Michał Tuchaczewski zamierzał powtórzyć manewr Iwana Paskiewicza z roku 1831. Nie miało to nic wspólnego z prawdą, choć faktycznie dało się znaleźć dyrektywy i rozkazy mówiące o sforsowaniu Wisły i przerwaniu komunikacji między centralną Polską a Gdańskiem. Nad tym, że brak dostępu do Gdańska nie miałby żadnego znaczenia, gdyby Rosjanie zajęli Warszawę, mało kto się zastanawia.

Mało kto również zastanawia się nad głębszą oceną polskich dowódców i ich decyzji. A także dowódców rosyjskich, którzy w sierpniu 1920 roku popisali się skrajną nieodpowiedzialnością, brakiem dyscypliny, nieumiejętnością wykonywania, a przede wszystkim wydawania rozkazów.

Generał Józef Haller – wódz Armii Ochotniczej – najlepszym generałem wojny?

Dużo lepszym kandydatem od Józefa Piłsudskiego na Wodza Naczelnego Wojska Polskiego był generał broni Józef Haller. Generał Haller poznał rzemiosło wojskowe w najlepszej austriackiej szkole wojskowej, ochotniczo wstąpił do Legionów, gdzie został dowódcą II Brygady, przedarł się przez austriacki front pod Rarańczą, dowodził II Korpusem Polskim w bitwie pod Kaniowem, po której dostał się do Francji, gdzie powierzono mu dowodzenie Błękitną Armią. Na jej czele przybył do kraju, w którym również dowodził wielkimi operacjami, między innymi wyzwaniem Pomorza i zaślubinami Polski z morzem. Latem 1920 roku powierzono mu jedynie dowodzenie Armią Ochotniczą, ale to właśnie ona miała decydujący wpływ na pokonanie Rosjan.

Józef Haller był prawdziwym kolekcjonerem tytułów i stanowisk, wymienimy więc tylko te związane z wojną polsko-rosyjską. Jako generał broni Wojska Polskiego piastował stanowisko przewodniczącego Obywatelskiego Komitetu

Wykonawczego Obrony Państwa w 1920 roku, dowódcy Frontu Północnego oraz Generalnego Inspektora Armii Ochotniczej w 1920 roku. Nie były to funkcje najwyższe, Józef Haller był w przeszłości komendantem Legionów Polskich – a więc zwierzchnikiem Józefa Piłsudskiego – a nawet „Naczelnym Dowódcą wszystkich Wojsk Polskich” (z nadania Komitetu Narodowego Polskiego). Jego kariera nie skończyła się wraz z wojną: przyjdzie mu być prezesem Rady Naczelnej Stronnictwa Pracy czy ministrem bez teki w rządzie Władysława Sikorskiego. Zmarł w sędziwym wieku 87 lat w 1960 roku w Londynie jako kawaler Orderu Orła Białego i Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Rzeczywistość nie wyglądała jednak tak różowo, jak mogłoby się wydawać z powyższych słów. Józef Haller wywodził się z arystokratycznej rodziny o patriotycznych tradycjach. W 1895 roku – po ukończeniu Wydziału Artylerii wiedeńskiej Akademii Technicznej – został austriackim oficerem zawodowym. Kariera wojskowa nie układała mu się najlepiej: przeszedł na emeryturę w niejasnych okolicznościach, w wieku niespełna 40 lat, w stopniu kapitana (w tamtych latach uważano, że aby cieszyć się szacunkiem sąsiadów, należy opuścić wojsko jako major). Najwyższym odznaczeniem, które uzyskał w służbie, był brązowy Medal Zasługi – jedenasty w precedencji odznaczeń austro-węgierskich.

W kolejnych latach miał szczęście znajdować się we właściwym czasie we właściwym miejscu, z reguły będąc przy tym jedynym zdolnym – lub chętnym – do objęcia stanowiska. W 1914 roku był jedynym austriackim oficerem rezerwy, który zgodził się przyjąć dowództwo 3. Pułku Legionów Polskich, który szybko został rozbudowany do rozmiarów II Brygady, co uczyniło Józefa Hallera brygadierem. Zdarzało mu się nawet pełnić obowiązki komendanta Legionów

Polskich – wiosną 1915 roku i jesienią 1916 – już jednak po kilku dniach był zastępowany kimś innym.

Latem 1917 roku, gdy kryzys przysięgowy doprowadził do rozłamu w Legionach, był najwyższym stopniem oficerem legionowym, który zgodził się złożyć przysięgę na wierność cesarzowi niemieckiemu Wilhelmowi II, zachował więc dowodzenie nad II Brygadą, której większość żołnierzy również złożyła przysięgę. Gdy jednak Austriacy w początkach 1918 roku podpisali traktat brzeski, oddający Chełmszczyznę Ukrainie, II Brygada postanowiła wypowiedzieć posłuszeństwo i przejść na stronę państw Ententy. W wydarzeniach tych, znanych jako przerwanie frontu pod Rarańczą, brygadier Haller brał udział, ale raczej jako bierny – choć życzliwy – obserwator.

Po przerwaniu frontu II Brygada połączyła się ze stacjonującym na Ukrainie II Korpusem Polskim – formacją grupującą żołnierzy-Polaków z dawnej armii carskiej. Generałowie dowodzący II Korpusem chcieli jak najszybciej zakończyć wojnę i wracać do domu. Patriotycznie nastawieni młodszy oficerowie przeprowadzili więc zamach stanu. Na stanowisku dowódcy II Korpusu obsadzili Józefa Hallera. Jako że korpusem powinien dowodzić generał – mianowali go również generałem. II Korpus został jednak otoczony przez Niemców i 11 maja 1918 roku – po krótkiej walce znanej jako bitwa pod Kaniowem – rozproszony. Józef Haller zdołał uniknąć niewoli i okrężną, niebezpieczną drogą przez Moskwę oraz Murmańsk udał się do Francji.

Pojawił się tam w lipcu, w czasie gdy organizowana przez Komitet Narodowy Polski Armia Polska zaczynała przybierać coraz poważniejsze kształty. Na jej czele postanowiono postawić Józefa Hallera. Oprócz tego, że był jedynym wówczas polskim generałem – na formalności nie zwracano

uwagi – przysłała za nim legenda oficera zawodowego, legionisty, bohatera spod Rarańczy i Kaniowa. Został nawet „Naczelnym Dowódcą wszystkich Wojsk Polskich”, choć te „wszystkie Wojska Polskie” składały się z jednej faktycznie zorganizowanej „Błękitnej” Dywizji.

Błękitna Armia – czy też „Armia Hallera” wróciła do Polski wiosną 1919 roku, mając w swoich szeregach 68 000 ludzi. W kraju doceniono jego legendę dowódcy, popularność wśród społeczeństwa oraz polityczne powiązania z Romanem Dmowskim. Został mianowanym generałem broni, z pierwszą lokatą wśród generałów: formalnie jedynie Marszałek Polski był od niego starszy stopniem. W kręgach wojskowych znano jednak jego zdolności militarne – a raczej ich brak – powierzano mu zatem stanowiska o nazwach ładnie brzmiących, ale bez większego znaczenia. W 1919 roku dowodził Frontem Południowo-Zachodnim, stojącym nad granicą ze Śląskiem obsadzonym przez wojska Ententy i czekającym na plebiscyt. W 1920 roku dowodził Frontem Pomorskim – wojskami, których zadaniem było obsadzenie opuszczonego przez Niemców Pomorza. Tutaj zdobył jeszcze większą sławę, będąc 10 lutego 1920 roku główną postacią symbolicznych zaślubin Polski z morzem.

Generał broni Józef Haller powszechnie uchodził za bohatera legionów, korpusów wschodnich, Błękitnej Armii i wyzwoliciela Pomorza. Stronnicy Romana Dmowskiego – ale nie sam „Pan Roman” – widzieli w nim osobę, która może konkurować z Józefem Piłsudskim o stanowisko Naczelnego Wodza. Kariera Józefa Hallera toczyła się bardzo szczęśliwie, ale w praktyce nie dowodził większym związkiem niż brygada.

Aż do lata 1920 roku Rzeczpospolita – pomimo toczonych wojen – zapewniała swoim obywatelom spokojne życie. Służbę na froncie pełnili żołnierze, ale większość dorosłych

pracowała, a młodzież uczyła się. Ochotnicy do Wojska Polskiego oczywiście zgłaszali się – w pierwszych miesiącach było one oparte niemal wyłącznie na nich – ale starano się, żeby nie byli nimi mężczyźni potrzebni w szkołach czy w przemyśle.

W połowie 1920 roku sytuacja znacznie się pogorszyła. Trzeciego lipca 1920 Rada Obrony Państwa wydała odezwę pt. „Obywatele Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie!”, a 8 lipca 1920 Minister Spraw Wojskowych generał Kazimierz Sosnkowski mianował na stanowisko Generalnego Inspektora Armii Ochotniczej Józefa Hallera. Nic dziwnego: opinia publiczna dopominała się odpowiedniego stanowiska dla tak znakomitego generała. Zadowoleni byli również generałowie, na swoim nowym stanowisku generał broni Józef Haller nikomu nie mógł zagrozić: Armia Ochotnicza bowiem... nie istniała. A przynajmniej nie była tym, co zwyczajowo rozumie się pod pojęciem „armia”.

Armia Ochotnicza nigdy nie była samodzielnym związkiem operacyjnym, choć tak traktowała ją opinia publiczna. Przeprowadzenie zaciągu ochotników było raczej akcją propagandową, mającą zjednoczyć Polaków wokół wspólnej sprawy obrony kraju i zapewnić ich sympatię dla Wojska Polskiego. Pozytywne emocje budził fakt, że nie była to armia regularna, z przymusowego poboru, ale formacja ludowa, tworzona przez zwykłych ludzi: ojców, mężów, braci.

Postawienie na jej czele powszechnie szanowanego generała Józefa Hallera dało doskonałe rezultaty. Masowo zgłaszali się ochotnicy, napływały datki – najczęściej kierowane do „wodza Armii Ochotniczej, jenerała Hallera”. Ofiarność społeczna była ogromna. Bogaci przekazywali hojne wsparcie, biedniejsi robili składki i przekazywali pieniądze w imieniu fabryki, miasteczka czy organizacji społecznej, a nawet ci,

k którzy nie mieli pieniędzy – warto pamiętać, że na wsi pieniądza nie był powszechny i gospodarka w dużej mierze była bezgotówkowa – oferowali robociznę czy zboże z przyszłych zbiorów. Wszystko to nagłaśniała prasa, dobrymi przykładami zachęcając innych do wysiłku.

Ochotnikami mogli być obywatele polscy w wieku od lat 17 do 42, a jeśli mieli stopnie oficerskie – do lat 50. Ci, którzy nie byli pełnoletni, musieli mieć pisemne pozwolenie rodziców. W szeregi piechoty przyjmowano wszystkich, do kawalerii zaś jedynie tych, którzy przyprowadzili własne konie wraz z oporządzeniem. Przez trzy miesiące – do końca września 1920 – do Wojska Polskiego wstąpiło 105 714 ochotników, większość do piechoty i formacji wartowniczych (odpowiednio 52 690 i 11 285 ludzi). Wzmocniono również artylerię i wojska techniczne (12 495 i 9446), a także formacje tyłowe: tabory i kancelarie (6683 i 3659). Kawalerię zasililo 9456 ochotników wraz z końmi. Z ochotników nie tworzone samodzielnych formacji liniowych, większość trafiła do istniejących – ale poturbowanych w czasie walk i odwrotów – jednostek. Były oczywiście wyjątki.

Spośród pięćdziesięciu pięciu ochotniczych pułków piechoty tylko ośmiu użyto w samodzielnych walkach, a i to w sytuacjach alarmowych. Ochotnicy walczyli samodzielnie z reguły wówczas, gdy nadchodzący wróg nie pozwalał na wycofanie formowanego pułku na tyły. Nawet Dywizja Ochotnicza była nią tylko z nazwy: kadre stanowili weterani Brygady Syberyjskiej i Brygady Rezerwowej, ale zachowano „ochotnicze” nazwy pułków.

Nieco inne były losy kawalerii ochotniczej. Sformowano czternaście pułków – noszących numery od 201 do 214. Od dawna istniały jednak ochotnicze formacje kawalerii, o pochodzeniu kresowo-partyzanckim, swoim charakterem

przypominające wolontariuszy Andrzeja Kmicica. Nowo formowane pułki ochotnicze tę sienkiewiczowską tradycję przeważnie zaakceptowały, większość z nich zachowała samodzielność, a już po zawieszeniu broni stały się pułkami regularnymi. Podobny charakter miała Konna Bateria Krakusów, jedyna zwarta ochotnicza formacja artylerii.

Pierwszego sierpnia 1920 roku generałowi Józefowi Hallerowi powierzono wreszcie dowództwo polowe – Front Północny. Dowodził nim tylko przez trzy tygodnie sierpnia: w pierwszym fatalnie kierował odwrotem, w drugim nieumiejętnie dowodził obroną, a w trzecim nie potrafił skoordynować pościgu za rozbitym wrogiem.

Wbrew pozorom zadanie miał dość proste. Front Północny składał się właściwie tylko z 1. Armii Wojska Polskiego idącej w stronę Warszawy. Armia ta przeżywała w tym czasie kryzys dowodzenia: dowódcy zmieniali się jak w kalejdoskopie, a sztab nie orientował się zbyt dobrze w położeniu wojsk na pierwszej linii. Dowódca Frontu nie uczynił wiele, aby sytuację poprawić, wojska zdołały jednak dotrzeć do Warszawy, przede wszystkim dzięki inicjatywie dowódców niższego szczebla.

Obrona Warszawy również nie była trudnym zadaniem, w mieście skoncentrowano ciężką artylerię, która była w stanie roznieść na strzępy rosyjską piechotę, gdy tylko ta znajdzie się w jej zasięgu. Niestety, generał Haller uparł się toczyć zmagania o miasteczka znajdujące się poza zasięgiem artylerii stojącej w stolicy, nie przyszło mu też do głowy, aby swoje działa przesunąć bardziej do przodu. Nieumiejętne wykorzystanie artylerii – a właściwie brak jej wykorzystania – jest największym zastrzeżeniem dotyczącym dowodzenia wojskami polskimi w bitwie warszawskiej.

Paradoksalnie to właśnie pościg za uchodzącymi wojskami rosyjskimi był najtrudniejszym zadaniem, z jakim musiał

się zmierzyć generał Haller. Wymagało bowiem szybkiej oceny sytuacji, umiejętności improwizacji, a przynajmniej – wykonywania rozkazów swoich przełożonych i pilnowania, aby rozkazy te wykonywali także podwładni. Nie można Józefowi Hallerowi czynić zarzutów z tego powodu, że nie myślał samodzielnie – ta umiejętność nie jest konieczna do bycia generałem (pozwala odróżnić jednak wybitnych generałów od pozostałych). Natomiast nie umiał ani wykonywać, ani wydawać rozkazów. Pozwolił dowodzącemu 1. Armią Franciszkowi Latinikowi działać wbrew rozkazom Wodza Naczelnego, dzięki czemu Rosjanie zdołali uniknąć okrążenia. Obaj polscy generałowie zapłacili za to stanowiskami, z tym że w przypadku generała Hallera zachowano się elegancko: nie został zdjęty ze stanowiska – jak generał Latinik – tylko zlikwidowano stanowisko dowódcy Frontu.

Podobno Piłsudski i Dmowski zgadzali się ze sobą tylko w jednym: w bardzo niskiej – ujmując sprawę delikatnie – ocenie zdolności Józefa Hallera.

Kto napisał rozkaz nr 10 000 i wygrał bitwę warszawską?

Tadeusz Rozwadowski był najzdolniejszym polskim generałem, prawdziwym organizatorem Wojska Polskiego, którego kariera została złamana przez Józefa Piłsudskiego. Nie doceniono jego roli w obronie Lwowa, zesłano na podrzędną placówkę dyplomatyczną. Zdołał jednak wrócić z niej tuż przed bitwą warszawską, dzięki czemu okazał się zbawcą Ojczyzny. To on przygotował plany zwycięskiej bitwy warszawskiej, czego dowodem jest niedawno odkryty rozkaz nr 10 000. Po zakończeniu wojny wciąż był sekowany przez piłsudczyków, którzy bezpodstawnie zamknęli go w więzieniu, a następnie otruli.

Chociaż rzekome prześladowania generała Tadeusza Rozwadowskiego w latach 20. XX wieku są częścią jego mitu „prawdziwego zwycięzcy spod Warszawy”, nie będziemy się nimi zajmować. Wspomnimy tylko, że zamach majowy 1926 roku jest bardzo skomplikowany z perspektywy konstytucyjnej: Józef Piłsudski nie miał prawa użyć wojska do rozwiązywania sytuacji politycznej, ale nie miał do tego prawa

również premier Wincenty Witos ani prezydent Stanisław Wojciechowski. Generał Rozwadowski – obejmując stanowisko „naczelnego dowódcy wojsk rządowych” – złamał prawo i słusznie znalazł się w areszcie. Gdyby to on wygrał w maju 1926 roku – a dowodził wówczas fatalnie – w areszcie znalazłby się na pewno Józef Piłsudski. Sprawa ta nie ma jednak żadnego związku z wojną 1920 roku. Na śmierć generała – umarł jesienią 1928 roku, w wieku 73 lat – być może miał wpływ roczny pobyt w areszcie, ale raczej nie zbrodnicze zamierzenia piłsudczyków. Szczególnie że metoda zabójstwa miała być bardzo egzotyczna: ponoć jego celę pomalowano farbą zawierającą arszenik.

Generał Tadeusz Jordan Rozwadowski pochodził z arystokratycznej rodziny z tradycjami patriotycznymi. Skończył najlepsze austriackie szkoły wojskowe, jego kariera również należała do najlepszych. Przez wiele lat był attaché wojskowym w Rumunii, a więc doskonale znał się na wywiadzie (i nieco na dyplomacji). Był również bardzo fachowym dowódcą brygady artylerii, zasłużonym w bitwie pod Gorlicami w 1915 roku, a później został dwugwiazdkowym generałem i dowódcą dywizji piechoty. Miał bez wątpienia najlepsze wykształcenie wojskowe spośród polskich generałów, zarówno teoretyczne, jak i praktyczne.

Z armii austriackiej został zwolniony w 1916 roku ze względu na politykę: zbyt – wedle austriackich zwierzchników – angażował się w sprawy polskie. Kolejne dwa lata spędził dość beczynnie, dopiero 28 października 1918 roku został mianowany przez Radę Regencyjną szefem Sztabu Generalnego powstającego Wojska Polskiego. Był nim do 15 listopada, gdy złożył rezygnację: uważał bowiem, że należy ogłosić pobór, a nie liczyć na zaciąg ochotniczy. Nie rozumiał, że pobór może ogłosić jedynie polski sejm, więc do wyborów należało opierać

się na ochotnikach. Podobne były przyczyny jego odejścia ze stanowiska dowódcy obrony Lwowa: nie rozumiał subtelności życia cywilnego i naraził się lokalnym politykom, przede wszystkim... narodowym.

Jego nowe stanowisko – Szefa Polskiej Misji Wojskowej we Francji – nie było bynajmniej synekurą. W gruncie rzeczy to on odpowiadał za współpracę wojskową Polski z całym niemal Zachodem, i to dzięki niemu Wojsko Polskie zostało uzbrojone, wyekwipowane, a przede wszystkim – ubrane. Doskonale nadawał się do takiej misji: nie tylko znał pół tuzina języków, lecz także nie mówił w nich żadnych głupot. Generał został wezwany do kraju w czerwcu 1920 roku, powierzono mu stanowisko Szefa Sztabu Wodza Naczelnego. Było to stanowisko poniżej jego ambicji – poprzednim Szefem Sztabu był pułkownik – liczył się jednak fakt, że jego nazwisko było doskonale znane we Francji, a Polsce zależało na jej poparciu.

Pierwsza wersja planu powstrzymania Frontu Zachodniego Michaiła Tuchaczewskiego narodziła się już w lipcu: rozkaz 7945/III wydano 27 lipca. Najprawdopodobniej akcja ta nazwana by została „bitwą nad Bugiem”, tam zamierzano bowiem zatrzymać Rosjan. Wówczas, z rejonu Brześcia nad Bugiem, południowe skrzydło wojsk Tuchaczewskiego zaatakowałaby grupa uderzeniowa, zorganizowana z wojsk, które walczyły z Armią Konną. Plan ten zaczęto realizować – Armia Konna została okrążona pomiędzy Beresteczkiem oraz Brodami przez wojska generała „Śmigłego” i była bliska zniszczenia – ale utrata Brześcia spowodowała zmianę planów. Na południu przerwano bitwę z Konarmią, a na północy rozkazano wycofać się z linii Bugu. Uderzenie na rosyjski Front Zachodni zamierzano przełożyć w czasie i przestrzeni.

Nowy plan opracował w teorii 4 sierpnia pułkownik Tadeusz Piskor – szef oddziału III (operacyjnego), czyli komórki odpowiedzialnej właśnie za przygotowywanie planów strategicznych. Jego „Ogólna instrukcja obronna” przedstawiała zamiysł stoczenia bitwy z wykorzystaniem Wisły i Wieprza. Tego samego dnia Józef Piłsudski przedyskutował z generałem „Śmigłym” – dowódcą Frontu Południowo-Wschodniego – praktyczną możliwość przerzucenia części sił z Małopolski na Mazowsze. Było to możliwe, a generał „Śmigły” zaczął od razu pomysł ten realizować.

W kolejnych dniach w Warszawie trwały dyskusje i pojawiły się kolejne plany bitwy: wynikało to z napływania danych wywiadowczych. Generał Weygand – najprawdopodobniej niedopuszczony do ściśle tajnej wiedzy o czytaniu rosyjskiej korespondencji przez Polaków – zaproponował rozwiązanie najskromniejsze, ale i najbezpieczniejsze: ograniczone uderzenie na armie rosyjskie idące na Warszawę. Miało ono wyjść z okolic Karczewa, miasteczka leżącego 20 kilometrów od centrum Warszawy. Generał Rozwadowski proponował uderzenie od północy, z Modlina, licząc na to, że armie Tuchaczewskiego zakręca w kierunku Warszawy i odsłonią swoją prawą flankę (co, jak wiemy, nie nastąpiło). Marszałek Piłsudski proponował uderzenie z południa na północ, wahając się, czy ma ono wyjść znad dalekiej rzeki Wieprz, czy znad bliższego Warszawie Świdra.

Szóstego sierpnia sformułowano rozkaz – nadano mu numer 8358/III – przygotowujący do bitwy warszawskiej. Zreorganizowano przy okazji strukturę dowodzenia Wojska Polskiego. Front Południowy dowodzony przez ciężko chorego generała Wacława Iwaszkiewicza – mający go zastąpić Józef Dowbór-Muśnicki odmówił objęcia tego odpowiedzialnego stanowiska – bronił Lwowa i Małopolski. Front Północny

dowodzony przez generała Józefa Hallera bronił Warszawy. Front Środkowy dowodzony przez generała Edwarda „Śmigłego” Rydza otrzymał najbardziej odpowiedzialne zadanie: miał uderzać znad rzeki Wieprz na północ, na tyły wojsk szturmujących Warszawę.

Rozkaz 8358/III spowodował ruchy polskich wojsk niemal na całym froncie wojny polsko-rosyjskiej. Ewakuowano Ostrołękę, a dywizje legionowe oderwały się od Armii Konnej. Inne formacje także zrywały kontakt z wrogiem i przerywały walkę. Odchodzono na tyły, by tam przyszykować się do przegrupowania. Preferowano transport kolejowy, nawet na niewielkie dystanse. Z transportu kolejowego opłacało się skorzystać, gdy dystans do przebycia był większy od dystansu pokonywanego na piechotę w ciągu jednego dnia, czyli około 30–40 kilometrów. Wymogi bezpieczeństwa sprawiały, że na liniach dwutorowych pociągi kursowały co pół godziny. Dlatego aby przetransportować jedną dywizję piechoty, potrzebowano około 50 pociągów, a jej załadowanie trwało całą dobę.

W kolejnych dniach polski plan bitwy ewoluował, głównie dlatego, że pozycja i zamierzenia rosyjskich armii idących na Warszawę przestawały być dla Polaków tajemnicą – a raczej dlatego, że Polakom wydawało się, iż przestają być tajemnicą. Wiedza pochodziła przede wszystkim z korespondencji radiowej, w której meldowane pozycje armii rosyjskich były zakłamywane, a rozkazy im wydawane – nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością. Stopniowo jednak zaczęto zdawać sobie sprawę, że należy wzmocnić północne skrzydło. Jak opisywał to później dowódca 5. Armii stojącej nad rzeką Wkrą: „Naczelnny Wódz natomiast zdecydował na konferencji z gen. Rozwadowskim i gen. Weygandem, odbytej 8 sierpnia, częściową zmianę poprzednich postanowień, zgadzając się na

utworzenie silniejszej grupy manewrowej w rejonie Modlina i Pułtuska”*. Dziewiątego sierpnia spisano, a następnego dnia wydano rozkaz nr 10 000, który uwzględniał te zmiany. Rozkaz ten został podpisany przez szefa Sztabu Generalnego generała Tadeusza Rozwadowskiego, a nie przez wodza naczelnego – marszałka Józefa Piłsudskiego.

Właśnie kwestia podpisów pod tym rozkazem sprawia, że przez wielu generał Rozwadowski jest uważany za autora planu bitwy warszawskiej. Zwolennicy tej teorii zdają się jednak nie orientować w samym procesie podejmowania takich decyzji. W praktyce wódz naczelny rzadko podpisywał wydawane w swoim imieniu rozkazy. (Za przykład może posłużyć opisywany wcześniej czerwcowy rozkaz nakazujący generałowi „Śmigłemu” opuszczenie Kijowa). Należy również zauważyć, że pod rozkazem nr 10 000 jednak widnieje podpis Józefa Piłsudskiego – na pierwszym miejscu wśród tych, którzy zostali o nim poinformowani. Kolejną kwestią, której wielu może być nieświadomych, jest to, że część rozkazów generał Rozwadowski podpisywał już po bitwie, mógł więc tak uczynić również z rozkazem nr 10 000. Była to zwyczajna praktyka. Nie wynikało to z braku kultury kancelaryjnej Szefa Sztabu Naczelnego Wodza, tylko ze sposobu pracy tej instytucji, podobnie jak wielu innych. Każdy, kto ma doświadczenie z zarządzaniem, zdaje sobie sprawę, że wiele decyzji podejmuje się podczas rozmowy, a dopiero później pojawia się formalna „podkładka”.

Pytanie, kto jest autorem zwycięstwa w bitwie warszawskiej, budzi do dziś wiele sporów. Łatwiej byłoby znaleźć winnego, gdyby Polacy ponieśli klęskę – byłby nim z pewnością

* W. Sikorski, *Nad Wisłą i Wkrą*, Lwów–Warszawa–Kraków 1928, s. 60.

wódz naczelny Józef Piłsudski. Na podobne pytanie: „Który z dowódców wygrał bitwę?” generał Joseph Joffre – dowodzący całością wojsk francuskich nad Marną w 1914 roku – odpowiedział: „Nie wiem, kto wygrał bitwę nad Marną. Lecz jeśli byłaby ona przegrana, wiem, kto byłby za to odpowiedzialny”. Ponieważ to dowódca zawsze ponosi odpowiedzialność. Zadaniem szefa sztabu jest spisanie i rozesłanie – zaakceptowanego przez dowódcę – rozkazu do bitwy. Z kolei szef oddziału operacyjnego odpowiada za sformułowanie planów, które dowódca ma zaakceptować, a szef sztabu spisać i rozesłać. Faktyczne napisanie rozkazu jest dziełem „szeregowego” pracownika sztabu – którym w przypadku bitwy warszawskiej był kapitan Bronisław Regulski – a jeszcze częściej zatrudnionej w sztabie maszynistki. Tak działał Sztab Naczelnego Wodza – każdy miał swoje przydzielone zadanie.

W 1925 roku pułkownik Marian Kukiel opublikował artykuł: „Pierwsza wytyczna operacji warszawskiej”. Był to jego obowiązek, zajmował bowiem stanowisko szefa Biura Historycznego polskiego Sztabu Generalnego. Popęłił jednak dwa istotne błędy. Pierwszym była ignorancja polityczna – deklarował to później sam pułkownik Kukiel – która sprawiła, że akademickie ustalenia zostały wykorzystane przez polityków. Drugim jego błędem była niewiedza dotycząca pracy polskiego wywiadu.

W swoim artykule pułkownik – a wkrótce generał – Kukiel stwierdził, że koncepcja prowadzenia wojny 1920 roku Józefa Piłsudskiego była zbieżna z koncepcją gen. Rozwadowskiego. Bardzo szybko konstatacja ta została zauważona przez środowiska życzliwe generałowi Rozwadowskiemu i nagłośniona. Właściwie lepiej byłoby napisać: zauważona i nagłośniona przez środowiska nieżyczliwe marszałkowi Piłsudskiemu. Obaj dowódcy doskonale znali prawdę, ale nie

mogli jej wyjaśnić: odczytywanie rosyjskiej komunikacji radiowej wciąż było najściślej strzeżoną tajemnicą polskiego wywiadu. Generał Rozwadowski nadal twierdził, że w bitwie warszawskiej dowodził marszałek Piłsudski, co wielu ówczesnych wzięło za dowód na najwyższą elegancję generała. Marszałek – jak zwykle – był mniej elegancki i publicznie dawał upust swojemu niezadowoleniu.

W 1928 roku Marian Kukiel wycofał się ze swoich stwierdzeń. Być może ujawniono przed nim tajemnice polskiego wywiadu, być może przekonały go nowe relacje i dokumenty, być może w zmienionej sytuacji politycznej – władzę stracili przeciwnicy marszałka Piłsudskiego – nie chciał narażać na szwank swojej kariery naukowej. (Był profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim, dyrektorem Muzeum Czartoryskich w Krakowie, należał do Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i Polskiej Akademii Umiejętności). Gdy po 1939 roku generał Władysław Sikorski – który też miał ambicję być „zwycięskim wodzem bitwy warszawskiej” – organizował rząd na uchodźstwie, generał Marian Kukiel został ministrem spraw wojskowych.

Po drugiej wojnie światowej Marian Kukiel nie wrócił do kraju, w którym z nadania Moskwy rządzili komuniści. Przez 45 lat istnienia „ludowej” Polski temat wojny 1920 roku po prostu nie istniał. Wrócono do niego dopiero po upadku PRL. A wówczas przypomniano sobie o przebrzmiałych sensacjach Mariana Kukieła. I w ten sposób mit narodził się powtórnie.

Co robił Józef Piłsudski w przededniu bitwy?

W związku z zaistniałą sytuacją [dymisja Piłsudskiego – S.K.] Wincenty Witos wypełniał funkcję premiera, Naczelnika Państwa oraz Naczelnego Wodza, ale dowództwo operacyjne powierzył gen. Tadeuszowi Rozwadowskiemu. Aby nie pogarszać i tak już trudnej sytuacji, Witos postanowił nie ujawniać złożonej na jego ręce dymisji, ani też jej nie przyjmować.*

Nie jest prawdą, jak zarzucali mu jego przeciwnicy, że marszałek kompletnie załamał się psychicznie przed bitwą warszawską i właściwie zdezerterował. Owszem, przeżywał kryzys, ale stanął na wysokości zadania. Natomiast można spotkać opinie, że Tuchaczewskiego pokonał generał Rozwadowski lub Weygand, a nawet premier Wincenty Witos, który miał zastępować Naczelnego Wodza.

Na wstępie warto uzgodnić faktyczny przebieg wypadków. Bez specjalnych emocji, zajadłych polemik czy podobnych

* P. Zgorzelski, *Gdzie się podziewał Piłsudski i jaką rolę miał do odegrania Wincenty Witos?* <https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/historia/1672034,1,bitwa-warszawska-gdzie-sie-podziewal-pilsudski-i-jaka-role-mial-do-odegrania-wincenty-witos.read>.

atrakcji. Bez wątpienia ofensywa Tuchaczewskiego, która przetaczała się przez tereny dzisiejszej Białorusi, wpłynęła negatywnie na odporność psychiczną Komendanta. Jeszcze kilka tygodni wcześniej po zajęciu Kijowa był wynoszony pod niebiosa przez wszystkie opcje polityczne, lecz gdy Wojsko Polskie cofało się przed bolszewikami, uznawano go za winnego wszystkich nieszczęść. Nieważne, że część porażek była spowodowana nieudolnym dowodzeniem, a na południu „Śmigły” cofał się we wzorowym porządku i odnosił poważne sukcesy. Liczyło się tylko, że Warszawa była zagrożona i krążyły widma ofensywy Paskiewicza z 1831 roku.

Piłsudski zdecydował się na kontratak, w pierwszych dniach sierpnia przebywał wraz ze swoją partnerką, Aleksandrą Szczerbińską i dziećmi w Aninie w zaprzyjaźnionym domu Bronisławy i Kazimierza Dłuskich. Prawdopodobnie tam podjął ostateczne decyzje, gdyż wyjechał 5 sierpnia, a dzień później wydał słynny rozkaz, który zadecydował o losach bitwy.

Bardziej zastanawiające są natomiast wydarzenia z 12 sierpnia, gdy marszałek spotkał się z premierem Wincentym Witosem, wicepremierem Ignacym Daszyńskim i ministrem spraw wewnętrznych, Leopoldem Skulskim. Piłsudski był właśnie po przeglądzie wojsk i sprawiał wrażenie mocno przybitego.

„W ciągu rozmowy – wspominał Witos – wyjął z kieszeni niezapieczętowany list i odczytał go głosem ogromnie niewyraźnym i zmienionym. Na czterech kartkach małego formatu mieściła się dość obszernie umotywowana jego dymisja ze stanowiska Naczelnika Państwa. W piśmie tym zaznaczał między innymi, że nie wiedząc, czy i kiedy będzie mu dane wrócić z placu boju, którego losy uważa za niepewne, mnie prosi i upoważnia do zastępowania go na jego urzędzie. Co

zaś do samej rzeczy i pisma, prosi o zachowanie bezwzględnej tajemnicy tak długo, jak tego będą wymagały stosunki, i ja sam uznaję za potrzebne”^{*}.

Warto się dłużej przyjrzeć pismu, które wręczył Piłsudski Witosowi. Dlatego Autorzy zdecydowali się je zacytować w całości, pomijając tylko tytułaturę i podpis. Pismo było datowane na 12 sierpnia.

„Przed swym wyjazdem na front, rozważywszy wszystkie okoliczności nasze wewnętrzne i zewnętrzne, przyszedłem do przekonania, że obowiązkiem moim wobec Ojczyzny jest zostawić w ręku Pana, Panie Prezydencie [tak tytułowano wówczas premiera – Prezydent Gabinetu Ministrów – S.K.], moją dymisję ze stanowiska Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Wojsk Polskich.

Powody i przyczyny, które mnie do tego kroku skłoniły, są następujące:

1. Już na jednym z posiedzeń ROP miałem zaszczyt wypowiedzieć jeden z najbardziej zasadniczych powodów. Sytuacja, w której Polska się znalazła, wymaga wzmocnienia poczucia odpowiedzialności, a przeciętna opinia słusznie żądać musi i coraz natarczywiej żądać będzie, aby ta odpowiedzialność nie była czczym frazesem tylko, lecz zupełnie realną rzeczą. Sądzę, że jestem odpowiedzialny zarówno za sławę i siłę Polski w dobie poprzedniej, jak i za bezsilność oraz upokorzenie teraźniejsze. Przynajmniej do tej odpowiedzialności się poczuwam zawsze i dlatego naturalną konsekwencją dla mnie jest podanie się do dymisji. I chociaż ROP, gdy tę sprawę podniosłem, wyraziła mi pełne zaufanie i upoważniła w ten sposób do pozostania przy władzy, nie mogę ukryć, że pozostają we mnie i działają z wielką siłą

^{*} Ibidem.

te moralne motywy, które wyłuszczyłem przed R.O.P. parę tygodni temu.

2. Byłem i jestem stronnikiem wojny „a outrance” z bolszewikami dlatego, że nie widzę najzupełniej gwarancji, aby te czy inne umowy czy traktaty były przez nich dotrzymane. Staję więc z sobą teraz w ciągłej sprzeczności, gdy zmuszony jestem do stałych ustępstw w tej dziedzinie, prowadzących w niniejszej sytuacji, zdaniem moim, do częstych upokorzeń zarówno dla Polski, a specjalnie dla mnie osobiście.

3. Po prawdopodobnym zerwaniu rokowań pokojowych w Mińsku pozostaje nam atut w rezerwie – atut Ententy. Warunki postawione przez nią są skierowane przeciwko funkcji państwowej, którą od prawie dwu lat wypełniam. Ja i ROP, rząd czy sejm, wszyscy mieliby do wyboru albo zostawić mnie przy jednej z funkcji, albo usunąć mnie zupełnie. Co do mnie wybieram drugą ewentualność. Jest ona bardziej zgodna z godnością osobistą i jest praktyczniejsza. Pozostawienie mnie na jednym z urzędów zmniejsza mój autorytet i tak silnie poderwany i doprowadza z konieczności do powolnego zniszczenia tej siły moralnej, którą dotąd jeszcze reprezentuję dla walki i dla kraju. Biorę następnie pod uwagę mój charakter bardzo niezależny i przyzwyczajenie do postępowania według własnego zdania, co z warunkami postawionymi przez Ententę nie zgadza się. Wreszcie przeczy to systemowi, któremu służyłem w Polsce od początku swojej pracy politycznej i społecznej, której podstawą zawsze była możliwie samodzielna praca nad odbudowaniem Ojczyzny, ta bowiem wydawała mi się jedynie wartościową i trwałą. Obawiam się więc, że przy pozostawieniu przy funkcjach przodujących oraz przy moim charakterze i przyzwyczajeniach wyniknąć mogą ze szkodą dla kraju tarcia mniejsze i większe, które nie będąc przyjemne

dla żadnej ze stron, wszystko jedno skończyć by się musiały moim usunięciem się.

Wreszcie ostatnie. Rozumiem dobrze, że ta wartość, którą w Polsce reprezentuję, nie należy do mnie, lecz do Ojczyzny całej. Dotąd rozporządzałem nią, jak umiałem samodzielnie.

Z chwilą napisania tego listu uważam, że ustać to musi i rozporządzalność moją osobą przejść musi do rządu, który szczęśliwie skleciłem z reprezentantów całej Polski.

Dlatego też pozostawiam Panu, Panie Prezydencie, rozstrzygnięcie co do czasu opublikowania aktu mojej dymisji: Również Panu wraz z Jego kolegami z Rządu pozostawiam sposób wprowadzenia w życie mojej dymisji i wreszcie oczekiwać wówczas będę rozkazu Rządu co do zużytkowania moich sił w tej czy innej pracy. Co do ostatniego proszę tylko nie krępować się ani wysoką szarżą, którą piastuję, ani wysokim stanowiskiem, które posiadam. Nie chciałbym bowiem mnożyć swoją osobą licznej rzeszy ludzi nieukładających się w żaden system, czy to z powodu kaprysów i ambicji osobistej, czy to z powodu słabości charakteru polskiego, skłonnego do wytwarzania najniepotrzebniejszych funkcji dla względów osobistych.

Proszę Pana Prezydenta przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania, z jakim pozostaję”*.

Warto zwrócić uwagę na argumentację Piłsudskiego, że w trudnej sytuacji militarnej kraju ocalenie może zależeć od dobrej woli Ententy, a on nie jest dobrze widziany przez zachodnie rządy. Wynik bitwy był niepewny, dlatego marszałek zdecydował się schować osobiste ambicje dla dobra kraju. Zatem nie tylko chwilowe załamanie nerwowe zadecydowało o złożeniu prośby o dymisję.

* Ibidem.

Witos jej nie przyjął, wychodząc ze słusznego założenia, że w przededniu decydującej bitwy nie można zmieniać Naczelnego Wodza, gdyż grozi to całkowitą katastrofą. Ale wbrew insynuacjom niektórych publicystów, wcale nie przejął obowiązków Naczelnego Wodza czy Naczelnika Państwa. Było to niemożliwe, Witos był politykiem, a nie wojskowym. Poza tym nieprzyjęcie dymisji oznaczało, że nie weszła ona w życie.

Chociaż marszałek podał się do dymisji i być może uważał, że zostanie ona przyjęta, nie zapomniał się jednak spotkać ze swoim zaufanym współpracownikiem, Henrykiem Józewskim, któremu polecił przygotowanie działań dywersyjnych na wypadek upadku stolicy.

To jednak nie koniec tajemnic. Piłsudski miał ruszyć do swojej kwatery w Puławach, ale na początek pojechał do Bobowej, do majątku swojego ulubieńca, Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. Przebywała tam Aleksandra z dziećmi i marszałek najwyraźniej chciał się z nimi pożegnać przed decydującą bitwą. Inna sprawa, że nadrobił sporo kilometrów i stracił dużo czasu. Drogi były wówczas marnej jakości, samochody awaryjne, a Bobowa leży niedaleko Nowego Sącza, ponad 300 kilometrów od Warszawy. A później Naczelnego Wodza czekała jeszcze jazda do Puław, czyli kolejne 250 kilometrów. Łącznie stracił kilkanaście godzin i zrobił dodatkowo 450 kilometrów.

„Gdy żegnał się z nami – wspominała Aleksandra Szczerbińska – przed wyjazdem do Puław, był zmęczony i posępny. Ciężar olbrzymiej odpowiedzialności za losy kraju przyniatał go i sprawiał mękę. Ja w tym czasie znajdowałam się w okolicy Krakowa, dokąd mnie wyewakuowano razem z Wandą i Jagodą, która kilka miesięcy przedtem przyszła na

świat. Mąż przyjechał z Aleksandrem Prystorem, pożegnał się z dziećmi i ze mną tak, jak gdyby szedł na śmierć”^{*}.

Warto jednak zauważyć, że nadal pełnił obowiązki Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa, gdyż jego dymisja pozostała w rękach Witosa. I pomimo karkołomnej podróży, już 13 sierpnia o 10 rano spotkał się w pobliżu Dębina z generałami: „Śmigłym” Rydzem i Skierskim. W ten sposób rozpoczął inspekcję oddziałów, które miały przeprowadzić słynny manewr znad Wieprza. W tym czasie pod Warszawą trwały już walki, ale plan bitwy był już realizowany. Wyjazd do Bobowej w tym nie przeszkodził.

Chociaż można się spotkać z podejrzeniami, że tak naprawdę pojawił się w okolicach Puław dopiero 14 sierpnia, ale to dalej nic nie zmieniło. Manewr znad Wieprza był zaplanowany 3 dni później, a walkami w okolicach Warszawy i nad Wkrą dowodzili inni. Piłsudski miał osobiście nadzorować kontratak decydujący o losach bitwy i jego chwilowa nieobecność nie zakłóciła przygotowań do uderzenia. Był też na miejscu, gdy okazało się, że manewr trzeba przyspieszyć.

Postępowania Piłsudskiego nie mógł jednak zrozumieć Weygand, który twierdził, że „wszyscy byli zdziwieni, a ja pierwszy, widząc, że wódz naczelny porzuca kierownictwo całości bitwy”. Ale Weygand niewiele rozumiał z tego, co działo się w Polsce.

Bez wątpienia marszałek miał chwile nerwowej niepewności przed bitwą, co potwierdzał Maciej Rataj, uważając, że Naczelnik „stracił pod wpływem klęsk głowę. Opanowała go depresja, bezradność”. Jednak Rataj zauważył też, że w pewnej chwili „dokonał się w Piłsudskim zwrot stanowczy, jakieś przełamanie psychiczne. [...] Od chwili przełomu

^{*} A. Piłsudska, *Wspomnienia*, Londyn 1960, s. 250.

psychicznego Piłsudski zaczął odzyskiwać ruchliwość i odzyskał maniery, gest”^{*}.

To marszałek odpowiadał za wynik bitwy warszawskiej, bez względu na to, kto był ostatecznym autorem planu operacji. To bowiem zresztą szczegół bez znaczenia, Piłsudski jako głównodowodzący wziął na siebie odpowiedzialność. Jeżeli nawet tylko zaakceptował plan przedstawiony mu przez doradców, to i tak cała zasługa leżała po jego stronie. W tym celu przecież Naczelnny Wódz zatrudnia specjalistów, a próby uznania za zwycięzcę generałów Rozwadowskiego czy Weyganda, a nawet Wincentego Witosa (!!!) są absurdalnymi teoriami.

Na zachodzie Europy do dzisiaj jako zwycięzca jest jednak przedstawiany Weygand, chociaż sam zainteresowany dobrze wiedział, że w Polsce był postrzegany jako piąte koło u wozu. Polska generalicja kompletnie go lekceważyła, a Weygand także wreszcie zrozumiał, że jego doświadczenie z wojny pozycyjnej na froncie zachodnim nie miało żadnego przełożenia na wojnę manewrową z bolszewikami. Poza tym był zwolennikiem działań defensywnych, podczas gdy polski sztab szykował się do kontrataku i nie planował okopania się na linii Wisły.

W efekcie Weygand zaraz po bitwie warszawskiej wyjechał do Francji, by wreszcie na pocieszenie zainkasować Krzyż Walecznych i Krzyż Srebrny Orderu Wojskowego Virtuti Militari. Zaskoczenie przyszło w Paryżu, gdzie premier Francji w otoczeniu szalejących tłumów powitał go oficjalnie jako zwycięzcę spod Warszawy. Francuskie władze nie mogły

* M. Czaplą, *Zniknął? Podał się do dymisji? Pojechał na front? Marszałek Piłsudski przed bitwą warszawską*, <https://nowahistoria.interia.pl/ii-rzeczpospolita/news-zniknal-podal-sie-do-dymisji-pojechal-na-front-marszalek-pil,nId,1490769>.

bowiem dopuścić, by jacyś Polacy sami odprawili bolszewików, zatem musieli to zrobić pod kierunkiem francuskiego wojskowego. Jak słusznie zauważył jeden z historyków, był to doskonały przykład potwierdzający teorię, że w „historii mniej ważne od tego, co się rzeczywiście zdarzyło, jest to, w co ludzie wierzą, że się zdarzyło”*. A Piłsudskiemu jego wrogowie i tak będą zawsze wypominać chwile słabości przed najważniejszą bitwą, chociaż odwieczne prawo wojny głosi, że zwycięzców się nie sądzi.

* N. Davies, *Orzeł biały, czerwona gwiazda*, Kraków 1997, s. 225.

Bój o Radzymin: heroiczna walka czy chaotyczna strzelanina?

Walka o Radzymin – niewielkie miasteczko leżące na wschód od Warszawy – była ciężka i krwawa. Polskie zwycięstwo tam odniesione okazało się punktem zwrotnym bitwy warszawskiej i całej wojny polsko-rosyjskiej.

Dlaczego Radzymin i Ossów? Odpowiedzi na to pytanie udziela topografia. Warszawa wyrosła na zachodnim, lewym brzegu Wisły. Cześć położona na wschodnim brzegu rzeki zwyczajowo nazywa się Pragą. Około 2 kilometrów od rzeki biegnie linia kolejowa zbudowana na wysokim niczym mur nasypie, oddzielającym wielkomiejską Pragę od peryferyjnych osiedli. Granice miasta będą około 5 kilometrów na wschód od Wisły, ale nawet tamten teren pełen jest podmiejskich osiedli zbudowanych wzdłuż szosy i linii kolejowej prowadzących do Bialegostoku i dalej do Wilna oraz Petersburga. Stamtąd nadchodzili Rosjanie.

Aż do granic Pragi linia kolejowa i szosa będą równoległe, następnie szosa zakręca nieco ku północy i będzie do Radzimina odległego od Wisły o 20 kilometrów. Do Radzimina

docierała z Pragi kolejka wąskotorowa, szumnie nazywana Koleją Marecką – co sprawiało, że miasto to już wówczas było traktowane jako część aglomeracji warszawskiej, bez mała jako część Warszawy. Również linia kolejowa miała na swoich pierwszych kilometrach wiele przystanków pasażerskich, wokół których rozrastały się wsie zaopatrujące Warszawę w żywność oraz osiedla traktowane jako „sypialnie”. Niepełna 18 kilometrów od Wisły był Wołomin – dynamicznie rozrastające się osiedle, które w 1919 roku otrzymało prawa miejskie.

Pole manewru idących na Warszawę Rosjan było – dosłownie – ograniczone przez dwie przeszkody terenowe. Kilka kilometrów na północ od Radzymina płynie szeroka rzeka powstała przez połączenie Bugu z Narwią (wówczas nosiła nazwę Bugo-Narew, od 1963 roku używa się nazwy Narew). Z kolei kilka kilometrów na południe od Wołomina – w okolicy Ossowa – zaczynają się gęste lasy, wśród których znajduje się poligon artyleryjski w Rembertowie wraz z rozbudowaną infrastrukturą wojskową. Rembertów w nadchodzącej bitwie będzie miejscem, w którym odpoczynek znajdą zmęczeni polscy żołnierze.

Rosjanie musieli zdobyć Radzymin i Wołomin, aby myśleć o szturmie na Warszawę. Stolicę broniła 1. Armia Wojska Polskiego dowodzona przez generała Franciszka Latinika: 11. Dywizja Piechoty broniła Radzymina i Wołomina, 8. Dywizja Piechoty stała od Ossowa po Rembertów, a dalej na południe strzegła flanki 15. Dywizja Piechoty. W odwodzie stała 1. Dywizja Litewsko-Białoruska. Polacy mieli olbrzymią przewagę w artylerii ciężkiej, skupionej w samej Warszawie. To z jej pomocą mieli odeprzeć Armię Czerwoną. Niestety, polscy generałowie zdecydowali się walczyć o Wołomin i Radzymin – poza zasięgiem artylerii. Nie zdecydowali się

również na wyprowadzenie dział z miasta, więc nie wykorzystali najważniejszego polskiego atutu. Odpowiedzialność za to spoczywa nie tylko na generale Latiniku, ale również jego przełożonych: generale Hallerze dowodzącym Frontem Północnym, generale Rozwadowskim będącym szefem Sztabu Naczelnego Wodza, a nawet na generale Weygandzie – szefie francusko-brytyjskiej Misji Wojskowej.

Rosjanie popełnili jednak jeszcze więcej błędów. Próby zdobycia Warszawy były przeprowadzane bardzo niezdecydowanie i niemrawo. Było to związane ze – wspomnianą już – niezgodnością realnej sytuacji z teoretycznymi planami. Według planów Warszawę zdobywać miała III Armia Władimira Łazarewicza, a XVI Armia Nikołaja Sołłohuba planowała obejść Warszawę od południa. W praktyce jednak III Armia walczyła na północ od Bugo-Narwi, a Władimir Łazarewicz nie mógł się zdecydować, czy realizować narzucony z góry plan, czy walczyć tam, gdzie mu było wygodnie. Robił więc jednocześnie i jedno, i drugie. Do Radzimina skierował tylko jedną dywizję strzelecką, dość szybko odwołał ją jednak na północ. Podobnie uczynił Nikołaj Sołłohub: trzy dywizje – większość jego wojsk – próbowały obejść polską stolicę od południa i ostatecznie pogubiły się w lasach Rembertowa. Do ataku na Warszawę skierował najpierw jedną, a później – gdy jego kolega odwołał swoich żołnierzy spod Radzimina – drugą dywizję strzelecką. W jaki sposób Rosjanie – dysponujący dwiema dywizjami – byliby w stanie zdobyć Warszawę bronią przez co najmniej cztery dywizje?

Mogły im w tym pomóc jedynie błędy obrońców. I błędy takie faktycznie nastąpiły. Bój pod Radzyminem rozpoczął się 13 sierpnia o godzinie 6.30. Do walki weszła rosyjska 27. Dywizja Strzelecka (DS), ale zdawało się, że działa bardzo niemrawo i została z łatwością odparta. W dowództwie polskiego

46. pułku piechoty – jednego z czterech pułków 11. Dywizji Piechoty – uznano, że odparto wroga. Zaczęto świętować zwycięstwo. Przedwcześnie.

Największym niebezpieczeństwem dla szturmującej piechoty są karabiny maszynowe. Można je ominąć lub wyeliminować ogniem artylerii, ale trzeba najpierw wiedzieć, gdzie stanowiska te się znajdują. Informacje takie zdobywa się, dokładnie obserwując przedpole, używając samolotów rozpoznawczych, przesłuchując jeńców i ludność cywilną. Jest to działanie powolne, ale przynoszące małe straty. W armiach nieszanujących życia swoich żołnierzy – chociażby w rosyjskiej – przeprowadza się rozpoznanie bojem, czyli próbny atak. Karabiny maszynowe obrońców otwierają wówczas ogień, ujawniając swoje stanowiska. I w ten sposób – kosztem kilkudziesięciu poległych czerwonoarmistów – Rosjanie uzyskali rankiem 13 sierpnia informacje o polskich pozycjach obronnych.

Rosjanie ruszyli do szturmów około godziny 17.00. Polskie pozycje zostały już ujawnione i zniszczyła je celnym ogniem rosyjska artyleria – polskie działa strzelały bardzo słabo. Polski batalion broniący Radzymina wpadł w panikę. Ulegli jej nawet żandarmi, mający powstrzymać ucieczkę żołnierzy. Pozostałe dwa bataliony pułku próbowały kontratakować, ale nie zdołały zatrzymać Rosjan. Dowódca 46. pułku piechoty – pułkownik Bronisław Krzywobłocki – stracił głowę, pułk został rozbity, a Radzymin wpadł w ręce wroga. Droga do Warszawy stała otworem.

Kilka dni później – 17 sierpnia 1920 roku – Minister Spraw Wojskowych bardzo surowo ocenił działanie broniącego Radzymina 46. pp: „Zatwierdza się rozporządzenie Dowództwa Frontu Północnego dotyczącego rozwiązania 46 pp za sromotne opuszczenie stanowisk pod Radzyminem w nocy

z 13 na 14 sierpnia br. i wcielenia go do 19 Dywizji Piechoty [czyli 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej], która kontratakami odzyskała utracone pozycje. Pułk ten powstanie znów dopiero w chwili, gdy 11. Dywizja Piechoty odkupi winę swojego pułku przez wybitne, waleczne i skuteczne zachowanie się w boju. Rozkaz powyższy należy ogłosić wszystkim oddziałom w kraju i na froncie, ażeby służył za przestrożę przed hańbiącym zachowaniem się przed nieprzyjacielem”^{*}.

Gdyby dowodzący XVI Armią Nikołaj Sołłohub zorientował się, jak duży sukces odniosły jego wojska w Radzyminie i skierował tam do walki swoje pozostałe dywizje, to Praga – a może i Warszawa – mogłaby wpaść w jego ręce. Odwołał jednak swoje wojska i próbował obchodzić Warszawę. Także i polskie dowództwo straciło orientację – generał Franciszek Latinik przez cały wieczór pozostawał bierny, dopiero po północy generał Józef Haller nakazał kontratakować odwodowej 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Akcja ta była mocno opóźniona i nie najlepiej przygotowana: zamiast o brzasku rozpoczęła się późnym rankiem 14 sierpnia około 10.15. Atak okazał się fiaskiem, przede wszystkim dlatego, że nie wykorzystano artylerii: wspierały go raptem trzy baterie, czyli kilkanaście dział. Polacy do miasta wtargnęli, ale zostali szybko wyparci. Dopiero podczas odwrotu polska artyleria okazała się skuteczna i zatrzymała Rosjan.

Świadcami tej porażki byli – oglądający uderzenie z punktu obserwacyjnego – generałowie Józef Haller oraz Franciszek Latinik. Fiasko kontrataku wywarło na nich kolosalne wrażenie, szczególnie że jego świadkami byli towarzyszący im oficerowie alianckich misji wojskowych.

* Rozkaz L. O.I. 10412. Org., Dz. Rozk. MSWojsk. Nr 31 z 31 sierpnia 1920 roku, poz. 693.

„Sposób rozegrania bitwy o przyczółek i towarzysząca temu panika wydają się dość dziwne” – ocenił po latach obserwator z zewnątrz*. „Haller się przeraził. Nie uważał utraty Radzimina za lokalne niepowodzenie. Nie czekając na potwierdzenie, uznał, że cały ciężar sowieckiego uderzenia zagraża Warszawie. Razem z Rozwadowskim zaczął słać we wszystkie strony telegramy o pomoc”.

Panika jest co najmniej niezrozumiała, ponieważ Polacy mieli na przedpolach Pragi przewagę nad Rosjanami. Nawet gdyby Nikołaj Sołłohub rzucił do walki całą swoją XVI Armię, to i tak najwyżej dorównałby Wojsku Polskiemu liczebnością żołnierzy piechoty (po obu stronach walczyło tutaj nieco mniej niż 50 000 ludzi). Polacy mogli korzystać z rozbudowanych umocnień, mieli wielokrotną przewagę w lotnictwie, kilkakrotną w artylerii oraz absolutną przewagę w czołgach, których było blisko 50 w jednostkach pierwszorzutowych i drugie tyle na zapleczu.

Generałowie polscy – zamiast wycofać się na kolejną rubież i użyć artylerii – postanowili ponownie odzyskać Radzimin. Do walki o to małe miasteczko generał Józef Haller postanowił rzucić swój jedyny odwód – 10. Dywizję Piechoty generała Lucjana Żeligowskiego. Na linię frontu została przerzucona przy wykorzystaniu warszawskich autobusów. Te skomplikowane manewry przeprowadzano w czasie, gdy 5. Armia – również podległa Frontowi Północnemu – dopiero zaczynała swoją walkę nad Wkrą. Zużywając swój jedyny odwód, generał Haller pozbawił się możliwości wpływu na toczoną przez jego Front bitwę.

* Oba cytaty pochodzą z pracy Normana Daviesa: *Orzeł biały, gwiazda czerwona, wojna polsko-bolszewicka 1919–1920*, Kraków 2006, s. 244.

10. Dywizja Piechoty miała uderzać pomiędzy Bugo-Narwią a Radzyminem, oskrzydlając to miasto od północy. Jednocześnie 1. Dywizja Litewsko-Białoruska – wsparta kilkoma czołgami oraz lotnictwem – miała zaatakować Radzymin od czoła. Dowództwo nad tą dwudywizyjną grupą operacyjną powierzono generałowi Lucjanowi Żeligowskiemu. Nie do końca wiadomo dlaczego, najprawdopodobniej dlatego, że dowódca 1. Armii – generał Franciszek Latinik – po prostu się do tego nie nadawał, a i sam dowódca Frontu Północnego – generał Józef Haller – nigdy nie dowodził w boju tak licznym wojskiem.

Jak można się było spodziewać, podczas bitwy rozkazy generała Żeligowskiego docierały tylko do jego własnej 10. DP. Dywizja Litewsko-Białoruska została pozostawiona sama sobie. Później doszukiwano się w tym różnych podtekstów, zapominając o sprawie podstawowej: braku środków łączności. Generała Żeligowskiego oskarżano nie tylko o niekoleżeńskość, brak fachowości, niskie morale, ale nawet o chęć oszczędzania własnych wojsk. Gdyby bowiem Rosjanie zatryumfowali, wówczas generał Żeligowski mógłby sformować rząd ocalenia narodowego.

Rosjanie również szykowali się do natarcia. Nikołaj Sołłohub – dowodzący XVI Armią – skierował do walki dwie własne dywizje – 2. DS, 27. DS – liczył również na 21. DS ze składu III Armii Aleksandra Łazarewicza. Srogo się przeliczył, ponieważ 21. DS pomaszzerowała na północ.

Piętnastego sierpnia, jeszcze przed świtem, obie strony rozpoczęły ofensywny marsz. Polskie i rosyjskie bataliony wpadały na siebie i rozpoczął się chaotyczny bój. Ostrzeliwały się nawzajem, raz cofając się, raz atakując. Walka przyniosła jednak przełom. „Według mego przekonania – wspominał

generał Lucjan Żeligowski* – w tej chwili słaby batalion, nie czekając godziny ogólnego natarcia, atakował punkt, który – jak się później okazało – stanowił najczulsze miejsce armii rosyjskiej, centrum głównej arterii nieprzyjacielskiego ruchu naprzód [...] w tym miejscu odwróciła się karta wojny, nastąpił przełom psychiczny u nas i u Rosjan. Od chwili tego natarcia rozpoczęły odwrót trzy zwycięsko i niepowstrzymanie dotąd idące brygady, a także 21. Dywizja ze Słupna, odwrotem swym stwarzając chaos i zamieszanie. Pogonowski, wiedziony nadzwyczajnym instynktem, rozpoczął zwycięstwo 10. Dywizji i 1. Armii na przyczółku warszawskim... i zginął”.

Rola porucznika Stefana Pogonowskiego została mocno przesadzona – zginął podczas przypadkowej wymiany ognia – ale stał się on obok ks. Ignacego Skorupki symbolem polskiego zwycięstwa w bitwie warszawskiej.

W wyniku walk prowadzonych ciemnym świtem wojska rosyjskie zostały wyrzucone z terenów pomiędzy Bugo-Narwią a Radzyminem. I chociaż generał Lucjan Żeligowski zatrzymał nieco później natarcie swoich wojsk – o co w przyszłości były do niego wspomniane pretensje – to uderzenie 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej na Radzymin zakończyło się odbiciem miasta. Żołnierzom pomagali cywile, którzy zbierali porzuconą broń i włączali się do walki. Do akcji weszły również polskie samoloty, ostrzeliwujące zarówno szykujących się do kontrataku czerwonoarmistów, jak i ich tabory i artylerię na tyłach. Ataki lotnicze nie zdołały jednak powstrzymać rosyjskiego uderzenia i wczesnym popołudniem Radzymin ponownie znalazł się w rękach wroga.

* L. Żeligowski, *Wojna w roku 1920. Wspomnienia i rozważania*, Warszawa 1990, s. 92.

Czerwonoarmiści – walcząc od kilku dni niemal bez wytchnienia – byli już wycieńczeni. Morale żołnierzy podupadło. Zamiast łatwego zwycięstwa nastąpiły krwawe boje, a miejscowa ludność, która miała ich witać jak wyzwoliciele, widziała w nich tylko zagrożenie. Niemal pozbawieni byli snu, a jedzenie i picie mieli tylko zdobyczne, ponieważ rosyjskie kwatermistrzostwo działało bardzo nieskutecznie. Nawet chorym i rannym nie zapewniano opieki, nie mówiąc o możliwości ewakuacji.

Rosjanie opuścili miasto niemal bez walki. Dopiero następnego dnia, rankiem 16 września, ponowili próbę zdobycia Radzyna. Rosyjski szturm Polacy odparli zmasowanym ogniem czołgów. Próba obejścia miasta została udaremniona przez ogień blisko setki dział dwudziestu baterii polskiej artylerii. Tym razem zwycięstwo odniosły polskie bronie techniczne. Tak powinien wyglądać bój o Radzymin od pierwszego dnia walk, niestety – zawiedli wszyscy polscy dowódcy. Na szczęście dowódcy rosyjscy popełnili jeszcze większe błędy.

Tak naprawdę jednak bój o Radzymin – nie tyle krwawy, ile wyczerpujący emocjonalnie zarówno żołnierzy, jak i ich dowódców – nie miał większego znaczenia dla wyniku bitwy warszawskiej. Był to jedynie wstępny ruch, który miał umożliwić Rosjanom szturm na polską stolicę. Co więcej, Rosjanie odnieśli taktyczny sukces, tylko nie mieli możliwości jego wykorzystania. Popełnili cały szereg błędów strategicznych i w chwili, gdy droga na Warszawę była otwarta, nie dysponowali siłami mogącymi ten szturm przeprowadzić. Przez kolejne dwa dni pozostali beczynni. Z perspektywy czysto militarnej równie dobrze Polacy mogli pozostawić Radzymin niebroniony: wówczas Rosjanie spędziliby jeden dzień na marszu w stronę Warszawy, a drugi – ginąc w ogniu polskiej artylerii.

Bój pod Ossowem: chaotyczna strzelanina czy heroiczna walka?

Bój o Ossów – niewielką miejscowość leżącą na wschód od Warszawy – był ciężki i krwawy. Największy udział w walce – czasem toczonej wręcz – mieli młodzi ochotnicy z Warszawy, często uczniowie gimnazjalni. Zwycięstwo, które Polacy tam odnieśli, okazało się punktem zwrotnym bitwy warszawskiej i całej wojny polsko-rosyjskiej.

Mit krucjaty dziecięcej jest obecny w wielu kulturach, chociaż Polacy mają do niego wiele – źle ulokowanej – sympatii. Sympatii przede wszystkim politycznej: na przykładzie małoletnich ochotników najłatwiej udowodnić, że politycy i generałowie nie sprawdzili się, a przez ich niedbalstwo do walki – i na śmierć – poszły dzieci. Skrajnym przykładem jest pomnik Małego Powstańca w Warszawie, postawiony wbrew woli autora rzeźby – Jerzego Jarnuszkiewicza – przez komunistyczne władze.

Podobnie było również w roku 1920, gdy do walki w szeregach Armii Ochotniczej stanęła młodzież gimnazjalna.

Trzeba jednak uświadomić sobie ówczesne realia, aby zweryfikować legendę o dzieciach-ochotnikach. Po pierwsze, Armia Ochotnicza nie była związkiem strategicznym, a instytucją państwową, której głównym zadaniem było uzupełnianie strat formacji liniowych. Po drugie – i ważniejsze – ówczesne gimnazja były czymś zupełnie innym niż szkoły tak nazywane na przełomie XX i XXI wieku. Gimnazjum w 1920 roku było odpowiednikiem dzisiejszego liceum: szkołą średnią, która kończyła się maturą. Nie wszyscy ochotnicy roku 1920 byli gimnazjalistami – było ich bardzo niewielu. Większość spośród tej nielicznej gromadki była „niedawnymi gimnazjalistami”, którzy właśnie zdali maturę i byli już pełnoletni. Ich rówieśnicy – mający mniej szczęścia i pieniędzy na naukę w płatnych gimnazjach – byli już w armii. Większość gimnazjalistów, którzy zgłosili się do Armii Ochotniczej, tak czy inaczej trafiłaby do wojska jesienią – podlegali bowiem poborowi.

Bohaterami walk o Ossów stali się ochotnicy z 236. Pułku Piechoty. Pułku szczególnego, sformowanego w warszawskich – a raczej praskich – koszarach 36. pp. Wyróżniał się on tym, że w dużej mierze składał się z warszawskich studentów (później nadano mu miano „Legii Akademickiej”). Nic dziwnego, że do ochotniczego 236. pp zgłaszali się studenci, maturzyści – czyli kandydaci na studentów, a pewnie również i gimnazjaliści przed maturą. Oprócz nich ochotnikami byli również robotnicy i urzędnicy, a nawet i bezrobotni. Sformowano z nich jeden batalion, który po dojściu na front zaczęto określać jako batalion 36. pp – stąd czasem myli się obydwie formacje i niechcący tworzy legendę o udziale obu pułków w bojach o Ossów.

Ossów był wsią położoną na południe od Wołomina. Wołomin, przypomnijmy, był miastem położonym na linii

kolejowej prowadzącej z Piotrogradu do Warszawy, o porównywalnym znaczeniu co Radzymin. Rosjanie musieli zdobyć Wołomin (i Radzymin), aby przygotować się do szturm na Warszawę.

Wołomin obsadzał 47. pp ze składu 11. Dywizji Piechoty. Rosyjskie ataki na miasto – rozpoczęte jeszcze wieczorem 13 sierpnia – zostały z łatwością odparte. Tutaj bowiem Polacy byli wspierani ogniem ciężkiej artylerii, a przede wszystkim przez dwa pociągi pancerne. Ich ogień niemal od razu zadał Rosjanom poważne straty, więc później ich ataki nie miały już początkowej werwy. Poza tym ten pierwszy atak był tylko rozpoznaniem walką. Rosjanie doszli do wniosku, że nie będą w stanie zdobyć Wołomina, ale mogą go obejść od południa, idąc wzdłuż wsi Leśniakowizna i Ossów, gdzie polska obrona była wyraźnie słabsza.

Rozpoznanie walką ma jednak wiele wad. Gdyby Rosjanie zastosowali klasyczne – powolne i systematyczne – metody rozpoznawcze, to odkryliby, że polskie pozycje są dość dobrze rozbudowane. Ich próbne uderzenie zostało przeprowadzone w chwili, gdy czujność Polaków była osłabiona, stąd też czerwonoarmiści wyciągnęli błędne wnioski.

Otóż polskie pozycje pod Leśniakowizną obsadzone były przez 8. Dywizję Piechoty, dowodzoną przez pułkownika Stanisława Burhardta-Bukackiego. Był to doświadczony oficer, dowodzący pułkiem w I Brygadzie Legionów, który zdołał przeprowadzić swoją dywizję przez trudy wielokilometrowego odwrotu od Połocka do Warszawy. Jego dywizja nie miała pełnych stanów liczebnych, a żołnierze byli wyczerpani.

Pod Leśniakowizną stała „warszawska” XVI Brygada Piechoty ze składu 8. DP. Gdy wróg przeprowadzał rozpoznanie bojem, broniący do tej pory frontu 21. Pułk Piechoty „Dzieci Warszawy” był właśnie luzowany przez 36. pp „Legii

Akademickiej”. Te manewry i towarzyszące im zamieszanie sprawiło wrażenie, że Polacy są słabi. Rosjanie postanowili uderzyć na Leśniakowiznę całą 79. Brygadą Strzelecką.

Armia Czerwona zaatakowała rankiem 14 sierpnia i wdarła się między polskie pozycje. Polacy przeprowadzili kontratak – to typowa odpowiedź na taką sytuację taktyczną – ale wziął w nim udział bardzo osłabiony batalion regularnego wojska. Został szybko zatrzymany rosyjskim ogniem, a gdy wracał na pozycje wyjściowe, napotkał świeżo przybyłych z Warszawy „ochotników”. Było to bardzo niefortunne zdarzenie – batalion ten powinien znajdować się z tyłu i czekać na wynik walki. Dopiero wówczas rekruci powinni uzupełnić siły weteranów. Tymczasem zderzenie przestraszonych rekrutów z wracającymi z nieudanego kontrataku weteranami wprowadziło zamęt. Nie doszło co prawda do paniki, ale żołnierze przemieszali się, a oficerowie stracili na kilka kwadransów możliwość dowodzenia.

Skoro pierwszy kontratak się nie powiódł, to płk Leon Krakówka – dowódca 36. pp – zdecydował się go powtórzyć. Wykorzystał do tego świeżych i ochoczych ochotników z pierwszego batalionu 236. pp. Najpierw, około godziny 6.00, do akcji weszły dwie jego kompanie, ale świeżość i zapał nie na wiele się przydały: ochotnicy szybko przerwali walkę i wrócili na stanowiska wyjściowe. Próba ogniowa nie powiodła się, ochotnicy zawiedli i było jasne, że trzeba odczekać jakiś czas, aby na spokojnie wymieszać ich z weteranami i dać im okrzepnąć.

Niestety, na front przybył kolejny pułkownik – Jerzy Sawicki – dowodzący stojącym w odwodzie 33. pp. Nie widząc pułkownika Leona Krakówki – który nadzorował walkę na innym odcinku – a widząc Rosjan w polskich okopach, zdecydował automatycznie o przeprowadzeniu kontrataku. I on

postanowił sprawdzić świeżość i zapal ochotników: do akcji ruszyły dwie pozostałe kompanie batalionu ochotniczego. Jedna z nich została szybko powstrzymana, ale druga zdołała wyrzucić Rosjan z polskich pozycji.

To właśnie wówczas poległ ks. Ignacy Skorupka – kapelan warszawskich ochotników. Obelisk upamiętniający jego śmierć znajduje się 16 600 metrów od kolumny Zygmunta na placu Zamkowym – symbolicznego centrum Warszawy. Biorąc pod uwagę rozległość miasta i fakt, że Rosjanie posuwali się jeszcze do przodu, można przyjąć, że w chwili swojego największego sukcesu znajdowali się 10 kilometrów od granic polskiej stolicy.

Rosjanie bowiem nie zostali powstrzymani ani przez poświęcenie księdza Ignacego Skorupki, ani przez warszawskich ochotników, których dość szybko wyrzucili z odzyskanych na chwilę pozycji. Ich sukces był jednak tylko pozorny, a walka o opłotki Ossowa miała niewielkie znaczenie. 79. Brygada Strzelecka szybko parła naprzód, posuwając się tak daleko, że wreszcie wyszła z zasięgu ognia swojej artylerii. Nie mogła już liczyć na jej wsparcie, ani w ataku, ani w obronie. Dowódca nie oglądał się na swoich sąsiadów, ani nie zastanawiał, co dzieje się na zapleczu. Inne oddziały rosyjskie miały własne problemy: na północy walczyły o Radzymin, a na południu szukały przejścia przez rembertowskie lasy do Wisły, więc 79. Brygada Strzelecka miała odsłonięte skrzydła – szczególnie południowe. Przebieg bitwy pogorszył jej sytuację. Początkowo atakowała ze wschodu na zachód, ale podczas walki zakreśliła na północ, nie troszcząc się o zabezpieczenie tyłów.

Tymczasem dowódca 8. Dywizji Piechoty, pułkownik Stanisław Burhardt-Bukacki, już od rana tego dnia szykował się do kontruderzenia. Jeszcze przed rosyjskim uderzeniem obejrzał przyszłe pole bitwy, przewidując przyszły przebieg

walk. Chociaż bój pod Ossowem był ciężką przeprawą dla polskich żołnierzy i dla wielu skończył się śmiercią, jednak były to ofiary, które w warunkach wojennych czasami trzeba ponieść. Nie zawsze można zatrzymać wroga, ale można go zmęczyć. Na wyczerpanych czerwonoarmistów miało najpierw spaść potężne uderzenie artylerii, a następnie atak odwodu dywizyjnego – 13. Pułku Piechoty, który przez całą noc odpoczywał w Rembertowie.

Dwa bataliony 13. pp wyruszyły z miejsca postoju na stanowiska wyjściowe do ataku już wczesnym rankiem. Pułkownik Stanisław Burhardt-Bukacki nie kazał się spieszyć. Także dowódcy obu batalionów nie chcieli zmęczyć swoich żołnierzy, którzy szli powoli i podczas marszu zdołali przećwiczyć przechodzenie z szyku marszowego w bojowy. Około godziny 11.00 czołowy batalion pułku podszedł – cały czas ukryty w lasach – do pól Ossowa i Leśniakowizny. Wtedy nadeszło uderzenie polskiej artylerii. Po jego zakończeniu polscy żołnierze oddali w kierunku wroga po pięć strzałów, a po opróżnieniu magazynków spokojnie ruszyli w kierunku rosyjskich pozycji.

Polskie uderzenie zaskoczyło wyczerpanych długą walką czerwonoarmistów. Być może przewidywali, że nadejdzie kontruderzenie, ale nie spodziewali się go od południa. Oczekiwali ataku z zachodu, od Warszawy, lub z północy, od Wołomina. Wydawało się, że na południu są chronieni przez – bezpieczne, ich zdaniem – lasy. Nieskutecznie starali się bronić, oddając kilka serii z ciężkich karabinów maszynowych, a następnie rozpoczęli odwrót. Bardzo szybko odwrót zamienił się w paniczną ucieczkę, gdy do ataku poderwali się polscy żołnierze wyparci z Ossowa i Leśniakowizny. Do walki przyłączył się również – odcięty dotąd z niewielką grupą żołnierzy na tyłach Rosjan – ppor. Wilhelm Kasprzykiewicz.

Gdy opuścił swoją pozycję, zdobył taczankę z karabinem maszynowym i ostrzeliwał czerwonoarmistów od najmniej spodziewanej strony.

Rosyjska 79. Brygada Strzelecka została rozbita. Straciła kilkuset zabitych i zaginionych, a reszta jej żołnierzy uległa rozproszeniu. O wiele mniejsze były polskie straty. Pierwszy meldunek podawał liczbę 50 poległych, a po latach i po przeprowadzeniu dokładnych badań sporządzono „Imienny wykaz poległych i zmarłych z ran w dniach 13–14 sierpnia 1920 r. pod Wołominem, Leśniakowizną, Ossowem i Okuniewem”, który zawiera 95 nazwisk*, w tym raptem 28 nazwisk warszawskich ochotników.

Przebieg walk pod Ossowem wskazuje, że ochotnicy nie byli elementem decydującym o polskim zwycięstwie. Ich obecność nie miała żadnego wpływu na wynik walk, a jeśli już, to niekorzystny. Ich przybycie wprowadziło zamieszanie w polskie szlaki, zdeprymowało zarówno szeregowych żołnierzy, jak i dowódców. Pozytywne wrażenie, które sprawiło nadejście posiłków z Warszawy, błyskawicznie minęło, gdy okazało się, że owe posiłki nie są w stanie dotrzymać pola czerwonoarmistom.

W walkach pod Ossowem brało udział kilka tysięcy żołnierzy. Poległo 95 Polaków. Był to całkiem zwyczajny rezultat. Wojna polsko-rosyjska nie była bowiem ani tak krwawa, ani tak bohaterska, jak się może dziś wydawać. Walki toczono na dalekich dystansach – straty zadawał przede wszystkim ogień artylerii, a gdy jej nie było – tak jak w pierwszej fazie walk pod Ossowem – ogień karabinów maszynowych. Do

* M. Tarczyński, *Studium historyczne określające obszar i przebieg działań bojowych pod Leśniakowizną i Ossowem 13–14 sierpnia 1920 r. toczonych w ramach bitwy warszawskiej*, Warszawa 2006, s. 42–45.

walk wręcz – na bagnety czy na szable – dochodziło bardzo rzadko. Nawet rosyjska konnica – czy to Siemiona Budionnego, czy Gaj Chana – słynęła z tego, że nie przeprowadza szarż i unika walki w zwarciu. Polska jazda często to wykorzystywała, rozprasząc nawet liczniejsze siły.

O ile kawalerii zdarzało się czasami szarżować – z reguły na uciekającego już przeciwnika – to piechota niemal nie walczyła na bagnety. Przede wszystkim dlatego, że nie była do tego szkolona. Do walki ruszały całe tyraliery, które – jeśli nie dostały się pod ogień artylerii lub karabinów maszynowych – dobiegały do pozycji przeciwnika. Przeciwnik – niezależnie czy Polacy, czy Rosjanie – podawał wówczas tyły. Podciągał własne karabiny maszynowe i przeprowadzał kontratak.

Kiedy natarcie przeciwnika mogło być powstrzymane? Z reguły wtedy, gdy pocisk wroga dosięgnął dowódcę. Wówczas jego żołnierze wycofywali się. Należy pamiętać, że – zarówno w Wojsku Polskim, jak i Armii Czerwonej – był niedobór oficerów i podoficerów. Na stu–dwustu szeregowych w kompanii przypadał jeden lub dwóch oficerów i podobna liczba podoficerów. Jeśli zostali oni wyeliminowani, szeregowcy z reguły nie wiedzieli, co zrobić, i przerywali walkę.

Sytuacja była o wiele gorsza w kompaniach ochotniczych. Z kilku powodów. Ochotnicy nie mieli czasu na szkolenie – a rola musztry nie polega na tym, żeby żołnierze ładnie robili „w tył zwrot”, tylko na tym, żeby w bitwie kontynuowali natarcie, nawet gdy zabraknie przełożonych. Ochotnicy nie mieli doświadczenia, nie znali realiów pola bitwy, które dla każdego cywila są przerażające. Wreszcie kompanie, do których ochotnicy byli przydzieleni, były kompaniami marszowymi, służącymi tylko do tego, żeby żołnierze dotarli z koszar na front. Na froncie kompanie marszowe są rozwiązywane, a ich żołnierze wcielani do kompanii liniowych. Kompanie

marszowe miały minimalną kadrę dowódczą i nie powinny być używane do walki.

Bardzo często komunikaty wojenne opisujące walki 1920 roku zawierają słowa „bój był bardzo zażarty, a pułk utracił wszystkich dowódców kompanii”. Nie oznacza to bynajmniej, że ofiar było wiele. W skrajnych przypadkach mogło to być kilku rannych oficerów. Z reguły jednak oznaczało to śmierć kilkunastu i rany kilkudziesięciu spośród około dwóch tysięcy żołnierzy zaangażowanych w walkę. Wydaje się, że bój pod Ossowem nie miał nawet takiej intensywności, szczególnie jeśli w stratach nie uwzględnimy się niedoświadczonych ochotników i przyjmie, że brały w nim udział trzy pułki.

Polskie zwycięstwo pod Ossowem – bo w przeciwieństwie do Radzymina było to jednoznaczne zwycięstwo Polaków – miało jednak olbrzymie znaczenie, choć bardziej propagandowe niż militarne. Dzięki udziałowi w bitwie ochotników z Warszawy do stolicy szybko doszły dobre wiadomości. Opowieści, jak Rosjanie uciekali w popłochu, podnosiły na duchu i budziły entuzjazm. Nazajutrz, 15 sierpnia – w święto Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny – wiedziało już o zwycięstwie całe miasto. Tego dnia – przynajmniej w świadomości mieszkańców stolicy – bitwa warszawska była już wygrana.

Jak zginął ksiądz Ignacy Skorupka?

Ksiądz Ignacy Skorupka zginął śmiercią kapłana i żołnierza, gdy na czele 236. Pułku Piechoty szedł do ataku na bolszewików. Nie miał broń, ale w rękę trzymał krzyż, by wzmocnić determinację walczących u jego boku młodych żołnierzy.

Ignacy Skorupka był warszawiakiem z urodzenia, aczkolwiek jego rodzina wywodziła się z podlaskiej szlachty. W rodzinie kultywowano tradycje patriotyczne, dziadek ze strony matki brał udział w powstaniu styczniowym. Natomiast młodszy brat bohatera bitwy warszawskiej został w latach II Rzeczypospolitej działaczem harcerskim, a podczas okupacji niemieckiej działał w strukturach Szarych Szeregów i zginął w obozie na Majdanku.

Starszy z braci Skorupków wcześniej poczuł powołanie kapłańskie i do seminarium wstąpił w wieku zaledwie 16 lat. Był młodzieńcem dość wątłym i słabowitym, ale przejawiał duże upodobanie do systematycznej pracy. Święcenia kapłańskie otrzymał w wieku 21 lat, po czym skierowano go do Akademii Duchownej w Petersburgu. Nie ukończył jej jednak

z powodów rodzinnych i został proboszczem w Bogorodsku (Nogińsku), niewielkim miasteczku położonym pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Moskwy. Po kilku miesiącach przeniesiono go do Kliniec w pobliżu Homla.

Już w Petersburgu założył kółko literackie „Polonia”, natomiast w nowej parafii kierował szkołą, ucząc polskiego i języków klasycznych oraz założył amatorski teatr (wystawił tam *Betlejem Polskie* Lucjana Rydla). Powołał też do życia tajną drużynę harcerską, to właśnie wówczas przyrzeczenie złożył jego brat, Kazimierz.

Były to miesiące już po przewrocie bolszewickim, zatem można podejrzewać, że działalność księdza Skorupki spotykała się z mocno niechętnymi reakcjami rosyjskiego otoczenia. Zresztą kapłan nie zamierzał zostać dłużej w Klińcach, skoro wszystko wskazywało, że niebawem odrodzi się Polska. Uznał, że jego miejsce jest w kraju, i zorganizował powrót miejscowych Polaków nad Wisłę. We wrześniu 1918 roku został wikariuszem w jednej z łódzkich parafii, jednak szybko został przeniesiony do Warszawy. Był archiwistą i notariuszem stołecznej Kurii Metropolitalnej, łącząc te obowiązki z prefekturą w dwóch szkołach. Powszechnie uznawano go za znakomitego mówcę, a jego kazania wygłaszane w warszawskich kościołach – łącznie z katedrą – przyciągały wielu wiernych. Szybko stał się jednym z najpopularniejszych księży w stolicy.

Gdy bolszewicy zbliżali się do Warszawy, ksiądz Skorupka poprosił przełożonych o zgodę na udanie się na front w charakterze kapelana. Spotkał się z odmową, głównie z powodu złego stanu zdrowia. Jego kolejną prośbę również odrzucono, dopiero 8 sierpnia został kapłanem 236. Pułku Piechoty Armii Ochotniczej. Był to idealny przydział dla kapłana, gdyż otaczali go młodszy od niego gimnazjaliści i studenci,

a w środowisku młodzieżowym zawsze czuł się najlepiej. Pułk Skorupki, podobnie jak 221. Pułk Piechoty Armii Ochotniczej, był bowiem formacją złożoną z ochotników ze stołecznej młodzieży – gimnazjum wówczas kończyło się maturą – co miało duże znaczenie propagandowe. Udowadniało bowiem, że polskie społeczeństwo gotowe jest poświęcić życie dla niepodległości, a przoduje w tym młodzież.

Trzynastego sierpnia pułk wyruszył na front, a Skorupka chyba miał jakieś przecucia, gdyż sporządził testament.

„W Ząbkach podczas odpoczynku – wspominał pułkowy lekarz, kapitan Salak – w czasie marszu do Ossowa, w drewnianym kościółku kapelan zabrał głos od ołtarza: »czekają nas jeszcze ciężkie ofiary – mówił – ale nieza długo – bo piętnastego, w dzień naszej Królowej losy odwrócą się w naszą stronę«”^{*}.

Następnego dnia pułk trafił na pole walki pod Ossowem i wziął udział w chaotycznej strzelaninie, z niewiadomych względów uważanej do dzisiaj za ważny punkt bitwy warszawskiej. Faktem pozostaje, że polscy dowódcy opanowali panikę, a jedna z kompanii batalionu ochotniczego zdołała wyrzucić Rosjan z okopów, które najeźdźcy wcześniej zdobyli. Podczas kontrataku poległ ksiądz Skorupka, jednak relacje na temat jego śmierci są co najmniej sprzeczne. Najbardziej heroiczne brzmią jak klasyczna bogoojczyźniana legenda, stworzona ku pokrzepieniu serc.

„Szedł wyprostowany – wspominał dowódca kompanii, porucznik Mieczysław Słowikowski – a usta jego poruszały się lekko. Prawdopodobnie odmawiał modlitwę [...]”. Za

^{*} M. Tarczyński, *Studium historyczne określające obszar i przebieg działań bojowych pod Leśniakowizną i Ossowem 13–14 sierpnia 1920 r. toczonych w ramach bitwy warszawskiej*, Warszawa 2006, s. 38.

nami z okrzykiem hurra biegła kompania. Zdawało mi się, że ksiądz Skorupka potknął się o bruzdę i upadł na ziemię”^{*}.

W bardzo podobny sposób przedstawił śmierć kapłana jeden z żołnierzy pułku, Zygmunt Twarowski:

„Pamiętam, 14 sierpnia ruszyliśmy na hura, na bolszewików. Na przedzie szedł ksiądz Ignacy Skorupka z krzyżem w rękę i dowódca batalionu, a my za nimi lecieliśmy do ataku. Wtedy bolszewicy otworzyli ogień z karabinów maszynowych. Byliśmy na otwartym polu, więc żołnierze zaczęli padać jak muchy. W końcu musieliśmy się cofnąć – ci, którzy jeszcze żyli. Ksiądz Skorupka i dowódca nie cofnęli się. Po pewnym czasie bój ustał, Sowieci wstrzymali ogień”^{**}.

Następnego dnia w komunikacie Sztabu Generalnego ogłoszono, że ksiądz poległ, idąc na czele kontrataku. Wydaje się to w pełni zrozumiałe, gdyż zapewne takie informacje dotarły do sztabu. Z drugiej jednak strony, śmierć kapelana maszerującego na czele polskich żołnierzy z krzyżem w rękę stanowiła wręcz nieprawdopodobny kapitał propagandowy. Trudno bowiem sobie wyobrazić lepszy symbol niż młody – w chwili śmierci miał 27 lat – i popularny ksiądz ginący na czele swoich podopiecznych w walce z bolszewikami. Maszerujący ku przeznaczeniu bez broni, obrońca niepodległości i wiary, które chcieli zdeptać bolszewicy. Walcząca Polska potrzebowała podobnych symboli, zatem natychmiast powstała legenda, a ksiądz stał się ikoną wojny polsko-rosyjskiej.

Tym tropem poszedł Wojciech Kossak, malując w 1930 roku *Cud nad Wisłą*. W centralnej części obrazu umieścił postać księdza na czele atakujących oddziałów. W niebiosach nie

* E. Kospath-Pawłowski, P. Matusak, D. Radziwiłowicz, *8 Dywizja Piechoty w dziejach Oręża Polskiego*, Pruszków 1997, s. 22.

** W. Świątkiewicz, *Obrońca spod Ossowa*, <https://bielsko.niedziela.pl/artykul/39619/nd>.

zabrakło oczywiście postaci Matki Boskiej w otoczeniu husarii, ani polskiego samolotu ostrzeliwującego bolszewików, który dziwnym trafem nie zawadza swoim skrzydłem o skrzydła husarzy. Oczywiście musiał być także Józef Piłsudski na Kasztance, obserwujący wraz ze sztabem bitwę. W efekcie, w okresie międzywojennym legenda księdza, który zginął, prowadząc atak na bolszewickie hordy, zapadła w powszechną świadomość.

Warto jednak zauważyć, że podopieczni księdza w ogóle nie zauważyli, że kapłan poległ. Gdyby w rzeczywistości szedł na czele kontrataku i padł, byłoby to dostrzeżone przez wielu uczestników walki. Tymczasem młodzi żołnierze 236. Pułku walczyli jeszcze przez kilka kwadransów, zanim dostali wsparcie, i nie zachowały się bieżące relacje na temat śmierci księdza. Natomiast cytowane wcześniej przekazy powstały znacznie później i raczej miały na celu utrwalenie legendy.

Ignacy Skorupka faktycznie zginął na linii frontu, ale nie maszerując na czele kontrataku, tylko podczas wypełniania obowiązków kapłańskich. Najbardziej chyba wyważoną relację przedstawił Władysław Pobóg-Malinowski, historyk, a do tego uczestnik wojny z Rosjanami: „W rzeczywistości zginął śmiercią bardziej godną kapłana, ugodzony bowiem został zabłąkaną kulą w chwili, gdy w jakichś opłótkach, pochylony nad ciężko rannym żołnierzem, udzielał ostatnich pociech religijnych”^{*}.

Zastanawiający pozostaje fakt, że nigdy nie podjęto procesu beatyfikacyjnego kapłana, co raczej mogło wskazywać na bezpośredni udział księdza w walce. Jednak bohaterzy narodowi niespecjalnie nadają się na świętych czy

^{*} W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945*, Londyn 1956, s. 329.

błogosławionych, gdyż często pojawiałyby się problem z udowodnieniem heroiczności cnót kandydata. Ksiądz Ignacy Skorupka funkcjonuje w powszechnej świadomości jako bohater wojenny, ale nie człowiek świętobliwy, „choć nie można mu odmówić osobistej świętości”^{*}. Zresztą związki z polityką, a szczególnie z działaniami wojennymi bardzo źle rokują na szanse rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego. Swoje zrobił też fakt, że dziewiętnaście lat po śmierci Skorupki Polska straciła niepodległość, a w czasach komunizmu próba beatyfikacji bohatera wojny z czerwoną Rosją zwiększyłaby napięcia na linii państwo–Kościół.

Być może nie był to zbyt długi okres jak na standardy Kościoła, bardziej jednak zadziwia fakt, że w tym czasie nie wystawiono kapłanowi w Warszawie pomnika. Działania w tej sprawie rozpoczęto stosunkowo późno i tuż przed wybuchem II wojny światowej zgromadzono część materiałów. Monument – finansowany ze środków z publicznej zbiórki – miał stanąć na Pradze przy dworcu Wileńskim, jednak do września 1939 roku nie rozpoczęto prac. Po wojnie wykorzystano materiały przy pomniku Braterstwa Broni, czyli słynnych Czterech Śpiących ustawionych w miejscu planowanego monumentu bohaterskiego kapłana. Na szczęście w listopadzie 2011 roku, przy okazji budowy warszawskiego metra, pomnik ten został zdemontowany i trafił do Muzeum Historii Polski. Natomiast kilka lat wcześniej odsłonięto pomnik księdza Skorupki przed praską bazyliką katedralną. Kapłan został na nim przedstawiony w wersji kanonicznej, czyli gdy z krzyżem w ręku prowadzi natarcie na bolszewików. Jak widać, legendy mają bardzo długie życie.

^{*} *Nie każdy bohater to święty*, <https://www.niedziela.pl/artykul/31166/nd/Nie-kazdy-bohater-to-swiety>.

Jak Polacy organizowali pogromy Żydów?

Polski antysemityzm wybuchł z ogromnym nateżeniem w latach 1919–1920. Ucierpieli lojalni obywatele Rzeczypospolitej, a większość zaburzeń nie była niczym sprowokowana i miała na celu wyłącznie rabunek.

Zwolennicy teorii o odwiecznym polskim antysemityzmie powinni zastanowić się nad pytaniem, dlaczego to właśnie tereny Rzeczypospolitej były obszarem, na którym przez stulecia osiedlała się ludność żydowska. Przecież gdyby faktycznie miały tutaj miejsce ciągłe pogromy, Żydzi znaleźliby inne tereny osadnicze. Polska ludność bez wątpienia była mniej niechętnie ustosunkowana do Żydów niż Rosjanie, na ziemiach polskich nie obowiązywały – jak w imperium rosyjskim – żadne strefy osiedlenia, ani nie zakazywano Żydom osiedlania się w miastach. Nie urządzano też inspirowanych przez władze czy policję cyklicznych pogromów, jak chociażby w Rosji w latach 1881–1884, a wydarzenia w Warszawie czy Białymstoku były niechlubnymi wyjątkami potwierdzającymi regułę.

Nie można jednak ukryć faktu, że gdy odrodzona Polska prowadziła wojnę z niemal wszystkimi sąsiadami, dochodziło

do antyżydowskich wystąpień. Niemalą rolę odgrywało przekonanie o „żydokomunie” działającej na rzecz bolszewików, co nie do końca było niezgodne z prawdą. Przedstawiciele żydowskiej inteligencji czy proletariatu stanowili bowiem duży procent wśród działaczy komunistycznych, a zwolennicy bolszewików byli szczególnie widoczni, gdy Armia Czerwona opanowywała kolejne miasta. W efekcie, gdy Wojsko Polskie odbijało zajęty teren, czasami miejscowa ludność brała odwet za okres rządów bolszewików.

Do pierwszego pogromu w pełnym tego słowa znaczeniu doszło jeszcze u schyłku 1918 roku we Lwowie. Milicja żydowska popierająca Ukraińców nie została poinformowana, że ci 22 listopada ewakuowali miasto, i jej członkowie otworzyli ogień do polskich żołnierzy. Incydent ten spowodował napaść na dzielnicę żydowską.

„Smutny objaw zdziczenia zaobserwować można w mieście – relacjonował 23 listopada »Kurier Lwowski«. – Szumowiny społeczeństwa, a wśród nich wielu przebranych w mundury wojskowe, rabuje sklepy i rozbija ich zawartość. Patrole legionowe wkraczają, lecz na razie trudno im zapobiec we wszystkich wypadkach. W nocy aresztowano sporo osób powracających do domu z łupami. Dziś rano w okolicy placu Krakowskiego i ulicy Żółkiewskiej powtórzyły się oburzające sceny rabunkowe. Legioniści strzałami rozpędzają tłumy rzucające się na sklepy”^{*}.

Widok zdemolowanej dzielnicy i skutków pożaru był koszmarny, miasto stało się świadkiem scen, jakich we Lwowie jeszcze nie widziano. Wprawdzie dwadzieścia lat wcześniej zdarzały się ekscesy antyżydowskie w Galicji, ale nie w stolicy prowincji. Teraz lwowianie nie mogli

^{*} „Kurier Lwowski”, nr 516, 23.11.1918, wydanie wieczorne.

uwierzyć własnym oczom, widząc, co dzieje się na ulicach ich miasta.

Rabusie grasowali głównie w dzielnicy żydowskiej, jednak nie tylko. Nie oszczędzali także sklepów „chrześcijańskich”, nawet w centrum miasta. Splądrowany został znajdujący się na parterze hotelu George sklep „eleganckich wyrobów modniarskich” Szalkiewicza.

Uczciwie trzeba przyznać, że reakcja polskich władz wojskowych była mocno spóźniona. Sądy doraźne ustanowiono dopiero następnego dnia, a informację o nich rozplakatowano dzień później.

Nad ranem 24 listopada oddziały wojskowe przywróciły spokój w dzielnicy żydowskiej, zatrzymując pierwszego dnia pogromu aż 1600 osób, a następnego dnia jeszcze 1300. Liczby te pokazują skalę problemu, z jakimi musieli zmierzyć się obecni we Lwowie polscy dowódcy. Zapewne zabrakło stanowczości w tłumieniu ekscesów. Raport amerykańskiej komisji rządowej z 1919 roku dotyczący antyżydowskich wystąpień w Polsce podkreślał, że na przeszkodzie przywrócenia porządku stanął brak dyscypliny wśród polskich oddziałów oraz niedostateczne zdecydowanie młodszych oficerów co do stosowania ostrych środków karnych.

Napad na dzielnicę żydowską był w pewnym sensie skutkiem wcześniejszych wydarzeń. W październiku 1918 roku stan bezpieczeństwa publicznego we Lwowie był bardzo niski. Na obrzeżach miasta grasowały grupy dezerterskie, natomiast na przedmieściach królowali bandyci, którzy „rabowali ulicę za ulicą, kwartał za kwartałem – i to w sposób systematyczny i planowy”*. Wobec skali przestępczości i rozpadu struktur państwa austro-węgierskiego lwowska policja była właściwie

* B. Mękarska-Kozłowska, *Burza nad Lwowem*, Londyn 1992, s. 180.

bezsilna. Obawiano się nawet, że przestępcy i dezterterzy opadną miasto, ale uprzedzili ich Ukraińcy. Sytuację pogarszał fakt, że w listopadzie 1918 roku w mieście znajdowało się około tysiąca kryminalistów, którzy wydostali się z więzień.

Raport amerykańskiej komisji wspominał o wpływie pogłosek, że Żydzi strzelali do żołnierzy polskich, na nastroje antysemityczne w mieście oraz o dezterterach i kryminalistach zwolnionych przez Ukraińców z więzień. Uznano, że „te właśnie podejrzane elementy splądrowały domy i sklepy w dzielnicy żydowskiej, dokonując grabieży na kwotę milionów koron; gdy napotymano opór, nie wahano się mordować”^{*}.

Mordy i grabieże w dzielnicy żydowskiej Lwowa odbiły się głośnym echem na całym świecie, a prasa w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej wyolbrzymiała liczbę ofiar. Pisano o setkach, a nawet o tysiącu zabitych, zresztą nie bez powodu. Dziennikarze niemieccy i austriaccy pragnęli skompromitować Polskę, natomiast środowiska żydowskie starały się wykorzystać lwowską tragedię jako element walki o przyznanie Żydom w Polsce autonomii narodowej (niezwiązanej z konkretnym terytorium).

Lwowski Żydowski Komitet Ratunkowy podawał liczbę 73 ofiar śmiertelnych, natomiast raport lwowskiej Dyrekcji Policji mówił o 44 zabitych i zmarłych z ran. Nie byli to jedynie Żydzi, wśród ofiar było bowiem 11 chrześcijan. Potwierdzały to bandycki charakter ekscesów. Nieznana jest także liczba żydowskich milicjantów, którzy stracili życie 22 i 23 listopada. Strzelanina z obrońcami Lwowa spowodowała ofiary, jednak dane na ten temat są niemożliwe do ustalenia.

^{*} M. Urynowicz, *Raport Henry'ego Morgenthau. Przemoc antyżydowska podczas wojny z Rosją Bolszewicką*, „Biuletyn IPN” 11/2010, s. 73.

Wojskowe sądy doraźne miały orzekać karę śmierci dla schwytanych na rabunku, grabieży i gwałtach. W następnych dniach „Kurier Lwowski” doniósł jednak tylko o trzech przypadkach. Na śmierć zostali skazani Feliks Lehożycki, Jan Pasternak i Aleksa Ryniukowa.

Podczas ekscesów w dzielnicy żydowskiej aresztowanych zostało prawie trzy tysiące osób. Oskarżeniem objęto tylko 79, z czego większość stanowiły kobiety. W gronie oskarżonych znalazło się także ośmiu wojskowych, a 55 osób było wyznania rzymskokatolickiego. Fakt ten wskazywałby, że wśród winnych grabieży i zabójstw byli zatem nie tylko Polacy, ale także Ukraińcy.

Wiosną 1919 roku Sądy Polowe skazały na śmierć niejakich: Lewickiego, Czerniewicza i Adamczuka za zabójstwa i rabunki podczas pogromu Żydów. Przez niespełna rok od tragicznych wydarzeń w dzielnicy żydowskiej za przestępstwa wówczas dokonane skazano 164 osoby, a wśród nich było dziesięciu Żydów. Kary wymierzano niskie, do półtora roku pozbawienia wolności. Sądy wojskowe okazały się bardziej surowe – żołnierzy skazywano na 3 lata więzienia.

Wprawdzie lwowski pogrom nie dotyczył bezpośrednio wojny polsko-rosyjskiej z lat 1919–1920, ale dobrze oddawał stosunki polsko-żydowskie w tych latach. Tym bardziej że nie opadły jeszcze emocje, gdy w kwietniu 1919 roku doszło do masakry w Pińsku, a jej sprawcami było tym razem regularne Wojsko Polskie. Miesiąc po odbiciu miasta z rąk bolszewików, gdy obowiązywał zakaz zgromadzeń, do dowodzącego 34. Pułkiem Piechoty majora Aleksandra Narbuta-Łuczyńskiego dotarła informacja, że w Domu Ludowym odbywa się zebranie komunistycznej bojówki. Faktycznie, w budynku zgromadziło się kilkudziesięciu Żydów, którzy podobno obradowali na temat rozdziału amerykańskiej pomocy. Dla majora

Łuczyńskiego liczył się jednak fakt, że zebrani nie mieli zgody na spotkanie, a do tego odbywało się ono za zamkniętymi drzwiami. Na dodatek jego uczestnicy odmówili wpuszczenia żołnierzy na salę, a także rozejścia się. W efekcie zostali aresztowani, a 35 z nich Łuczyński polecił rozstrzelać bez sądu pod katedrą. Rozkaz został wykonany.

Bez wątpienia dokonano zbrodni. Starając się zrozumieć jej motywy, możemy jedynie zauważyć, że trwała wojna i polski dowódca chciał dać odstrasżający przykład. Tym bardziej ze bolszewicy byli w pobliżu.

Inne wydarzenia były natomiast spowodowane przez zwolenników komunistów. Szesnastego kwietnia, w czasie walk o Lidę, z żydowskich domów ostrzeliwano polskich żołnierzy. Chociaż później tłumaczono, że to bolszewicy prowadzili ogień bez zgody mieszkańców, to po zajęciu miasta doszło do regularnego pogromu, w którym zginęło 39 osób.

W tych dniach doszło także do ekscesów antyżydowskich w Wilnie opanowanym przez „Śmigłego” Rydza. Po dwudniowych walkach bolszewicy wycofali się z miasta, pozostawiając swoich zwolenników na pastwę zwycięskich Polaków. Nad Wilią zjawił się także Józef Piłsudski, ale nawet on nie potrafił uspokoić antysemitycznych nastrojów, choć w liście do premiera Ignacego Paderewskiego starał się bagatelizować sytuację: „Znacznie gorzej było z Żydami, którzy przy panowaniu bolszewickim byli warstwą rządzącą. Z wielkim trudem wstrzymałem pogrom, który wisiał po prostu w powietrzu z powodu tego, że ludność żydowska strzelała z okien i dachów i rzucała stamtąd granaty ręczne”^{*}.

W rzeczywistości Piłsudski mijał się z prawdą, gdyż polscy żołnierze przez cztery dni dewastowali żydowskie cmentarze,

* A. Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989, s. 187.

sklepy i mieszkania. Według oświadczenia gminy żydowskiej zginęło wtedy ponad 50 osób (zdarzają się szacunki mówiące o 80 zabitych), a jedną z ofiar był żydowski dramaturg i działacz Bundu, Ajzik Meir Deweniszski (A. Wajter), którego zwłoki leżały w rynsztoku dwa dni. Wtedy też aresztowano i internowano co najmniej kilkuset Żydów, a wielu z nich przetrzymywano w odosobnieniu – w fatalnych warunkach – przez kilka miesięcy.

Podpisany przez Henry'ego Morgenthau raport amerykańskiej komisji badającej antyżydowskie wystąpienia w Polsce – nie pada w nim określenie „pogrom” – stwierdzał: „Do Wilna oddziały polskie weszły 19 kwietnia. Miasto przejęto ostatecznie po trzech dniach walk ulicznych, w których zginęły 33 osoby. W tym czasie zabito też 65 Żydów. Z badań wynika, że żadna z tych osób – wśród nich były cztery kobiety i ośmiu ponad pięćdziesięcioletnich mężczyzn – nie służyła bolszewikom. [...] Zostało jednakże stwierdzone w imieniu rządu, że cywilni mieszkańcy Wilna wzięli udział w walkach po obu stronach i że niektórzy z nich strzelali do żołnierzy. Polscy żołnierze w ciągu trzech dni weszli do ponad 2 tys. żydowskich domów, zrabowali je, a mieszkańców pobili”^{*}.

Dwaj członkowie komisji Morgenthau: generał Edgar Jadwin i profesor Homer H. Johnson w swoim odrębnym raporcie stwierdzili: „Dotarło do nas wiele zeznań naocznych świadków potwierdzających przekonanie, że Żydzi aktywnie wspierali bolszewików i że strzelali z ukrycia podczas walk ulicznych”^{**}.

^{*} M. Urynowicz, *Raport Henry'ego Morgenthau. Przemoc antyżydowska podczas wojny z Rosją Bolszewicką*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”, 11/2001, s. 74.

^{**} https://en.wikisource.org/wiki/Mission_of_The_United_States_to_Poland:_Jadwin_and_Johnson_report.

Tymczasem sporządzone przez gminę żydowską memorandum podawało, że żadna z zabitych osób nie była uzbrojona. Nie można jednak w żaden sposób zweryfikować tej informacji. W wymianie ognia z polskimi żołnierzami najprawdopodobniej musieli zginąć także i Żydzi. Wznowiony po wyzwoleniu miasta „Dziennik Wileński” tak relacjonował wydarzenia ostatnich dni: „Oprócz moskiewskich »czubaryków« działali po stronie nieprzyjacielskiej i miejscowi żydzi-komuniści, odznaczali się szczególną zaciekłością i z poszczególnych domów ostrzeliwali oddziały polskie tak, że prawie każdy dom na Wielkiej, Niemieckiej i innych ulicach trzeba było literalnie zdobywać”^{*}.

Do zaburzeń antyżydowskich dochodziło i w innych miastach, także tych niezagrożonych bezpośrednio przez bolszewików. Utrwaliło się przekonanie, że Żydzi są zwolennikami Rosjan, co fatalnie wpłynęło na postrzeganie lojalności żołnierzy, a szczególnie oficerów tej narodowości.

Zgodnie z uchwałą Sejmu z czerwca 1920 roku stopnie oficerskie mogły nosić wyłącznie osoby narodowości polskiej. W efekcie usuwano Żydów z niektórych formacji wojskowych, a apogeum tej akcji przypadło na dni bitwy warszawskiej. W chwili zagrożenia państwa, 16 sierpnia 1920 roku, minister spraw wojskowych generał Kazimierz Sosnkowski wydał poufny rozkaz zorganizowania w Jabłonie pod Warszawą miejsca odosobnienia dla „niepewnych elementów” w Wojsku Polskim. Twórcą obozu był Wojskowy Gubernator Warszawy generał Franciszek Latinik, który polecił usunąć Żydów z podległych sobie oddziałów i kierować ich do Jabłonny. Wprawdzie oficjalnie tłumaczono, że skoszarowano tam nadwyżki wojska, ale była to próba

^{*} „Dziennik Wileński”, 23.04.1919.

pozbycia się ludzi, do których nie miano zaufania. Łącznie trafiło tam aż 17 tysięcy poborowych, żołnierzy i oficerów, których traktowano brutalnie, a nadzorców dobierano pod kątem ich antysemityzmu.

Obóz został zlikwidowany po niespełna miesiącu pod wpływem presji międzynarodowej, ale sprawa była głośna przez cały okres międzywojenny.

Polacy nie byli jednak wyjątkiem, a ludność żydowska cierpiała także od innych wojsk walczących na Kresach. Niezależnie od tego, czy byli to „biali” Rosjanie, Ukraińcy czy bolszewicy – gwałty, rabunki i zbrodnie były na porządku dziennym. To była okrutna wojna, a wiele miejscowości wielokrotnie przechodziło z rąk do rąk.

„Wczoraj byli tu Kozacy esaula Jakowlewa – opisywał Izaak Babel sytuację w zajęтым przez Konarmię Komarówie. – Urządzili pogrom. Rodzina Dawida Zysa. W mieszkaniu leży starzec o wyglądzie proroka, nagi, chrypiący astmatycznie, starucha z rozplątanym gardłem, dziecko z odrąbanymi palcami, niektórzy jeszcze dyszą, słodkawy i mdlący odór krwi, wszystko splądrowane, chaos, matka nad zarżniętym synem, zgięta w kabłąk staruszka, cztery trupy w szopie, krew pod czarną brodą, pławią się w krwi. [...] Piętnaścioro zabitych: 70-letni Icek Galer, Dawid Zys – 45-letni szames, jego żona i 15-letnia córka. Dawid Trost, rzezak, jego żonę zgwałcono”^{*}.

Izaak Babel był korespondentem wojennym i jako Żyd zwracał uwagę na cierpienia swoich pobratymców. Dostrzegął jednak fakt, że mordowali nie tylko Polacy czy „biali” Rosjanie, ale także jego koledzy z Konarmii. A niektóre opisy do dzisiaj szokują, nawet na tle innych relacji z okrucieństw

^{*} I. Babel, *Dziennik 1920*, Warszawa 1998, s. 157–158.

wojny. „Tuż przed moimi oknami – relacjonował Babel wydarzenia z Beresteczka – kilku Kozaków rozstrzeliwało za szpiegostwo starego Żyda ze srebrną brodą. Starzec skowytał i wrywał się. Wówczas Kudria z plutonu karabinów maszynowych wziął go za głowę i wetknął ją sobie pod pachę. Żyd przycichł i rozkraczył nogi. Kudria prawą ręką wyciągnął kindżał i zarznął starca ostrożnie, żeby się nie zabryzgać”^{*}.

Konarmia – wycofana pod koniec września 1920 roku z frontu polskiego i wysłana na Krym – dokonała serii pogromów, a sprawa stała się na tyle głośna, że Budionny musiał aresztować i postawić przed sądem niektórych oficerów. Zresztą na Ukrainie działy się najdziksze antyżydowskie ekscesy, zgodnie z tradycją pogromów sięgających czasów powstania Chmielnickiego, które nie bez powodu nazwano „małym Holokaustem”. Jak obliczają badacze, w efekcie zbrodni dokonywanych przez: „białych”, „czerwonych” i Ukraińców w latach 1918–1920 doszło do około 1,5 tysiąca pogromów, w których zamordowano minimum 50 000 Żydów. Najwyższe szacunki podają liczbę nawet 5 razy wyższą.

Kwestię lojalności ludności żydowskiej na terenach centralnej Polski poruszył też Józef Piłsudski w wywiadzie udzielonym niebawem po bitwie warszawskiej dla „Kurierza Porannego”: „Żydzi nie wszędzie zachowywali się źle. W Łomży i w Mazowieckim dzielnie stawiali opór bolszewikom. [...] Rozstrzelali oni kilku. [...] Natomiast rzecz dziwna, jak wiele w Polsce, tuż obok w sąsiedztwie: w Łukowie, w Siedlcach, w Kałuszynie, w Białymstoku, dalej we Włodawie, miały miejsce liczne, czasem nawet masowe, ze strony Żydów wypadki zdrady stanu”.

^{*} I. Babel, *Beresteczko*, w: *Portret własny*, Warszawa 1994, s. 215.

Nie można ukryć, że podczas wojny z Rosjanami w polskich miastach dochodziło do krwawych, antyżydowskich wystąpień. Polacy nie różnili się pod tym względem od bolszewików czy Ukraińców. Patrząc na motywy tych zamieszek, należy przyjąć fakt, że część społeczności żydowskiej popierała Rosjan. Polski antysemityzm miał też wyraźnie mniejszy zasięg, co nie oznacza, że należy ten temat pomijać lub ignorować.

Czy bitwa warszawska faktycznie zakończyła wojnę?

To bitwa warszawska zadecydowała o losach wojny polsko-rosyjskiej. Późniejsze walki toczono były dużo mniej intensywnie i bardziej leniwie. Nie miały już zresztą większego wpływu ani na losy wojny, ani na wynik rozmów pokojowych.

Gdy Michaił Tuchaczewski cofał się w popłochu spod Warszawy, od południa nadchodziło kolejne poważne zagrożenie. Operowała tam 1. Armia Konna Budionnego, której dowódca do tej chwili niespecjalnie miał ochotę do marszu na północ.

Nie byli tym także zainteresowani: dowódca Frontu Południowo-Zachodniego Aleksandr Jegorow, ani jego komisarz – Iosif Stalin. Cała trójka chciała przede wszystkim zdobyć Lwów i kompletnie ignorowała rozkazy płynące z Moskwy oraz polecenia Tuchaczewskiego. Dopiero 20 sierpnia zdecydowano się zrezygnować z prób zdobycia Lwowa, by skierować Armię Konną na kilkudniowy odpoczynek. Następnie zarządzono przemarsz w okolice Sokała, co łącznie zajęło tydzień.

Siemion Budionny ruszył na Warszawę dopiero 27 sierpnia, a do tego fatalnie układała się jego współpraca z XII Armią,

która miała dołączyć do Konarmii. Oboma związkami operacyjnymi zarządzał bowiem Tuchaczewski przebywający wówczas w Mińsku Litewskim i niemający dobrego rozeznania sytuacji. Ponadto dokonano zmiany na stanowisku dowódcy XII Armii: dawnego podpułkownika armii carskiej Gaspara Woskanowa zastąpił komisarz Nikołaj Kuźmin.

Wszystko wskazywało na to, że Budionny będzie miał łatwą drogę do Warszawy. Naprzeciwko niego znajdowała się tylko polska 3. Armia generała Zygmunta Zielińskiego, która nie wydawała się zbyt groźnym przeciwnikiem. Składała się bowiem z 7. Dywizji Piechoty, ukraińskiej 6. Dywizji Piechoty, rosyjskiej Brygady Kozaków Dońskich oraz grupy bojowej generała Stanisława Bułak-Bałachowicza. Polskie dowództwo czuwało jednak nad sytuacją i 3. Armie wzmocniono niebawem 2. Dywizją Piechoty Legionów oraz 10. Dywizją Piechoty. Pierwsza z nich znajdowała się wcześniej w odwodach Naczelnego Wodza, natomiast drugą skierowano niezwłocznie po zakończeniu walk o Radzymin.

Trzeba przyznać, że generał Zieliński miał sporo szczęścia, gdyż niewiele brakowało, by wzmocnienia nie dotarły do niego na czas. Jednak wieczorem 28 sierpnia, gdy Konarmia pojawiła się pod Zamościem, w mieście znajdował się już jeden z pułków 10. DP. Dołączył on do słabej liczebnie ukraińskiej 6. DP, której dowódca Marko Bezruczko dowodził obroną miasta. Walki o Zamość trwały trzy dni, po czym Budionny rozpoczął odwrót. Nie miał wyboru, gdy bowiem atakował Zamość, Polacy rozpoczęli otaczanie jego Konarmii.

W tym samym czasie chorego generała Zielińskiego zastąpił Władysław Sikorski, a z północy transportem kolejowym nadjeżdżały kolejne wzmocnienia (9. i 18. DP). Jednak musiało upłynąć jeszcze kilka dni, zanim posiłki dotarły. Znacznie szybciej na froncie pojawiła się 13. Dywizja Piechoty

z 6. Armii, wcześniej walcząca pod Lwowem. Ważne było również wsparcie kawalerii, dlatego spod Lwowa przybyły dwie brygady 1. Dywizji Jazdy pod dowództwem pułkownika Juliusza Rómmła oraz kolejne dwie z 2. Dywizji Jazdy znad Wkry. Dowodził nimi pułkownik Gustaw Orlicz-Dreszer.

Konarmia poruszała się jednak tak szybko, że kontakt bojowy z Budionnym nawiązała tylko 1. Dywizja Jazdy i 13. Dywizja Piechoty. Rosjanie nie potrafili się przebić przez pozycje polskich piechurów i w tej sytuacji część Konarmii uderzyła na polską jazdę.

Trzydziestego pierwszego sierpnia 1920 roku pod Komarowem doszło do ostatniej w dziejach Europy bitwy kawalerii. Przewaga była po stronie Rosjan, mieli około 4 tysięcy ludzi (choć pojawiają się też informacje, że ich siły były o 50% większe), natomiast po stronie polskiej walczyło niespełna 1,5 tysiąca jeźdźców. Właściwie były to dwa starcia: poranne i popołudniowe.

Walka rozpoczęła się od spotkania 7. Brygady Jazdy z dwiema dywizjami Konarmii. Pomimo rosyjskiej przewagi spieszeni Polacy skutecznym ogniem zmusili Rosjan do odwrotu, następnie konno prowadzili pościg. Gdy trafiali na umocnione pozycje, na pomoc przychodziła im artyleria konna. Celny ogień zadawał przeciwnikowi duże straty, bateria złożona z czterech dział mogła wystrzelić jeden pocisk na sekundę. W pewnej chwili zaczęła się jednak kończyć amunicja i wówczas jeźdźcy Budionnego przeszli do kontrataku. Sytuację ocaliła 6. Brygada Jazdy, która pojawiła się na placu boju i odrzuciła Rosjan.

Sytuację uznano za opanowaną i 6. Brygadę Jazdy odeślano na północ. Wtedy jednak Budionny ponownie uderzył. Tym razem ze względu na dużą przewagę liczebną zaatakowano białą broń. Wydarzenia, jakie wówczas miały miejsce,

przypominały pola bitew z dawnych epok. Do walki stanął nawet osobiście płk Rómmel ze swoim sztabem.

„[...] Sowieci wyszli z lasu [...] i ustawili się do ataku – opisywał brytyjski historyk Norman Davies. – Była to bardzo nerwowa chwila. Czerwona kawaleria wyła, gwizdała i szczekała szablami w prawdziwie kozackim stylu. Polacy jeszcze opatrywali rany. 9. Pułk Ułanów, który najbardziej ucierpiał w boju, ruszył z kopyta, by wygrać wyścig przed starciem. Ułani wpadli na nadeżdżające szeregi i zmieszały się z nimi, walczono w starciu za pomocą rewolwerów, sztyletów, a nawet gołych rąk, by wysadzić przeciwnika z siodła. Okrzyk »Hurra!« po prawej ogłosił przybycie galopem 8. Pułku Ułanów Krzeczunowicza [8. Pułk Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego], po którym pojawił się 1. Pułk (Krechowiecki) z samym Rómmlem na czele. Jakimś sposobem 9. Pułk [z 7. Brygady Jazdy] wykrzesał siły, by wydostać się ze zwarcia i zaszarżować ponownie. Sowiecka 6. Dywizja runęła do tyłu, pozostawiając za sobą pole zasłane ludzkimi i końskimi szczątkami. Był to spektakl, jakiego Europa nie oglądała już nigdy więcej”*.

W całodzienniej bitwie polskie straty wyniosły 300 zabitych i rannych żołnierzy oraz 500 koni. Straty rosyjskie nie są znane.

Armia Konna Siemiona Budionnego została pobita, ale nie zniszczona. Poległa jednak większość dowódców, a jedynie połowa żołnierzy przedarła się na wschód. Większość z nich dysponowała jednym koniem na dwóch. Należał do nich korespondent wojenny i pisarz Izaak Babel, który stracił łączność ze swoim oddziałem. W Sitańcu, w towarzystwie kwatermistrza sztabu, sterroryzował wiejską kobietę, żądając

* N. Davies, *Orzeł biały, czerwona gwiazda*, Kraków 1997, s. 233.

żywności. Uciekinierzy otrzymali chleb i mleko, zaraz jednak musieli opuścić chatę.

„Nie zdążyliśmy nawet zjeść połowy – wspominał – gdy na dworze zaczęły bić wystrzały. Było ich mnóstwo. Biły długo i obrzydły nam. Skończyliśmy mleko i Wołkow wyszedł, aby dowiedzieć się, co się dzieje.

– Osiodłałem twojego konia – odezwał się do mnie przez okno – mojego podziurawili, że trudno lepiej. Polacy ustawiają kulomioty o sto kroków od nas.

W ten sposób został nam jeden koń na dwóch. Ledwo wyniósł nas z Sitańca. Siadłem na siodło. Wołkow ułożył się z tyłu [...]

– Przegraliśmy kampanię – mruczy Wołkow i zaczyna pochrapywać.

– Tak – odpowiadam^{7*}.

Wprawdzie Rosjanie próbowali odbudować siły i morale Konarmii, ale ostatecznie wycofano ją z frontu, powierzając zadania typowo policyjne. Potem jeźdźcy Budionnego trafili na Krym, gdzie walczyli przeciwko „Białym” Rosjanom.

Bitwa pod Komarowem nie zakończyła walk w Małopolsce. Dzięki przysłanym z północy 9. DP i 18. DP kontynuowano wypieranie Rosjan na wschód. Przy okazji polskie dowództwo chętnie stosowało „nowinki” techniczne: 11 września 1920 roku Kowel został zdobyty przez formacje zmotoryzowane. Rajdu z odległego o 80 kilometrów Włodzimierza Wołyńskiego dokonały dwa bataliony piechoty przewożone samochodami ciężarowymi, kompania samochodów pancernych i dwie baterie artylerii. Po dwóch dniach miasto zostało opanowane, a przy okazji w ręce polskie dostała się stacja kolejowa wraz ze zgromadzonymi tam zapasami. W efekcie

* I. Babel, *Opowiadania odeskie*, Warszawa 1988, s. 157–159.

rosyjska XII Armia straciła możliwości zaopatrzeniowe i bez większych problemów została wypchnięta za Zbrucz.

O tych sukcesach specjalnie nie wspominało w polskiej historiografii, a zdecydował o tym fakt wiarołomstwa wobec ukraińskiego sojusznika. W walkach brały bowiem udział dywizje Ukraińskiej Republiki Ludowej, jednak strona polska nie zdecydowała się na kolejną próbę marszu na wschód. Nie było możliwości militarnych, a przy okazji zmieniły się także priorytety polityki Warszawy. Nie było już mowy o projektach federacyjnych, zatem Ukraina blisko związana z Polską nie miała racji bytu. Inna sprawa, że duży wpływ na decyzje polskich polityków miały wydarzenia na froncie północnym, a ściślej mówiąc, nad Niemnem.

Wojsko Polskie pojawiło się tam wkrótce po bitwie warszawskiej, nie odniesiono jednak pełnego sukcesu. Rosjanie utrzymali przyczółki na zachodnim brzegu Niemna, a Tuchaczewski planował już nową ofensywę. Wychodził z odwiecznego założenia rosyjskich przywódców: chociaż przegrano bitwy, jednak „mięsa armatniego” w Rosji było pod dostatkiem. Rozumowanie było zresztą jak najbardziej słuszne, przekonał się o tym w przeszłości Karol XII i Napoleon, a dwie dekady później Adolf Hitler.

Tuchaczewski miał rację, tym bardziej że polskie dowództwo musiało skierować część sił na południe. Ponadto wydłużyły się linie zaopatrzeniowe, żołnierze byli przemęczeni, a do tego doszedł jeszcze normalny w takich warunkach element rozprężenia. Polskie jednostki wprowadzić długo cofały się przed wrogiem, ale po zwycięstwie pod Warszawą wielu oficerów i żołnierzy lekceważyło przeciwnika, uznając, że nie stanowi już większego zagrożenia.

Tuchaczewski tymczasem reorganizował podległe sobie siły, wiedząc, że jeżeli jako pierwszy odzyska potencjał

bojowy, będzie miał dużą przewagę. Nie tylko zresztą militarną, ważny był także element psychologiczny. I to zarówno dla jego podwładnych, jak i dla przeciwnika.

Z tego faktu zdawało sobie sprawę także polskie dowództwo i to ono wygrało wyścig z czasem. Zadecydowano, że natarcie przeprowadzi 2. Armia generała Edwarda „Śmigłego” Rydza wspierana od południa przez część 4. Armii. „Śmigły” miał uderzyć na północy korytarzem pomiędzy granicą Republiki Litewskiej a Grodnem, by po zdobyciu przeprawy na Niemnie dojść do Lidy leżącej 100 kilometrów za linią frontu. W okolicach miasta miał się połączyć z atakującymi od południa dywizjami 4. Armii i w ten sposób doprowadzić do okrążenia czterech armii rosyjskich dowodzonych przez Tuchaczewskiego. Początek ofensywy wyznaczono na 22 września.

Warto przyrzeć się bliżej siłom „Śmigłego”. Jego 2. Armia słusznie uchodziła za najsilniejsze zgrupowanie Wojska Polskiego. W jej skład wchodziło sześć doborowych dywizji: 1. DP Leg., 3. DP Leg., 17. DP, Dywizja Górską, 1. Dywizja Litewsko-Białoruską i Dywizja Ochotniczą. Do tego dochodziły jeszcze dwie brygady kawalerii, a także podporządkowana „Śmigłemu” Grupa Artylerii Ciężkiej. Również trzy dywizje wielkopolskie z 4. Armii (14. DP, 15. DP, 16. DP) uznawano za całkiem dobre, natomiast oficerowie i żołnierze 11. Dywizji Piechoty chcieli za wszelką cenę pomścić porażki spod Radzymina.

Zadbano o zachowanie tajemnicy, przemieszczano się wyłącznie pod osłoną nocy, biwakowano w lasach, nie poinformowano nawet żołnierzy o prawdziwym celu koncentracji. W zamian ogłoszono, że przygotowywana jest akcja wyzwania Suwalszczyzny spod okupacji litewskiej.

Jak to jednak bywa na wojnie, nie każdy plan można zrealizować dokładnie według wcześniejszych założeń.

Dwudziestego września próbowano przesunąć w kierunku Grodna artylerię ciężką, co spotkało się ze zdecydowanym przeciwdziałaniem Rosjan. Tuchaczewski właśnie kończył przygotowania do własnej ofensywy i pod Grodnem miał przewagę liczebną. W efekcie doszło do gwałtownej bitwy spotkaniowej i cała operacja rozpoczęła się przed wyznaczonym terminem. Przez kolejne dni Rosjanie wysłali w okolice miasta niemal całość swoich sił. Pojawiły się tam nie tylko odwody, ale nawet dywizje zajmujące wcześniej pozycje na skrzydłach.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzięki nerwowym rozkazom Tuchaczewskiego polska 4. Armia, która uderzyła na południe od Grodna, bez problemu rozbiła przeciwnika. Rosyjski dowódca skierował tam posiłki napływające z Rosji, popełniając w ten sposób poważny błąd. Nie wiedział, że na północy rozpoczęło się uderzenie dywizji „Śmigłego”. Nie miał zresztą prawa wiedzieć, gdyż bolszewicy przekazali Suwalszczyznę Republice Litewskiej. Gdy zatem 22 września dwie dywizje piechoty i dwie brygady kawalerii rozpoczęły natarcie, nie napotkano oporu. Co więcej, Litwini nie mogli nawet powiadomić Tuchaczewskiego o sytuacji.

Rosjanie dowiedzieli się o wszystkim dopiero dwa dni później. Wprawdzie usiłowali wysłać na północ dwie dywizje spod Grodna, jednak niebawem ich marsz zamienił się w ucieczkę. Wieczorem kolejnego dnia, 25 września, Tuchaczewski zrozumiał, że nie ma innego wyjścia i wydał rozkaz do odwrotu. Niemen został sforsowany, a Grodno wyzwoliła Dywizja Ochotnicza.

Nie oznaczało to końca walk, chociaż 28 września Lidę obsadziła 1. DPLe. Jej żołnierze musieli natychmiast podjąć się obrony miasta przed wycofującymi się spod Grodna bolszewikami. Lidę atakowały cztery rosyjskie dywizje, jednak

każda z nich na własną rękę. W panującym zamieszaniu nie było jednolitego dowództwa ani żadnej współpracy. W efekcie co kilka godzin Polacy odprawiali celnym ogniem kolejną dywizję, której żołnierze zaszywali się w lasach, po czym poddawali się lub ratowali się ucieczką na wschód. Oczywiście bez taborów, zapasów i artylerii. Pod Lidą poległo 70 polskich żołnierzy, a rannych zostało około 300, natomiast wzięto do niewoli 10 tysięcy jeńców. Do tego zdobyto 67 karabinów maszynowych, 40 dział i ponad 2 tysiące wozów taborowych.

To było decydujące zwycięstwo, Tuchaczewski nie miał możliwości powstrzymania ucieczki swoich wojsk. Polacy prowadzili pościg, ale jego impet słabł z każdym dniem. Była już jesień, deszcze zaczynały rozmywać drogi, żołnierze byli coraz bardziej zmęczeni. Wprawdzie 2. Armia dotarła do granicy z Łotwą, a 4. Armia do Mińska Litewskiego, ale trwały już rozmowy o zawieszeniu broni. Ostatecznie nastąpiło to 18 października 1920 roku.

Czy bunt generała Żeligowskiego pogorszył sytuację międzynarodową Polski?

Zajęcia Wileńszczyzny Litwini nigdy Polakom nie wybaczyli. Z tego powodu nie nawiązano stosunków dyplomatycznych z Kownem aż do 1938 roku, a w Europie Polska zaczęła być postrzegana jako państwo, którego przywódcy nie dotrzymują podpisanych traktatów. Opanowanie, a potem przyłączenie Wilna do Rzeczypospolitej do dzisiaj zresztą rzutuje na stosunki polsko-litewskie.

Sporu o miasto nad Wilią nie można rozpatrywać tylko w kontekście rywalizacji pomiędzy Polską a Republiką Litewską. Wprawdzie faktycznie oba państwa aspirowały do Wilna, ale dużą rolę odgrywali też Rosjanie. Nie bez powodu w lipcu 1920 roku, gdy Armia Czerwona maszerowała na zachód, politycy z Kremla zobowiązali się do przekazania miasta i okolicy Litwinom. Zyskali w ten sposób wdzięczność polityków z Kowna, którzy ochoczo wyrazili zgodę na prze-marsz wojsk rosyjskich przez swoje terytorium. Wprawdzie

Republika Litewska nie wspierała zbrojnie Rosjan, ale nie zachowała też neutralności, a pragnienie posiadania historycznej stolicy Litwy okazało się silniejsze od zdrowego rozsądku. Tym bardziej że już wówczas wśród litewskich komunistów pojawiały się propozycje „wyzwolenia Kowna” spod władzy miejscowego rządu.

Wprawdzie Polska na początku lipca 1920 roku na konferencji w Spa musiała oficjalnie wyrzec się Wilna, ale zrobiła to pod presją mocarstw. Nie tylko zresztą Wilna i Wileńszczyzny. Premier Władysław Grabski uznał linię Curzona jako wschodnią granicę Polski, a także zgodził się na niekorzystne rozwiązania w sprawie Gdańska i Śląska Cieszyńskiego. Zapłacił zresztą za to dymisją ze stanowiska, a z perspektywy czasu okazało się, że obiecana pomoc Zachodu była znacznie mniej ważna niż miliony naboju karabinowych przysłanych przez Węgry.

Tymczasem Rosjanie okupowali Wilno jeszcze w sierpniu i dopiero po klęsce pod Warszawą zainstalowała się tam litewska administracja. Wcześniej bolszewicy nie spieszyli się z realizacją zobowiązań wobec Kowna, wychodząc z założenia, że po zwycięstwie nad Polską nastąpi eksport rewolucji na cały kontynent, a Litwa i tak wejdzie w skład czerwonego imperium. Polski triumf ocalił litewską niepodległość, z czego wszyscy, poza politykami z Kowna, doskonale zdawali sobie sprawę.

Piłsudski jako Naczelnik Państwa musiał respektować zobowiązania przyjęte w Spa, ale nie zamierzał się pogodzić z faktem, że Wilno i Wileńszczyzna pozostały w rękach Litwinów. Wprawdzie wolałby widzieć odnowione Wielkie Księstwo sfederowane z Rzeczpospolitą, z Wilnem jako jego stolicą, ale musiał dostosować się do sytuacji. Oczywiście wielkie znaczenie miały osobiste sentymenty marszałka, jednak

najważniejsza była kalkulacja polityczna. Wileńszczyzna w rękach polityków z Kowna, którzy współpracowali z Sowiecami, zagrażała bezpieczeństwu Rzeczypospolitej, gdyż bliska współpraca Litwy z Kremlem groziła okrążeniem Polski od północy. Na to Marszałek nie mógł pozwolić.

Dodatkowym problemem byłoby pozostawienie tysięcy Polaków z Wileńszczyzny pod obcym panowaniem, a znając stosunek Litwinów do naszej kultury i języka, oznaczałoby to ich przymusową lituanizację. Ponadto nasi rodacy stanowią na Wileńszczyźnie dominującą narodowość, zatem nie powinni być potraktowani przez władze w Warszawie inaczej niż Polacy ze Lwowa czy Stanisławowa?

W tej sytuacji Piłsudski uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie metoda faktów dokonanych, i zaplanował „spontaniczny bunt” żołnierzy pochodzących z Wileńszczyzny. Dawało to wątpliwe alibi na potrzeby opinii publicznej krajowej i zagranicznej, ale przecież na teren okupacji litewskiej nie mogło oficjalnie wkroczyć Wojsko Polskie.

Do wykonania zadania potrzebny był dowódca cieszący się autorytetem, a do tego związany z Wileńszczyzną. Na szczęście Naczelnik miał właściwego kandydata, a był nim generał Lucjan Żeligowski.

Wybraniec Piłsudskiego urodził się w Oszmianie, 50 kilometrów od Wilna. Nad Wilią uczęszczał do gimnazjum, potem rozpoczął służbę w wojsku rosyjskim, gdzie dosłużył się stopnia pułkownika. Po powstaniu polskich formacji wojskowych w Rosji został dowódcą brygady w I Korpusie Polskim, a potem pod jego komendą znalazła się zorganizowana na Kubaniu 4. Dywizja Strzelców. Był to jedyny z powstałych w Rosji związków taktycznych, który do Polski dotarł z bronią w rękę.

Brał udział w wojnie z bolszewikami i nigdy nie pogodził się z okupacją rodzinnej Wileńszczyzny przez Litwinów.

Uważał nawet, że „my, obywatele naszej ścisłej ojczyzny Litwy nie mogliśmy nawet wrócić do domu swego, w którym usadowił się obcy naród żmudziński, protegowany przez Niemców i odnoszący się wrogo do wszystkich, którzy służyli w szeregach polskich”^{*}.

Piłsudski znał poglądy generała, wobec czego wezwał go do siebie i 1 października polecił objęcie dowództwa Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Była ona złożona głównie z członków dawnych samoobron Wilna i Grodna, co miało decydujące znaczenie dla powodzenia całej akcji.

„Marszałek ocenił sytuację – wspominał Żeligowski. – Bolszewicy oddali Wilno rządowi kowieńskiemu. Polska nie może nic zrobić, gdyż nie pozwolą na to państwa koalicji i ponieważ w Spa Wilno zostało przez rząd polski oddane Litwie. Jeżeli teraz Wilna nie wyratujemy, to historia nam tego nie daruje. I nie tylko Wilna. [...] Marszałek uważał, że tylko ja to mogę zrobić. Tylko, pamiętać należy, że wszystkich mamy przeciwko sobie, nawet społeczeństwo polskie, które nie rozumie sprawy litewskiej. «Może nastać chwila – mówił Marszałek – kiedy będzie Pan miał przeciwko sobie nie tylko opinię świata, ale i Polski. Może nastąpić chwila, że nawet ja będę zmuszony pójść przeciwko Panu. Trzeba to wszystko wziąć na siebie. Tego nie mogę rozkazać. Takich rzeczy się nie rozkazuje». Po krótkim namyśle powiedziałem, że biorę na siebie całą sprawę”^{**}.

W następnych dniach operacja wileńska zaczęła przybierać realne kształty. Do tajemnicy dopuszczono generałów: Edwarda „Śmigłego” Rydza, Leona Berbeckiego i Jana Rządковского oraz pułkownika Adama Koca. Ustalono, że

^{*} L. Żeligowski, *Zapomniane prawdy*, Londyn 1943, s. 33–34.

^{**} L. Żeligowski, *Notatki z Roku 1920*, w: „Niepodległość”, t. 3, Londyn 1951, s. 164–165.

działania Żeligowskiego będą miały charakter buntu przeciwko rozkazom Naczelnego Wodza. Do zajęcia Wilna wyznaczono 14 tysięcy żołnierzy, których osłaniać miały siły liczące 65 tysięcy. Po rozpoczęciu operacji Żeligowski miał wtajemniczyć w plany działania oficerów swojej dywizji.

Nie wszyscy z nich byli zadowoleni z udziału w „buncie”. Tym bardziej że 7 października zostało zawarte porozumienie o zawieszeniu broni pomiędzy wojskami polskimi i litewskimi walczącymi na Suwalszczyźnie. Wyznaczona linia demarkacyjna docierała do Bastun na wysokości Wilna, wobec czego Litwini uznali, że miasto pozostanie po ich stronie. Jednak w treści porozumienia suwalskiego wyraźnie stwierdzono, że rozejm ma stan tymczasowy obowiązujący do czasu ostatecznego uregulowania stosunków między oboma państwami. Przy okazji zaznaczono też, że linia rozgraniczenia nie przesądza o późniejszej przynależności państwowej spornych terenów. Co jednak nie przeszkodziło, by w późniejszych latach Litwini oskarżali Polaków o złamanie rozejmu, który z niewiadomych powodów nazywali układem.

Poza tym był jeszcze pewien szczegół, którzy politycy z Kowna dyskretnie przemilczali. Porozumienie miało zacząć obowiązywać od 10 października, a Żeligowski rozpoczął marsz na Wilno dzień wcześniej. Do tego generał nie naruszył linii demarkacyjnej, gdyż nie sięgała ona do terenów, na które wkroczyły polskie oddziały. Ale politycy Republiki Litewskiej bez skrupułów przeinaczali fakty, gdy było to dla nich wygodne.

Ich podwładni Litwini najwyraźniej nie zamierzali umierać za Wilno, gdyż doszło tylko do jednej większej potyczki, a miasto nie było specjalnie bronione. Ponadto uaktywnili się polscy powstańcy, którzy opanowali część Wilna jeszcze przed przybyciem oddziałów Lucjana Żeligowskiego.

Dziewiątego października po południu „buntownicy” wkroczyli do miasta, a poszczególne pułki wręcz prześcigały się o zaszczyt pierwszeństwa. Po obu stronach zginęło łącznie pięćdziesięciu żołnierzy, a wziętych do niewoli Litwinów Polacy wypuścili, zwracając im broń...

„W całym mieście zapanował bezgraniczny entuzjazm – wspominał Żeligowski. – Cała ludność wysypała się na ulice. Pieśni, okrzyki i płacz mieszały się ze sobą. Z wojska i ludności zrobił się jeden wielki tłum. Każdy chciał coś mówić, coś ofiarować drugiemu. Szeregi stanęły. Żołnierzom całowano ręce, ściskano, obejmowano [...] Jakaś kobieta, biegnąc i coś wykrzykując, w pośpiechu wsunęła mi do ręki kawałek chleba, jacyś chłopcy karmili mego konia”^{*}.

Administracja litewska ewakuowała się z miasta, przekazując swoje uprawnienia przedstawicielom Ententy. Spodziewano się, że dzięki temu miasto nie zostanie włączone do Polski, gdyż groziło to konfliktem z mocarstwami zachodnimi. Żeligowski jednak kompletnie zignorował protesty szefa francuskiej misji wojskowej, twierdząc, że przybył do miasta bronić praw mieszkańców Wileńszczyzny. Obecność jego wojsk miała umożliwić im swobodny wybór przynależności państwowej, oświadczył zresztą, że w razie konieczności oprze się „na ludności i własnych karabinach”.

Dwunastego października generał proklamował powstanie Litwy Środkowej. Jej godło nawiązywało do skomplikowanej historii Wileńszczyzny, znalazło się bowiem na nim miejsce zarówno dla polskiego Orła, jak i litewskiej Pogoni.

„Nie pytano nas – stwierdzał generał w odezwie do ludności Wileńszczyzny – czy chcemy iść pod władzę rządu kowieńskiego, czy pragniemy mieć u siebie rządy litewskie.

^{*} L. Żeligowski, *Zapomniane prawdy...*, s. 38.

Rozporządzono się nami bez nas. [Dlatego] według swej woli, według istotnych potrzeb ludności określimy los naszej ziemi, postanowimy sami, jaki ma być u nas rząd i jaki będzie nasz stosunek do Polski i do Litwy Kowieńskiej”^{*}.

Lucjan Żeligowski został naczelnym dowódcą sił zbrojnych nowego państwa, a dwa dni później przedstawiono skład Tymczasowej Komisji Rządzącej, którą stworzyli członkowie miejscowych ugrupowań politycznych. W jej skład nie weszli jednak endecy oraz przedstawiciele ziemiaństwa.

Prasa polska, bez względu na orientację polityczną, z reguły przychylnie przyjęła działania Żeligowskiego. Niemal bezkrytycznie uwierzono w spontaniczny „bunt”, chociaż rozważano, jakie stanowisko powinny zająć polskie władze. Przeważały jednak opinie, że był to akt sprawiedliwości dziejowej, pojawiały się nawet nawoływania, by Żeligowski poszedł za ciosem i ruszył na Kowno. Nie zabrakło również porównań generała do włoskiego poety i polityka Gabriela d’Annunzio, który rok wcześniej na czele ochotników i wbrew woli Ententy opanował Fiume (Rijekę), co miało z czasem doprowadzić do wcielenia miasta do Włoch.

Zajęcie Wilna wywołało gwałtowne i krytyczne reakcje Zachodu – protestowali przeciw niemu na audiencji w Belwederze przedstawiciele Francji i Wielkiej Brytanii. Nie przyniosło to rezultatu, a Piłsudski wydał oświadczenie dla prasy:

„Jeżeli alianci zechcą oddać Wilno Litwie bez wysłuchania woli ludności – będę widział się zmuszonym złożyć wszelkie godności i jako obywatel Wileńszczyzny spełnić swój obowiązek”^{**}.

^{*} „Dziennik Urzędowy Tymczasowej Komisji Rządzącej”, nr 1, 17.11.1920.

^{**} J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937, t. 5, s. 173.

Francuzi i Anglicy nie mogli sobie pozwolić, by Piłsudski, który właśnie pokonał Armię Czerwoną, opuścił nagle stanowiska państwowe. Zachód popierał bowiem wówczas „białych” generałów w wojnie domowej w Rosji, a Polska była zbyt ważnym elementem antybolszewickiej układanki. Z tego też powodu wycofali się z nacisków na oddanie Wilna Litwinom i temat niebawem zniknął.

Natomiast Komendant jeszcze kilka dni po „buncie” Żeligowskiego tłumaczył współpracownikom, że nadal istnieją dwa rozwiązania kwestii Wilna: utworzenie federacji – przeciw której opowiadają się zarówno Litwini, jak i Polacy – albo wcielenie do Polski. Oceniał, że w Wilnie Litwini mogliby rządzić wyłącznie za pomocą terroru, a temu Polska nie mogłaby się przyglądać beczynn timer.

Politycy z Kowna nie zamierzali przystać na powołanie Litwy Środkowej i rozpoczęli przygotowania do ofensywy, która miała przywrócić im Wilno. Żeligowski nie czekał, uprzedził uderzenie, a kontratak przeciwnika zakończył się klęską. Żeligowski zaproponował rozmowy pokojowe, co Litwini odrzucili. Kolejna ofensywa podjęta w połowie listopada doprowadziła siły polskie na odległość 50 kilometrów od Kowna, ale dalszy marsz okazał się niemożliwy. Zawiodła logistyka, a do tego pojawiły się silne naciski międzynarodowe. Również Warszawa uznała, że sytuacja zaczyna być niebezpieczna, wobec czego pod koniec miesiąca podpisano rozejm.

Wbrew pozorom utworzenie Litwy Środkowej, tak wrogo przyjęte przez Litwinów, było ich ostatnią szansą na zachowanie Wilna. Pojawił się bowiem projekt przewodniczącego Rady Ligi Narodów Paula Hymansa, przewidujący utworzenie Wielkiej Litwy złożonej z dwóch kantonów: polskiego i litewskiego. Rząd z Kowna postawił jednak kategoryczny warunek: Wilno miało należeć do kantonu litewskiego, a zatem

odrzućli ofertę. Belgijski polityk zaproponował więc, by Wileńszczyzna przypadła Litwie, ale jako teren autonomiczny. Na to z kolei nie zgodziła się Warszawa.

W tej sytuacji dla Polaków pozostawała tylko jedna droga: włączenie Wilna i Wileńszczyzny do Rzeczypospolitej. Żeby uniknąć wrażenia, że wybory do Sejmu Wileńskiego będą odbywać się pod polskim nadzorem, Żeligowski wyjechał do Warszawy, przekazując władzę zwierzchnią miejscowemu ziemianinowi Aleksandrowi Meysztowiczowi. Gdy delegat Ligi Narodów próbował skłonić go, by przekazał władzę w Wilnie Litwinom, generał odparł, że w takim przypadku musiałby powrócić nad Wilię na czele kilku dywizji wojska.

Wybory do Sejmu Litwy Środkowej odbyły się na początku stycznia 1922 roku. Zostały zbojkotowane przez miejscowych Litwinów, co i tak nie miało większego wpływu na ich wynik. Głosowanie wygrali zwolennicy przyłączenia Wileńszczyzny do Polski, a zwolennicy dalszego samodzielnego bytu państwa zdobyli niewiele mandatów. W tej sytuacji 20 lutego podjęto uchwałę, że ziemia wileńska stanowi „bez warunków i zastrzeżeń nierozdzielną część Rzeczypospolitej Polskiej”.

Trzeciego marca uchwalono w Warszawie Akt złączenia Ziemi Wileńskiej z Rzeczpospolitą Polską, podpisany przez członków polskiego rządu i delegatów Sejmu Litwy Środkowej. Rok później Rada Ambasadorów reprezentująca rządy Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, Stanów Zjednoczonych i Japonii uznała wschodnie granice Polski, w tym również tę z Republiką Litewską.

Cała sprawa do dzisiaj wzbudza kontrowersje świadczące o niezrozumieniu kontekstu politycznego i etnicznego. Piłsudski nie mógł dopuścić do sytuacji, że w przypadku pozostawienia Wileńszczyzny Republice Litewskiej Armia

Czerwona w ciągu kilku godzin znajdzie się na jej terytorium, by uderzyć na Polskę od północy. Warto przypomnieć, że w lipcu 1920 roku Rosjanie przekazali Wilno Republice Litewskiej. Układ ten był potwierdzany i przedłużany trzykrotnie w latach 1926–1934, a jego konsekwencją był pakt z 10 października 1939 roku, na mocy którego Republika Litewska wzięła udział w rozbiórze Rzeczypospolitej po klęsce wrześniowej!

Ponadto rodzi się pytanie: skoro walczoneo do upadłego o polski Lwów, dlaczego inaczej miano by postąpić w przypadku polskiego Wilna? Przecież Litwinów było w tym mieście procentowo pięć razy mniej niż Ukraińców nad Pełtwią. Podobnie jak w okolicach miasta. Fakt, że Lwów uznaje się za słusznie przyłączony do Polski, a Wilno już niekoniecznie, był i jest przejawem relatywizmu czy wręcz schizofrenii politycznej. I nie ma w tej kwestii nic do rzeczy fakt, że ostatecznie nie powstało państwo ukraińskie. Gdy bowiem toczyły się ciężkie walki o Lwów, takie państwo przecież istniało (a nawet dwa) i nie wiadomo było, jak potoczą się wydarzenia w przyszłości.

Litwini okazali się zresztą pojętnymi uczniami Piłsudskiego i w styczniu 1923 roku wywołali powstanie w Kłajpedzie znajdującej się pod administracją Ligi Narodów. Siłą zajęli miasto i wcale nie słyszeć, by mieli zamiar przeproszać Ligę Narodów. I chyba wcale nie z tego powodu, że ta już nie istnieje...

Czy Polacy przegrali pokój w Rydze?

Polacy wygrali wojnę, ale przegrali pokój. Zwycięstwa osiągnięte na polach bitew zostały zmarnowane przez naszych negocjatorów w Rydze. Sowietci chcieli nam oddać ziemię, które odpowiadały mniej więcej linii Dmowskiego, a nasza delegacja z nich zrezygnowała, twierdząc, że w Polsce będzie za dużo mniejszości. Straciliśmy szansę na odzyskanie Mińszczyzny i Żytomierszczyzny.

Osiemnastego marca 1921 o godz. 20.30 w Rydze, w pałacu Czarnogłowców – zburzonym potem w czasie „wyzwalania” Rygi przez Armię Czerwoną i niedawno odbudowanym – podpisano pokój kończący wojnę. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski ratyfikował go 16 kwietnia. W traktacie uzgodniono przebieg wschodniej granicy Polski, jednak nie był to dokument ostatecznie regulujący jej przebieg. 87. artykuł Traktatu Wersalskiego postanawiał, że: „Granice Polski, nie określone w niniejszym Traktacie, będą oznaczone później przez Główne Mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone”. A mocarstwa sprzymierzone zaakceptowały polską granicę – co

interesujące, na wniosek premiera Włoch Benita Mussoliniego – dopiero w marcu 1923 roku.

W traktacie ryskim postanowiono, że Rosja wypłaci Polsce – jako rekompensatę za rozbiory – 30 milionów rubli w złocie, z czego nigdy się nie wywiązała, oraz odda zagrabione dzieła sztuki, z czego wywiązała się częściowo. Do Polski wróciły między innymi: arras wawelskie, miecz koronacyjny Szczerbiec i pomnik księcia Józefa Poniatowskiego.

Zgodnie z art. XII traktatu „mienienie państwowe wszelkiego rodzaju, znajdujące się na terytorium jednego z układających się państw, albo podlegające reewakuacji do tego państwa na podstawie niniejszego traktatu stanowi jego niesporną własność. Za mienie państwowe uważa się wszelkiego rodzaju mienie oraz prawa majątkowe samego państwa, jakoteż wszelkich instytucji państwowych, mienie i prawa majątkowe, apanażowe, gabinetowe, pałacowe, wszelkiego rodzaju mienie i prawa majątkowe byłego cara rosyjskiego i członków byłego domu carskiego, wreszcie wszelkiego rodzaju mienie i prawa majątkowe nadane przez byłych carów rosyjskich”. Oznaczało to, że Rzeczpospolita stała się właścicielem wszelkiego majątku pozostałego w jej granicach, a należącego uprzednio do państwa rosyjskiego, zarówno carskiego, jak i republikańskiego. Na tej podstawie własnością polską stała się na przykład Katedra Polowa Wojska Polskiego (wcześniej – cerkiew prawosławna).

Ważne były także ustalenia dotyczące wymiany ludności. Do 1924 roku do Rzeczypospolitej wróciło ponad milion osób, mniej więcej po równo: Ukraińców, Białorusinów, Żydów i Polaków. Tych ostatnich pozostało w Rosji około półtora miliona, z czego wielu rozproszonych po Syberii i ponad pół miliona mieszkających na Żytomierszczyźnie oraz Mińszczyźnie.

Po podpisaniu traktatu bardzo szybko podniosły się głosy krytyki, twierdzące, że „Polacy wygrali wojnę, ale przegrali pokój”. Krytykowali głównie Polacy, w właściwie – tylko Polacy. Można więc odnieść mylne wrażenie, że strona rosyjska była z postanowień traktatu zadowolona. Oczywiście łatwo to wyjaśnić, biorąc pod uwagę panującą w Rosji Sowieckiej ścisłą cenzurę. W Polsce chętnie dyskutowano o pokoju ryskim, zwłaszcza że polscy delegaci reprezentowali różne ugrupowania polityczne. Delegacji przewodniczył Jan Dąbski, człowiek prawicy, związany z Romanem Dmowskim. Leon Wasilewski – który odegrał równie istotną rolę podczas negocjacji – był przyjacielem i współpracownikiem Józefa Piłsudskiego. Podobnie jak Piłsudski dążył do utworzenia państw buforowych, przyjaznych Polsce i oddzielających ją od Rosji. Jan Dąbski nie miał natomiast nadmiernych żądań terytorialnych, ponieważ pragnął jednolitej Rzeczypospolitej, w której Polacy stanowiliby większość obywateli. Jednak to, co miało być dowodem wstrzemięźliwości i rozsądku, zostało określone mianem kapitulantstwa, a nawet zdrady.

Postawa Jana Dąbskiego podczas negocjacji ryskich spotkała się z krytyką nawet ze strony zwolenników Romana Dmowskiego. Jego autorstwa był bowiem projekt wytyczenia granic Polski tak, by dominowali w niej Polacy – tak zwanej linii Dmowskiego. Późniejsze studia wykazały, że „linia Dmowskiego” opierała się na niewłaściwych kalkulacjach, a sam autor wycofał się ze swojego pomysłu. Jednak winą za porzucenie tej koncepcji obarczono Jana Dąbskiego. Chodziły pogłoski, że podczas negocjacji Rosjanie proponowali Polsce przekazanie Mińszczyzny, a nawet Żytomierszczyzny. Jednak, nawet jeśli padła taka propozycja, to raczej jako część taktyki negocjacyjnej, by spowodować ferment wśród polskiej

delegacji. Polscy delegaci byli zgodni, ale niezgoda wśród historyków i publicystów trwa do dnia dzisiejszego.

Czy granice ryskie były dla Rzeczypospolitej korzystne? Zależy, z której strony spojrzeć. Była to w gruncie rzeczy granica II rozbioru z 1793 roku, pozostawiająca po wschodniej stronie szmat ziem należących do Rzeczypospolitej przed rokiem 1772. Polacy mogą więc uznawać, że nie odzyskano wszystkiego, co utracono w czasie rozbiorów. Z perspektywy rosyjskiej, Polacy uzyskiwali jednak bardzo wiele, bo tereny należące do Rosji od niemal półtora stulecia. Wielka Rosja zaczynała się na Bugu, a teraz te ziemie utraciła.

Właśnie z tej perspektywy należy oceniać pokój ryski – z perspektywy Bugu. Rosjanie – zarówno „Biali”, jak i „Czerwoni” – twierdzili, że zamierzają uszanować odrębność Polski. Te same twierdzenia podtrzymywane są przez historyków rosyjskich i dzisiaj. I jest to – z pewnymi zastrzeżeniami – prawda. Zastrzeżenia są jednak bardzo poważne. Po pierwsze: Rosjanie zamierzali uszanować jedynie odrębność terytorialną, po drugie: terytorium Rzeczypospolitej ograniczali do „ziem etnicznie polskich”, po trzecie: bardzo specyficznie rozumieli ten termin, po czwarte: ich zamierzenia zmieniały się dynamicznie – wraz z rozwojem sytuacji wojennej.

To ostatnie jest najłatwiejsze do zrozumienia: do połowy lipca 1920 roku – gdy walka toczyła się daleko od Bugu – politycy w Moskwie bardzo ostrożnie wyrażali się o swoich ambicjach wojennych. Po wrześniu 1920 roku również byli bardzo wstrzeмиęzliwi. Przez kilka tygodni lata tej wstrzeмиęzliwości nie było: celem Armii Czerwonej była nie tylko Warszawa, ale również Węgry, Austria i Niemcy.

Dla Moskwy „ziemie etnicznie polskie” to ziemie położone na zachód od granicy pomiędzy Królestwem Polskim a Cesarstwem Rosyjskim, linii wytyczonej w 1795 roku –

z późniejszymi zmianami – przez trzeci rozbiór Polski. Etniczność – skład narodowościowy – nie miał większego znaczenia. Na wschód od metaforycznego Bugu Polacy mieszkali w zwartych skupiskach, istniały całe powiaty – jeśli nie województwa – gdzie stanowili bezwzględną większość, ale z perspektywy Rosji nie były to ziemie etnicznie polskie.

Linie trzeciego rozbioru, czy też zachodnią granicę Królestwa, Rosjanie określali jako „linię Curzona”. Moskwa faktycznie łądziła Warszawę przesunięciem polsko-rosyjskiej granicy „na wschód od linii Curzona”, lecz oznaczało to zwrócenie Polsce najwyżej Białegostoku i Grodna – które nie były częścią Królestwa Polskiego – oraz Lwowa (który był częścią Galicji). Nie zamierzano zwrócić Polsce Wilna – w którym Żmudzinów/Litwinów mieszkało mniej niż 2%, czyli mniej więcej tyle, ile obecnie Chińczyków w Warszawie – miało ono należeć do Republiki Litewskiej.

Polska mogłaby więc istnieć, ale na wschód od Bugu: w granicach nieco powiększonego Królestwa Polskiego. Być może z Wielkopolską, ale raczej bez Pomorza i na pewno bez Śląska, bo komuniści – nawet „polscy” komuniści – chcieli, aby pozostał on w granicach Niemiec. Polski byłby Kraków i jego okolice, być może nawet Tatry. Cała wschodnia Małopolska – od Tarnopola, przez Lwów i Chełm, być może aż po Krynicę – znalazłaby się poza Polską. Mieszkała tam – czasem w śladowych ilościach – ludność ruska. Moskwa uznawała te ziemie za część „Wielkiej Rusi” i – jeszcze w czasach Wielkiej Wojny – nie kryła chęci jej podboju. Państwo polskie mogłoby więc istnieć, ale nie ma wątpliwości, że byłoby ono podporządkowane Rosji.

Jeśli spojrzeć na traktat ryski jak na pokój kończący polską wojnę o niepodległość, to sprawa jest oczywista: niepodległość Polski została tym układem zagwarantowana.

Jeśli patrzeć na traktat ryski jak na pokój kończący wojnę o granice, to sprawa również jest oczywista: Polska uzyskała korzystne granice na wschodzie. Warto zwrócić szczególną uwagę, że wcale nie chodziło o granice na centralnym „rosyjskim” odcinku, tylko o granice na jego peryferiach: o Wilno i Lwów. Gdyby nie zwycięstwo nad Rosją, potwierdzone w Rydze, wówczas Wileńszczyzna i Małopolska Wschodnia – bogate, zamieszkane w większości przez Polaków, kulturowo istotne prowincje – nie zostałyby przywrócone Polsce. Położone centralnie wobec Lwowa i Wilna Polesie miało niewielkie znaczenie gospodarcze i kulturowe.

Traktat ryski wieńczący wojnę polsko-rosyjską był sukcesem Rzeczypospolitej także z powodu dysproporcji sił. Wbrew temu, co obca propaganda stara się wmówić Polakom, Polska nie jest małym krajem, a Rosja nie jest supermocarstwem. Różnica pomiędzy oboma krajami – zarówno pod względem liczebności społeczeństwa, jak i potencjału gospodarczego – jest niemal dokładnie taka, jak pomiędzy Polską a Czechami. (Autorzy mają świadomość, że w porównaniu z Rosją „Poland cannot into space”, ale przecież Czesi – w porównaniu z Polską – nie mają marynarki wojennej). Wygrać wojnę toczoną przeciwko wrogowi silniejszemu 3 czy 4 razy – to nie zdarza się często.

O ile rozpatrywanie alternatyw historycznych nie jest błędem, to jest nim prezentyzm, czyli ocena wydarzeń historycznych z perspektywy współczesności. Nad stwierdzeniem, że nic nam nie przyszło z ustaleń ryskich, ponieważ przekreśliła je II wojna światowa, można zatem przejść do porządku dziennego. Ale warto też zauważyć, że chociaż Polska przegrała II wojnę światową, tracąc 45% swojego przedwojennego terytorium – czyli ziemie pomiędzy Bugiem a granicą ryską – to bez pokoju w Rydze klęska Polski w 1945 roku miałaby

jeszcze bardziej tragiczny wymiar. Przecież w zamian za utracone ziemie wschodnie otrzymaliśmy Ziemie Odzyskane, odpowiadające ponad połowie utraconej powierzchni. Bez pokoju ryskiego w 1921 roku w 2021 roku Polska nie miałaby ani Olsztyna, ani Szczecina, ani Wrocławia. Pod względem wielkości, liczebności mieszkańców i znaczenia plasowałyby się gdzieś pomiędzy Węgrami a Rumunią.

Władimir Lenin – przywódca ówczesnej Rosji – przedstawiając swoim towarzyszom warunki rozmów pokojowych w Rydze, powiedział: „jest to głęboka klęska, katastrofalna klęska, którą ponieśliśmy w wyniku całego rozwoju operacji”*. Pokój ryski był dla Polski wielkim zwycięstwem, ale – jak pokażemy to w kolejnym rozdziale – dla Rosji był jeszcze większą klęską.

* I. Jazborowska, *Od wojny do pokoju, w: Zapomniany pokój, traktat ryski. Interpretacje i kontrowersje 90 lat później*, red. S. Dębski, Warszawa 2013, s. 66.

Czy traktat ryski był sukcesem Rosji?

Dla Rosji, pomimo że przegrała wojnę, traktat ryski był korzystny. Pozostały przy niej ziemie polskie z I rozbioru. Dla Polski pokój był porażką, a nawet hańbą. Zdradziła swoich sojuszników, Ukraińców, i wspólnie z Rosją dokonała rozbioru Białorusi. Przekreśliło to ostatecznie szanse Ukrainy i Białorusi na niepodległość.

Ustalenia pokojowe krytykowali głównie Polacy: Rzeczpospolita rzekomo wygrała wojnę, ale przegrała pokój. Granice wydawały się niekorzystne, złoto nie zostało przez Rosjan zwrócone, wymiana ludności napotykała trudności. W Moskwie o ustaleniach ryskich nie dyskutowano, można było więc odnieść wrażenie, że Rosjanie są z pokoju zadowoleni.

Ale przecież „wolna dyskusja w Rosji” to oksymoron. Coś, co niemal się nie zdarza. Zresztą jak by mogło się zdarzyć, skoro pięciu rosyjskich sygnatariuszy traktatu pokojowego miało bardzo krótkie życie? Przewodniczący delegacji Adolf Joffe został doprowadzony do samobójstwa już w 1927 roku, trzech innych zamordowano podczas stalinowskich czystek i tylko jeden – Leonid Oboleński – zdołał uniknąć podobnego losu, umierając z przyczyn naturalnych w 1930 roku.

Pokój ryski krytykowali natomiast Ukraińcy i Białorusini. Podczas negocjacji Rosjanie zaproponowali – a Polacy zgodzili się – aby stroną ukraińską reprezentowała nie Ukraińska Republika Ludowa Symona Petlury, a marionetkowa Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka. Zostało to przez wielu uznane za zdradę, nawet Józef Piłsudski podobno skierował do oficerów ukraińskich słowa: „Panowie, ja was przepraszam. Ja was bardzo przepraszam”. Można tylko sobie wyobrazić, co czuli Ukraińcy...

Równie surowo oceniają traktat ryski Białorusini – przy najmniej ci, którzy reprezentują białoruski interes narodowy. Według nich nie można mówić o pokoju, a jedynie o rozbiorze ich państwa. Być może mają rację: Białoruś – ta we współczesnych granicach – została podzielona niemal na pół przez granicę polsko-rosyjską.

Nie zauważają jednak istoty problemu: nie byłoby Białorusi bez traktatu ryskiego. Białoruska Socjalistyczna Republika Sowiecka powstała wyłącznie na potrzeby negocjacji pokojowych w Rydze. Początkowo w jej skład wchodziła tylko Mińszczyzna, którą w wyniku jesiennych walk 1920 roku opanowali Polacy. Rosjanie chcieli ją odzyskać, obiecując zorganizowanie państwa białoruskiego. W Moskwie uważano, że Polacy mogą nie oddać tych ziem Rosjanom, ale powinni je oddać Białorusinom. Tak też się stało, ale Mińszczyzna okazała się zbyt mała i zbyt słaba gospodarczo na samodzielny byt. W kolejnych latach Moskwa przyłączała do niej ziemie wykrawane z Rosji: Witebsk, Mohylew i Homel. Pomiędzy rokiem 1921 a 1926 terytorium BSRS powiększyło się niemal trzykrotnie, a ludność – ponad trzykrotnie.

Ambicje były jednak większe – sięgały w głąb Polski, aż do Bugu. To były tereny nazywane „Zachodnią Białorusią”. I stanowi to wymiar polskiego zwycięstwa. Możemy żałować,

że w pokoju ryskim nie odzyskaliśmy całych Kresów, ale Moskwa straciła ziemie, które od wieków uznawała za swoje, a od półtora stulecia – kontrolowała. Po 1921 roku zachodnie granice Rosji – w postaci Związku Sowieckiego – były takie jak w końcu wieku XVIII. Pod względem znaczenia politycznego Rosja została jednak cofnięta do czasów jeszcze wcześniejszych – końca wieku XVII, czasów sprzed panowania Piotra I.

Dla Rosji traktat ryski był czymś więcej niż utratą terytorium i wpływów. Był katastrofą cywilizacyjną, obracającą w proch fundamenty państwa rosyjskiego. W 1478 roku książę moskiewski Iwan III Srogi przyjął tytuł „cara Wszechrusi” i od tej pory sensem istnienia państwa rosyjskiego było opանowanie wszystkich ziem ruskich. Kolejnych 450 lat dziejów Rosji można opisać właśnie w ten sposób: stopniowe opанowanie ziem należących niegdyś do Rusi. Wszystkie wojny prowadzone przez Rosję do tego w dużej mierze się sprowadzały: do odzyskania utraconych ziem.

To właśnie dlatego Polska stała się wrogiem Rosji. Niemal wszystkie „utracone ziemie ruskie” znalazły się bowiem pod panowaniem Wielkiego Księstwa Litewskiego, z którym Polska związała się unią lubelską. Upadek Rzeczypospolitej również związany jest z ideą „Wielkiej Rosji”. Do najazdu rosyjskiego w 1792 roku – i do rozbiorów – nie doszło dlatego, że Polacy reformowali rząd. Doszło dlatego, że Konstytucja 3 Maja likwidowała dwoistość Rzeczypospolitej. Przystawała istnieć Korona Królestwa Polskiego i Wielkie Księstwo Litewskie, a powstawała zjednoczona Rzeczpospolita Polska. Rosjanie nie mogli zgodzić się na to, aby „utracone ziemie ruskie” stały się częścią Polski.

Przez 450 lat Rosja jednoczyła to, co uznawała za ziemie ruskie. Jednym z podstawowych fundamentów tej polityki było negowanie odrębności narodowej Ukraińców

i Białorusinów. Według Moskwy i Petersburga byli to Rosjanie, czasem tylko Ukraińcy zasługiwali na podkreślenie odrębności jako „Małorosjanie”. Ta polityka przynosiła rezultaty: jedyną prowincją należącą w średniowieczu do Rusi, a nie podbitą przez Rosję do roku 1920, był Lwów. Tak niewiele brakowało!

Na drodze stanęli Polacy. Wiosną 1920 roku związali się sojuszem z Ukraińską Republiką Ludową. I chociaż Kijów udało się wyzwolić, to nie udało się odbudować ukraińskiego państwa. Jesienią 1920 roku wciąż dysponowało ono siłą zbrojną, rządem, międzynarodowym uznaniem oraz poparciem Rzeczypospolitej.

Co gorsze (dla Rosjan), Polacy zaczęli również odbudowywać Wielkie Księstwo Litewskie, czyli Białoruś. W październiku 1920 roku generał Lucjan Żeligowski wyzwolił Wilno i ogłosił powstanie Litwy Środkowej. Powinna stać się częścią potrójnego państwa: Litwa Zachodnia miała być kantonem zamieszkanym przez Żmudzinów, Litwa Środkowa – przez Polaków, a Litwa Wschodnia – przez Białorusinów.

Na początku negocjacji w Rydze Rzeczpospolita była przedstawicielem – i obrońcą – Białorusinów i Ukraińców. Rosjanie zareagowali bardzo szybko i przejęli tę rolę. Zamierzali odbudować oba państwa, jako Białoruską Socjalistyczną Republikę Rad oraz Ukraińską Socjalistyczną Republikę Rad. Odnieśli sukces, Polacy doznali porażki. Żadna ze stron nie zdawała sobie jednak sprawy z konsekwencji rosyjskiego „zwycięstwa” i polskiej „przegranej”.

Obie sowieckie republiki stały się organizmami bardzo trwałymi. Do grudnia 1922 roku USRS oraz BSRS były formalnie suwerennymi państwami, związanymi sojuszem z RFSRS, czyli Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republiką Sowiecką. W grudniu 1922 roku w Moskwie – po wielu

dyskusjach – podjęto decyzję o dalszej formie istnienia „ojczyzny komunizmu”. Porzucono pomysł jednej, niepodzielnej Rosji, matki wielu narodów. Zdecydowano się na powołanie Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. W jego skład weszła Rosyjska Federacyjna SRS, Ukraińska SRS, Białoruska SRS i – świeżo podbita – Zakaukaska Federacyjna SRS.

Ukraińska SRS oraz Białoruska SRS musiały istnieć, stały się bowiem – na podstawie traktatu ryskiego – podmiotem prawa międzynarodowego. Rosja gwarantowała ich niepodległość. Nie mogła ich teraz anektować – dokładnie tak samo, jak Cesarstwo Niemieckie nie mogło w 1871 roku anektować Luksemburga, którego niepodległość Prusy gwarantowały kilka lat wcześniej.

Traktat ryski przetrwał do 1945 roku, do czasów powołania Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ze strony sowieckiej jej państwami założycielskimi była także Ukraińska SRS oraz Białoruska SRS. O ile Ukraina była drugą po Rosji republiką ZSRS, to od Białorusi większy potencjał miał i Kazachstan, i Uzbekistan. Ale Ukraińska SRS i Białoruska SRS były – od czasów traktatu ryskiego – podmiotami prawa międzynarodowego.

Związek Sowiecki został rozwiązany w sierpniu 1991 roku, a na jego gruzach powstało 16 państw. Gdyby nie traktat ryski – wymuszający powstanie Związku Sowieckiego zamiast niepodzielnej Rosji – przemiany te wyglądałyby zupełnie inaczej. Na pewno zaś ukształtowana pokojem ryskim formuła Związku Sowieckiego miała olbrzymi wpływ na odzyskanie – lub nie – suwerenności. Niepodległość przypadła w udziale Ormianom – którzy mieli szczęście być Armeńską SRS – ale nie Czeczenom, którzy wchodzili w skład Rosyjskiej FSRS.

Prezydent Rosji Władimir Putin stwierdził piętnaście lat temu, że „największą katastrofą geopolityczną XX wieku

był rozpad Związku Sowieckiego w 1991 roku”. Minę pod ten gmach podłożyli Polacy w Rydze, w roku 1921. Niechęć prezydenta Putina do Polski i Polaków jest więc zrozumiała. Warto jednak pamiętać o tym, że większość rosyjskich zdobyczy utraconych w 1991 roku – niekoniecznie bezpowrotnie – to nabytki z połowy XIX wieku. Utratę ich można porównać do rany przykrej i bolesnej, ale na pewno nie śmiertelnej, a nawet nie ciężkiej.

Jednak Polacy zadali w Rydze Rosji ranę śmiertelną. W 1921 roku Moskwa bowiem po raz pierwszy zaakceptowała istnienie odrębnej Białorusi i Ukrainy. Po raz pierwszy od 450 lat podano w wątpliwość istnienie niepodzielnej Rosji. Czterysta pięćdziesiąt lat istnienia Rosji okazało się nie mieć sensu i trzeba go szukać na nowo. Czterysta pięćdziesiąt lat starań runęło w gruzy, Rosja została cofnięta do roku 1478, w jesień średniowiecza.

Dzisiejsza Rosja stara się odbudować swoją mocarstwową pozycję. W 2014 roku odzyskała Krym. W 2019 roku stała się eksporterem żywności brutto: w tym tempie za kilka lat stanie się eksporterem przetworzonej żywności, a więc osiągnie poziom sprzed pierwszej wojny światowej. Ideologom rosyjskim udało się również znaleźć nowy sens istnienia państwa rosyjskiego – jako wyzwoliciela spod opresji nazistowskiej narodów Europy, w tym Niemiec. Polska, negując rolę wyzwoliciela, popełnia – zdaniem Rosji – niewybaczalny błąd podważania sensu istnienia państwa rosyjskiego. Powtarza swój błąd z roku 1921.

W grudniu 2019 roku prezydent Białorusi Aleksandr Łukaszenka podał prezydentowi Rosji Władimirowi Putinowi czarną polewkę. Zjednoczenia Białorusi i Rosji nie będzie. Problemu w ogóle by nie było, gdyby nie istnienie niepodległej Białorusi. A niepodległa Białoruś powstała na mocy

traktatu ryskiego. Już niedługo może się okazać, że – według Moskwy – Polska jest największym wrogiem Rosjan, Ukraińców i Białorusinów: wymordowała rosyjskich żołnierzy, zdradziła Ukraińców i dokonała rozbioru Białorusi. Co więcej, może się okazać, że rozbiór Białorusi został dokonany wspólnie przez Polskę i Związek Sowiecki. Rosja natomiast ma, co oczywiste, czyste ręce...

Nie będzie w tym nic dziwnego. Wojna polsko-rosyjska, bitwa warszawska, traktat ryski sprawiły, że władze rosyjskie zaakceptowały istnienie niepodległych – przynajmniej formalnie – państw na Białorusi i Ukrainie. Czteryście pięćdziesiąt lat moskiewskich starań runęło w gruzy. Czteryście pięćdziesiąt lat istnienia Rosji okazało się nie mieć sensu...

Narody mogą się pojednać, Polacy i Rosjanie mogą czuć do siebie sympatię, ale państwo rosyjskie nigdy nie wybaczy Rzeczypospolitej.

Wybrana bibliografia

- Babel I., *Dziennik 1920*, Warszawa 1998.
- Basta A., *Na stos rzucili: relacje legionistów, powstańców, ochotników 1920 roku*, Warszawa 2000.
- Bitwa Lwowska 25 VII–18 X 1920. Dokumenty operacyjne*, [oprac.] A. Bartnik et al., [red.] M. Tarczyński; cz. I (25 VII–5 VIII), Warszawa 2002; cz. II (6 VIII–20 VIII), Warszawa 2002.
- Bitwa Lwowska i Zamojska. Dokumenty operacyjne*, cz. III (21 VIII–4 IX 1920), [oprac.] J. Cisek et al., [red.] M. Tarczyński, Warszawa 2009.
- Bitwa Niemeńska 29 VIII–18 X 1920. Dokumenty operacyjne*, [oprac.] A. Bartnik et al., [red.] M. Tarczyński; cz. I (29 VIII–19 IX), Warszawa 1998; cz. II (20 IX–18 X), Warszawa 1999.
- Bitwa o Ukrainę 1 I–24 VII 1920. Dokumenty operacyjne*, cz. I (1 I–11 V 1920 r.), [oprac.] J. Cisek et al., [red.] M. Tarczyński, Warszawa 2016.
- Bitwa Warszawska 13–28 VIII 1920. Dokumenty operacyjne*, [oprac.] A. Bartnik et al., [red.] M. Tarczyński; cz. I (13–17 VIII), Warszawa 1995; cz. II (17–28 VIII), Warszawa 1996.
- Bitwa Wołyńsko-Podolska 5 IX–21 X 1920. Dokumenty operacyjne*, [oprac.] J. Cisek et al., [red.] M. Tarczyński Warszawa 2014.
- Brzeszczański S., *Dzika dywizja: wspomnienia z lat 1918–1922*, Poznań 1996.
- Chwalba A., *1919. Pierwszy rok wolności*, Wołowiec 2019.

- Cisek J., Paduszek K., Rawski T., *Wojna polsko-sowiecka 1919–1921*, Warszawa 2011.
- D'Abernon E. V., *Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata – pod Warszawą 1920 r.*, Warszawa 1990.
- Davies N., *Orzeł biały, gwiazda czerwona. Wojna polsko-bolszewicka 1919–1920*, Kraków 2006.
- De Gaulle Ch., *Bitwa o Wisłę. Dziennik działań wojennych oficera francuskiego*, [w:] „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1971, zesz. 19, s. 13–16.
- Jędrzejewicz W., Cisek J., *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935*, t. 1 1867–1916, Kraków–Łomianki 2006.
- Kaden-Bandrowski J., *Wiosna 1920*, Warszawa 1921.
- Kopański St., *Moja służba w Wojsku Polskim 1917–1939*, Londyn 1965.
- Kospath-Pawłowski E., Matusak P., Radziwiłowicz D., 8. *Dywizja piechoty w dziejach Oręża Polskiego*, Pruszków 1997.
- Kukiel M., *Bitwa Warszawska*, 2005.
- Kukiel M., *Moja wojaczka na Ukrainie, wiosna 1920. Dziennik oficera Sztabu Generalnego*, Warszawa 1995.
- Kutrzeba T., *Wyprawa kijowska*, Warszawa 1937.
- Łach W. B., *„Bunt” Żeligowskiego*, Warszawa 2014.
- Łossowski P., *Konflikt polsko-litewski 1918–1920*, Warszawa 1996.
- Majerski W., *Na widenie. II Rzeczpospolita wobec Sowietów 1918–1943*, Warszawa 2005.
- Mawdsley E., *Wojna domowa w Rosji 1917–1920*, Warszawa 2010.
- Mękarska-Kozłowska B., *Burza nad Lwowem*, Londyn 1992.
- Nowak A., *Polska i trzy Rosje. Studium polityki wschodniej Józefa Piłsudskiego (do kwietnia 1920 roku)*, Kraków 2008.
- Nowik G., t. 1: *Zanim złamano „Enigmę”. Polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918–1920*, Warszawa 2004; t. 2: *Zanim złamano „Enigmę”. Polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918–1920*, Warszawa 2010.

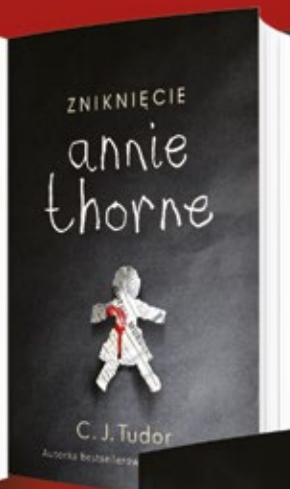
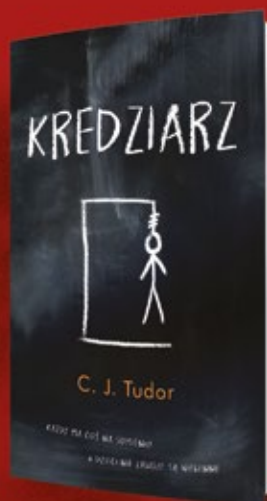
- Nowik G., *Zanim złamano „Enigmę”... Rozszyfrowano rewolucję. Polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918–1920*, Warszawa 2004.
- Nowik G., *Wojna światów – 1920 – Bitwa Warszawska*, Poznań 2011.
- O *Niepodległą i granice*, [oprac.] Jabłonowski M., Koseski A., t. 1, *Komunikaty Oddziału III Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego 1919–1921*, Warszawa–Pułtusk 1999; t. 2, *Raporty i komunikaty naczelných władz wojskowych o sytuacji wewnętrznej Polski 1919–1920*, Warszawa–Pułtusk 2002; t. 3, *Raporty i informacje Biura Propagandy Zagranicznej Prezydium Rady Ministrów 1920–1921*, Warszawa–Pułtusk 1999/2000.
- Odziemkowski J., *Leksykon wojny polsko-rosyjskiej 1919–1920 r.*, Warszawa 2006.
- Piłsudski A., *Wspomnienia*, Warszawa 1989.
- Piłsudski J., *Pisma zbiorowe*, t. V, Warszawa 1937.
- Piłsudski J., *Rok 1920*, [w:] idem, *Pisma zbiorowe*, t. VII, Warszawa 1937.
- Pipes R., *Rosja carów*, Warszawa 2005.
- Pobóg-Malinowski W., *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. II, cz. 1, Londyn 1956.
- Potocki R., *Idea restytucji Ukraińskiej Republiki Ludowej (1920–1939)*, Lublin 1999.
- Raszewski K., *Wspomnienia z własnych przeżyć do końca roku 1920*, Poznań 1922.
- Sawin G., *Wojna domowa w Rosji*, Warszawa 2007.
- Sikorski W., *Nad Wisłą i Wkrą*, Lwów–Warszawa–Kraków 1928.
- Skrucka G., *Formacje wojskowe ukraińskiej „rewolucji narodowej” 1914–1921*, Toruń 2008.
- Szeptycki S., *Front litewsko-białoruski 10 marca 1919–30 lipca 1920*, Kraków 1925.
- Szlakiem oręża polskiego*, red. W. J. Wysocki, Warszawa 2003.

- Taras A., *Anatomia nienawiści. Stosunki polsko-rosyjskie w XVIII–XX w.*, Warszawa 2008.
- Tarczyński M., *Studium historyczne określające obszar i przebieg działań bojowych pod Leśniakowizną i Ossowem 13–14 sierpnia 1920 r. toczonych w ramach bitwy warszawskiej*, Warszawa 2006.
- Tuchaczewski M., *Pochód za Wisłę* [w:] Piłsudski J., *Pisma zbiorowe*, t. VII, *Rok 1920*, Warszawa 1937.
- „Tygodnik Ilustrowany”, Numer Specjalny, 31 lipca 1920.
- Wagner M. E., *Lwowski chłopaka na wojnach: (strzępy wspomnień z walecznych lat 1918–1921)*, Londyn 1982.
- Waligóra B., *Walka o Wilno. Okupacja Litwy i Białorusi w 1918–1919 przez Rosję Sowiecką*, Warszawa 1938.
- Wejtko W., *Samoobrona Litwy i Białorusi. Szkic historyczny*, Wilno 1930.
- Zając J., *Dwie wojny. Mój udział w wojnie o niepodległość i w obronie powietrznej Polski*, Londyn 1964.
- Zapomniany pokój*, red. Sławomir Dębski, Warszawa 2013.
- Żeligowski L., *Wojna w roku 1920. Wspomnienia i rozważania*, Warszawa 2006.
- Żeligowski L., *Zapomniane prawdy*, Londyn 1943.

SPIS TREŚCI

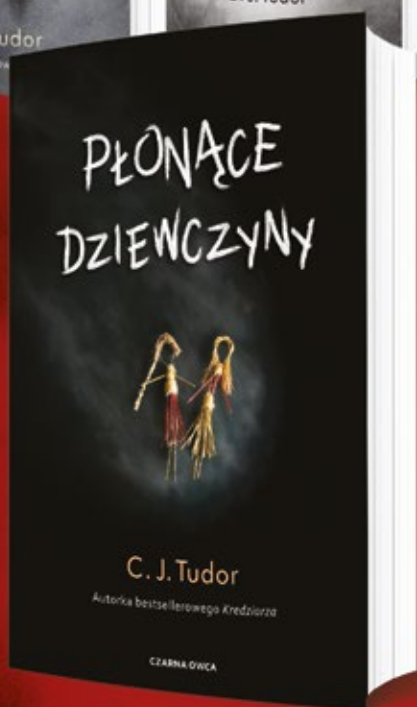
Od Autorów	5
1. Powstania narodowe kończą się klęską?	9
2. Niepodległość Polski to dar losu i państw Ententy?	17
3. Potop szwedzki czy moskiewski?	25
4. Wojna polsko-bolszewicka czy polsko-rosyjska?.....	31
5. Kiedy i gdzie zaczęła się wojna?	37
6. Z kim Polacy walczyli w 1919 roku?	45
7. Czy Polacy mieli jakikolwiek wpływ na wynik rosyjskiej wojny domowej?	53
8. Niepotrzebna łotewska awantura?	61
9. Czy Polacy byli agresorami w 1920 roku?	71
10. Czy Piłsudski chciał podbić Ukrainę, Białoruś i Litwę?	77
11. Czy Polacy wjechali do Kijowa tramwajem?	87
12. Dowódcy Armii Czerwonej – utalentowani amatorzy czy carscy profesjonaliści?	95
13. Jak groźna była Armia Konna Siemiona Budionnego?	101
14. Zadwórze – polskie Termopile czy rzeź niewiniątek?	113
15. Jak wielkiej klasy mężem stanu był Roman Dmowski?	121
16. Józef Piłsudski: militarny geniusz czy amator?	127

17. Kto wymyślił linię Curzona i jak wyglądała pomoc sojuszników?	139
18. Czy Polacy znali rosyjski plan zdobycia Warszawy?	149
19. Generał Józef Haller – wódz Armii Ochotniczej – najlepszym generałem wojny?	159
20. Kto napisał rozkaz nr 10 000 i wygrał bitwę warszawską?	167
21. Co robił Józef Piłsudski w przededniu bitwy?	175
22. Bój o Radzymin: heroiczna walka czy chaotyczna strzelanina?	185
23. Bój pod Ossowem: chaotyczna strzelanina czy heroiczna walka?	195
24. Jak zginął ksiądz Ignacy Skorupka?	205
25. Jak Polacy organizowali pogromy Żydów?	211
26. Czy bitwa warszawska faktycznie zakończyła wojnę?	223
27. Czy bunt generała Żeligowskiego pogorszył sytuację międzynarodową Polski?	233
28. Czy Polacy przegrali pokój w Rydze?	243
29. Czy traktat ryski był sukcesem Rosji?	251
Wybrana bibliografia	259



C.J. Tudor

PONOWNIE UDOWADNIA,
ŻE JEST JEDNĄ
Z NAJLEPSZYCH AUTOREK
THRILLERÓW KRYMINALNYCH



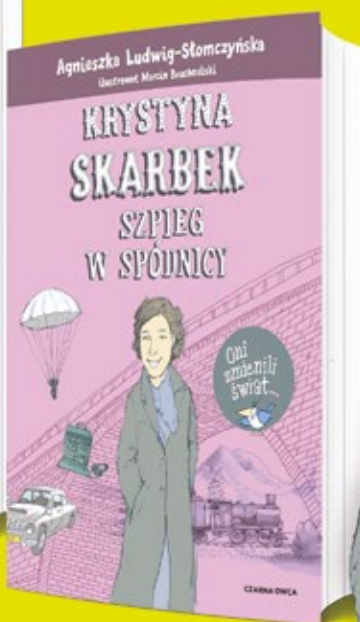
30 lat
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

KUP W NASZEJ KSIĘGARNI

inverso.pl



NIETUZINKOWE CHARAKTERY! ARCYTRUDNE PROJEKTY! NIEZWYKŁE POMYSŁY! PONADPRZECIĘTNA ODWAGA!



W przygotowaniu kolejni bohaterowie serii

ONI ZMIENILI ŚWIAT:

– **ERNEST MALINOWSKI**

– konstruktor i budowniczy Centralnej Kolei Transandyjskiej

– **SIMONA KOSSAK**

– ekolożka zafascynowana światem roślin i zwierząt Puszczy Białowieskiej

30
lat
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

KUP W NASZEJ KSIĘGARNI

inverso.pl

**KATASTROFA
KLIMATYCZNA**

**CZY MOŻEMY
JĄ JESZCZE
ZATRZYMAĆ?**



30^{lat}
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

KUP W NASZEJ KSIĘGARNI

inverso.pl

FINAŁOWA ODSŁONA

**PRZEŁOMOWEJ SZPIEGOWSKIEJ TRYLOGII
Z ELEMENTAMI THRILLERA POLITYCZNEGO**



30
lat
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

KUP W NASZEJ KSIĘGARNI

inverso.pl